

ALLAN STRATTON

Powrót do domu



Opowieść, która złamie ci serce, ale w końcu wywoła uśmiech

Allan

Stratton

POWRÓT DO DOMU

Przełożył Janusz Maćczak



Tytuł oryginału: *The Way Back Home*

Copyright © 2017 by Allan Stratton

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Epilog

Podziękowania

Rozmowa z Allanem Strattonem

Dedykuję Charliemu Sheppardowi

Mama uwija się jak szalona, usiłując nadać naszemu salonowi normalny wygląd. Trudna sprawa! Można zastąpić wiszące na ścianach zdjęcia fryzur reprodukcjami pejzaży kupionymi w supermarkecie Walmart, zakryć suszarki do włosów plastikowymi płachtami i postawić na umywalkach tace z preclami, ale zakład fryzjerski nadal pozostanie zakładem fryzjerskim.

Od poniedziałku do soboty „dziewczyny” mamy – „Nie nazywaj ich klientkami!” – plotkują wokół stolika w kącie albo oglądają telewizję, tkwiąc w fotelach pod suszarkami. Ale dziś jest niedziela i przygotowujemy się na przyjęcie gości, co oznacza, że pomagam tacie przytargać kosmaty dywan z jego biura ubezpieczeń mieszczącego się w piwnicy. W tygodniu trzymamy go tam, żeby nie trzeba było bez przerwy zbierać z niego odkurzaczem włosów.

Dywan śmierdzi gorzej niż pachy dyrektora mojej szkoły. Nie wiem, czy od wilgotnego betonu, czy od spoconych stóp taty, który podczas swoich napadów paniki zdejmuje buty. Jestem wdzięczna za zapachy stosowanych przez mamę w salonie płynów do płukania włosów, sprejów i kremów do peelingu stóp.

Podczas gdy rozwijam dywan, tata przyciąga z pokoju gościnnego rozkładaną kanapę, żebyśmy mogli udawać, że mamy sofę. Mama nie zwraca na to uwagi, zajęta poprawianiem swojej peruki przed lustrem nad umywalką. Zaczęła mieć objawy alopecji, co oznacza po prostu wypadanie włosów. Ponieważ jest fryzjerką, mój nauczyciel nazwałby to ironią losu. Ja nazywam to karmą.

- Czy moja peruka wygląda dobrze?
- Wygląda świetnie. Ludzie prawie nie zauważą.
- Ale jednak *mogą* zauważyć?
- Tylko jeśli na nią spojrzą.

Mama piorunuje mnie wzrokiem.

- Jesteś okropna!
- No więc, kiedy pojedziemy po babcię?
- Babcia nie przyjdzie – oznajmia tata, wtaczając rozkładaną kanapę.
- Ale przecież zawsze jest u nas niedzielnym obiedzie.

Tata wpycha kanapę między suszarki do włosów.

– Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy. Nie chcemy, żeby zdenerwowała wuja Chada i ciotkę Jess.

- Nie zapraszacie babki z *ich* powodu?

Mama skubie tył peruki.

– Byłaby w tej brudnej sukience w szkocką kratę i czarnym swetrze. Bóg wie, ile razy proponowałam jej, że je wypiorę.

– Jeżeli twierdzisz, że babka cuchnie, to nieprawda. Starsi ludzie się nie pocą.

– Chodzi nie tylko o to – mówi tata. – Nie wiadomo, co mogłaby powiedzieć.

– Prawdę. Babka zawsze mówi to, co myśli.

– Nie, ona *nie* myśli. Właśnie w tym problem – mówi tata, wachlując się pod pachami czasopismem o modzie.

– Dość już rozmowy o twojej babce – zwraca się do mnie mama. – Ubierz się.

– Przecież nie jestem gołą.

– Twoja kuzynka nie przyjdzie w dzinsach. Nic by się nie stało, gdybyś włożyła odświętne ubranie, to, w którym chodzisz do kościoła.

– Z wyjątkiem tego, że padłabym trupem ze wstydu. Jaki licealista w ogóle musi chodzić do kościoła?

– Przestań się guzdrać – rzuca tata.

– Guzdrać się? Nie mów do mnie, jakbym miała trzy latka.

– Więc nie zachowuj się jak trzyletnia smarkula.

„Odwal się” – myślę i ruszam do swojego pokoju.

– Co w nią ostatnio wstąpiło? – pyta tata mamę, ignorując mnie, jakbym była głucha. – Czy przechodzi trudny okres?

– Tak. Całe moje życie jest trudnym okresem – rzucam przez ramię i trzaskam za sobą drzwiami.

Tego lata rodzice zabrali mi telefon komórkowy i uziemili mnie za coś, czego wcale nie zrobiłam. A teraz bez przerwy czepiają się babki. I jeszcze się dziwią, dlaczego dostaję szału?

Czeka mnie okropny wieczór. Gdyby przyszła babka, zabijałybyśmy nudę, trącąc się stopami pod stołem i powstrzymując śmiech. Ale jak przetrwam bez niej? Dzwonię do niej.

– Cześć, babciu.

– Witaj, kotku! Właśnie myślałam o tobie.

– Ja też o tobie myślałam. Przykro mi, że nie zobaczymy się dziś wieczorem.

– Zamierzałaś mnie odwiedzić?

– Tak, ale okazało się, że nie mogę – z powodu mamy i taty. Ale wpadnę jutro, jak zawsze.

– Doskonale. Zarezerwuję dla ciebie miejsce na huśtawce.

Uśmiecham się.

– Kocham cię, babciu.

– Ja ciebie też, kotku.

Rozłączamy się i jeszcze przez chwilę czuję się szczęśliwa. Potem otwieram szafę i wzdycham.

Wysyłam SMS-a do mojej kuzynki Madi: „W co się ubierzesz?”.

Nie odpowiada. Prawdopodobnie pisze do miliona przyjaciółek

o wczorajszej superimpresji, na którą mnie nie zaproszono. Mam nadzieję, że odpadną jej kciuki.

Wkładam tę kretyńską sukienkę małej miss, którą kupiła mi mama. Wyglądam w niej jak uczennica zerówki, tylko wyższa. Przynajmniej ta nie należała wcześniej do Madi. Wszyscy w szkole wiedzą, że noszę ubrania po niej, zwłaszcza gdy puszcza teksty w rodzaju: „Czy naprawdę byłam kiedyś taka płaska?”.

Madi jest moją najlepszą przyjaciółką – tylko że jej nie cierpię. Kiedy byłyśmy małe, decydowała, którymi zabawkami mogę się bawić. Teraz decyduje, z kim mogę się przyjaźnić – czyli z nikim, oprócz szpanerskich dziewczyn przy jej stoliku w szkolnej stołówce. A one nawet nie są moimi przyjaciółkami i muszę śmiać się razem z nimi, kiedy Madi rzuca złośliwe uwagi o moich używanych ubraniach i o tym, gdzie mieszkam.

„Jaka ofiara by to zносиła?”.

Odpowiedź brzmi: Ofiara taka jak ja. Mdli mnie na myśl, że jestem taka sama jak moi rodzice. Bo między nami mówiąc, wizyta wuja Chada i ciotki Jess nie jest „wyjątkowa”. Jest czymś niemal *niewyobrażalnym*, jak napotkanie Marsjan w Burger Kingu. Moi rodzice udają, iż to dlatego, że wuj Chad jest tak bardzo zajęty pracą w swojej firmie sprzedającej ciągniki, a ciotkę Jess absorbuje udzielanie się w społecznych komitetach. Ale *prawdziwym* powodem jest to, że gnieździ się w parterowym aluminiowym baraku przy szosie, a oni mieszkają w eleganckiej dzielnicy piętrowych ceglanych domów i ulic z chodnikami.

Chodzi mi o to, że ciotka Jess nawet nie chesze się w zakładzie fryzjerskim mojej mamy. Ona i Madi chadzają do salonu Sylvie aż w Woodstock, ponieważ jak mówią: „Sylvie nie jest fryzjerką, lecz stylistką”. Poza tym ciotka Jess urodziła się w Montrealu i stale wtrąca zwrot: „*Je ne sais quoi*”, czyli niemal wszystko, co umie powiedzieć po francusku.

„Czy mama mnie woła?”.

– Zoe, mówię po raz ostatni, przyjdź tutaj. Oni już zajęli przed dom.

Zajmuję miejsce przy drzwiach, pięć kroków za rodzicami. Tata przebrał się w odświętny garnitur w jodełkę, który wkłada, kiedy jest proszony o odczytanie fragmentu z Biblii. Klepie się po kieszeni, w której nosi zegarek po dziadku.

Rodzina Mackenzie puka do drzwi. Mama przed otwarciem odlicza do dziesięciu, żeby się nie zorientowali, że warowała przy oknie.

– Jess, Chad, Madi, witajcie! – mówi radośnie, jakby ich wizyta była miłą niespodzianką.

Najwyraźniej Mackenzie nie uznali tego wieczoru za wyjątkowy. Są ubrani w styl, który ciotka Jess nazywa „niezobowiązującym”. I och, tak, Madi jest w dżinsach. Markowych, ale jednak. Zerka przelotnie na moją sukienkę małej miss i jej spojrzenie mówi: „Proszę, powiedz mi, że ja nigdy tego nie nosiłam. Nigdy”.

Mama obejmuje ciotkę Jess, jakby nie widziała jej od wieków, co poniekąd jest prawdą.

– Nie musiałaś robić sobie aż tyle kłopotu – mówi ciotka Jess, spoglądając na plastikowe płachty przykrywające suszarki do włosów.

– To żaden kłopot – odpowiada mama, udając, że traktuje jej uwagę dosłownie.

– Och, i co zrobiłaś z włosami?

Mama oblewa się rumieńcem.

– Po prostu trochę tego i owego.

Wuj Chad wręcza tacie butelkę wina.

– Drobiazg do obiadu – mówi.

Ma na myśli i c h obiad, gdyż moja rodzina nie pije. Z wyjątkiem mnie: najwidoczniej jestem beznadziejną alkoholiczką, gdyż przed dwoma laty wypiałam ukradkiem u Madi pół butelki piwa. Zresztą to ona mnie poczęstowała.

W każdym razie tata bierze to wino, ponieważ – słuchajcie! – to przecież są wuj Chad i ciotka Jess. Mama proponuje im, żeby zajęli miejsca na rozkładanej kanapie. Ona i tata siadają na krzesłach przesuniętych sprzed umywalek. W tym momencie Madi i ja zazwyczaj wychodzimy na dwór, ponieważ od początku liceum wystrzega się, żeby nie zobaczono jej w naszym domu. No dobrze, przyznaję, ja też. Jednak teraz idziemy do mojej sypialni.

Madi zamyka drzwi i spogląda na mnie.

– Nie dostaniecie tych pieniędzy – mówi.

Robię minę, która ma znaczyć: „Pieniędzy? Jakich pieniędzy?”.

Madi wzdycha, jakby uważała mnie za tępą.

– Żeby wasza rodzina mogła odkupić lokal sklepu odzieżowego sieci Tip Top Tailors na głównej ulicy. Żeby twoja mama mogła przenieść tam swój salon fryzjerski. Właśnie dlatego nas zaprosiliście. Wiesz o tym, prawda?

– Tak – odpowiadam, chociaż nie miałam o tym pojęcia.

Madi przewraca oczami tak przesadnie, że uciekają jej w głąb czaszki. Mam nadzieję, że już tam zostaną.

– Zawsze tak kiepsko kłamiesz – mówi. – No więc dobrze, twoja mama zadzwoniła do mojej i zaprosiła nas na obiad, a moja mama zaproponowała: „Może umówimy się w jakiejś restauracji?”. No bo jeść tutaj?! Serio? Ale twoja mama odpowiedziała, że nie, to musi być prywatne spotkanie, żeby ona i twój tata mogli poprosić mojego tatę o pożyczkę, a moja mama była zbyt zakłopotana, żeby odrzec po prostu: „Chyba żartujesz?”.

„Czy ja naprawdę to słyszę?”.

– W każdym razie – kontynuuje Madi – mój tata powiedział do mamy: „Jeżeli twoja debilna siostra i ten kretyn jej mąż nie mogą uzyskać pożyczki w banku, powinni oddać jego matkę do okręgowego domu opieki, przeprowadzić się do *niej* i sprzedać te swoją norę”.

– Twój ojciec chce umieścić babkę Bird w ośrodku Greenview Haven?

– No przecież ona jest pomyłona. Mama mówi, że ma starczą demencję.

– Ciotka Jess powiedziała to przy tobie?

– To żadna tajemnica. Twoja babka jest nurkiem śmietnikowym.

– Wcale nie. Babcia po prostu zbiera rzeczy, których inni ludzie już nie chcą.

– Jasne. Czyli śmiecie.

– Przestań. Wszystko jest z nią w porządku.

– Może dla ciebie. Ale zapytaj nasze mamy.

– Jak gdyby one były jakieś wyjątkowe!

– No, *moja* jest wyjątkowa.

– Tylko dlatego, że poślubiła wuja Chada. Babka jest o wiele bardziej wyjątkowa od niej.

– Och, jasne, wyjątkowa. Moja mama czuje się taka upokorzona. „Czemu Carrie musiała się wżenić w tę rodzinę Birdów? Wszystko dlatego, że zaszła w ciążę”. Wiesz, właśnie na tym polega różnica między nami. *Moi* rodzice mnie chcieli.

– Moi mnie też.

– Może tak ci mówią, ale moja mama zna prawdę. – Madi ogląda sobie paznokcie. – A skoro mowa o byciu niechcianą, starałam się znaleźć jakiś miły

sposób powiedzenia ci tego, ale nie istnieje żaden, więc powiem wprost: przestań rozmawiać ze mną w szkole, przestań siadać przy moim stoliku w stołówce i nie zbliżaj się do mojej szafki. Dobrze?

Czuję mdłości jak przy chorobie morskiej.

– Madi?

– Przykro mi, jeśli to zabrzmiało szorstko, ale wszyscy uważają cię za ofiarę. Zwłaszcza Katie i Caitlyn.

– Katie i Caitlyn? One były nikim, póki nie urosły im cycki.

– Co takiego?! – rzuca Madi. – One mnie podziwiają. Więc trzymaj się ode mnie z daleka.

– Ale przecież my przyjaźnimy się od wczesnego dzieciństwa.

– Nie przypominaj mi o tym.

„Dlaczego ją błagam? Przestań. Natychmiast!”

– A co z tym, kiedy tego lata przyjechał do was z wizytą twój kuzyn Danny z Saskatoon? Kto ukrywał twoje prezerwatywy? Kto ukrywał twój hasz? Ja. W pudełku po moim starym Wymarzonym Domku Barbie, dokładnie tam, gdzie mi kazałaś. A kiedy moi rodzice je znaleźli, na kogo nawrzeszczano, kto na dwa miesiące dostał szlaban i stracił swoją komórkę? A ja nic nie powiedziałam. Nigdy.

– A gdybyś nawet powiedziała, to co z tego? Oświadczyłabym, że kłamiesz, i miałabyś jeszcze większe kłopoty. Sama dobrze o tym wiesz. Pamiętasz, kiedy na dziecięcych imprezach udawałam, że mnie uderzyłaś, a twoja mama posyłała cię do kąta? Śmiechu warte!

– Jesteś taka niesprawiedliwa.

– Tak bywa.

– Mówisz tak tylko dlatego, że tak mawia twój tata, i sądzisz, że to brzmi dorośle. No cóż, tak naprawdę robisz z siebie okropną lizuskę, która uważa, że powinnam się przed tobą płaszczyć.

Madi uśmiecha się jak ciotka Jess.

– Jesteś taka niedojrzała. A skoro o tym mowa, Ricky Saunders to nie twoja liga, więc przestań o nim marzyć.

– Kto powiedział, że interesuję się Rickym Saundersem?

– Daj spokój! Gapisz się na niego, kiedy siedzi z kumplami z drużyny futbolowej przy stoliku w stołówce, i pożerasz go wzrokiem, gdy przechodzi z Dylanem obok mojej szafki. Wiesz, Dylan to mój chłopak i twoje zachowanie jest dla mnie żenujące. Obrzydliwe.

Madi siada na moim łóżku, wyjmuje komórkę i zaczyna esemesować.

– Złaż z mojego łóżka, lizusko – rzucam.

Lizuska chichocze. Widocznie któraś przyjaciółka przysłała coś zabawnego. „Tak, powiem jej”, odpisuje.

– Myślisz, że możesz wyśmiewać się ze mnie w moim własnym pokoju? –

mówię i sięgam po jej komórkę.

– Zabierz łapy ode mnie albo zacznę krzyczeć.

– Obiad! – woła mama z głębi korytarza.

Siadamy ciasno wokół stolika. Wuj Chad ma brzuch piwosza, a ciotka Jess jest solidnie nabita, więc ledwie mogę poruszać łokciami. Tata odmawia modlitwę dziękczynną. Mam ochotę wrzeszczeć.

Przez następne pół godziny Madi zachowuje się tak świętoszkowato przykładnie, że dziwię się, iż nie ma nad głową aureoli. Siedzi przy stole wyprostowana, jak ja powinnam, mówi „proszę” i „dziękuję”, a nawet zjada swoją porcję gotowanej rzepy. Tymczasem wuj Chad i ciotka Jess gawędzą o jego ciągnikach i jej przewodniczeniu komitetowi obchodów święta dożynek.

Mama i tata się nie odzywają. Kiwiają tylko głowami niczym zombi nafaszerowane pigułkami antydepresyjnymi. Założę się, że wuj Chad już odmówił im pożyczki. Po deserze odsuwa krzesło i klepie się po brzuchu.

– Ależ się najadłem, Carrie.

– Tak, obiad był uroczy, po prostu uroczy – mówi ciotka Jess i rzuca okiem na zegarek. – Och, spójrz, jak już późno.

Nie ma jeszcze ósmej, ale kto chciałby wysiadywać na stypie? Ruszamy do drzwi. Ciotka Jess trajkocze: „Naprawdę, musimy się częściej tak spotykać”, a mama i tata przytakują: „Oczywiście”, tylko że wyglądają, jakby powstrzymywali wymioty.

Wuj Chad ściska ramię taty.

– Tak bywa.

– Och, pewnie, znajdziemy jakiś sposób – mówi tata ze swoim dumnym wzruszeniem ramionami. – Dla chcącego nic trudnego.

Wuj Chad spogląda na niego jak na śmiertelnie chorego.

– Właśnie tak powiadają.

Drzwi zamykają się za całą trójką.

Mama wyjmuje z rękawa papierową chusteczkę. Tata ściąga buty.

Ujmuję się pod boki.

– Więc kiedy zamierzaliście mi powiedzieć?

Mama ociera oczy.

– O czym?

– O planie kupna lokalu Tip Top Tailors. Przeniesienia tam salonu fryzjerskiego. No, bo przepraszam, ale czy ja nie należę do rodziny?

– Podśluchiwałaś? – pyta mama.

– Właściwie powiedziała mi Madi. Powiedziała też, że babka ma demencję, tata jest kretynem, a ty debilką.

– Jak śmiesz tak o nas mówić?

– Tylko cytuję.

– Nie zmyślaj bajek o swojej kuzynce – odzywa się tata. – Madi jest dobrze wychowana.

– Jak cholera dobrze!

– Idź do swojego pokoju.

– Nie pójdę, dopóki mi nie powiecie, co się stanie z babką.

Tata kurczy palce stóp.

– Nic się z nią nie stanie.

– Lepiej, żeby to była prawda – rzucam.

Idę do swojego pokoju, z pozoru twardzielka, jednak ze zdenerwowania ledwie mogę oddychać.

Nazajutrz Lizuska żegluję obok mnie na szkolnym korytarzu w towarzystwie swoich najlepszych przyjaciółek Katie i Caitlyn, czyli pomniejszych lizusek. Wyobrażam sobie, że ścigają je w lesie psychole z piłami mechanicznymi. Mijam Ricky'ego Saundersa. Nigdy nie zamieniliśmy ani słowa, ponieważ on chodzi do jedenastej klasy i jest w szkole gwiazdą, ale zawsze się do mnie uśmiecha. Dawniej wmawiałam sobie, że to coś znaczy. Ale dzisiaj zastanawiam się, czy on może wie, że się w nim bujam, i uważa to za zabawne. Odwracam wzrok.

W porze lunchu idę przez stołówkę, patrząc prosto przed siebie. Mijam stolik Lizuski. Wszystkie trzy chichoczą. Udaję, że tego nie widzę.

„Czy wszyscy w stołówce gapią się na mnie? Co o mnie myślą? Co mówią?”.

Staram się iść jak zwykle i docieram do stolika z tyłu sali. Emily Watkins wydhubuje palcem glut z nosa i przykleja go pod krzesłem.

– Co ty tu robisz? – pyta, jakbym zablądziła.

– Jem. A przynajmniej dotychczas tu jadałam.

Po drugiej stronie stolika siedzi Eric, szkolny diler dragów, i bębni w swój plecak. Jest stale tak nawalony, że kiedy nauczyciele wywołują jego nazwisko, bierze to za podchwytliwe pytanie.

Ludzie wokoło się śmieją. „Czy to ze mnie?”. Z napięcia czuję ciarki w klatce piersiowej i palcach. Wstaję, zadzieram głowę, jakbym miała to gdzieś, wrzucam mój lunch do pojemnika na śmieci i chowam się w toalecie dla dziewczyn. Rozbrzmiewa dzwonek. Nie potrafię pójść na lekcję. Wybiegam na dwór, wskakuję na rower i jadę do babki.

Babka mieszka w dużym budynku z żółtej cegły stojącym na podmiejskiej działce, z tarasem wokół dachu, szeroką werandą i żaluzjami w większości okien. Mama mówi, że dom wygląda jak nora kloszarda. No cóż, to nie wina babki, że tata jest taki niezdarny. Załatał dach niedobranymi dachówkami i wysmarował cały smołą. Kiedy malował framugi okien, farba ściekła na ceglane ściany. I twierdzi, że podwórze jest za wielkie, żeby co tydzień kosić i podlewać trawę, więc nic dziwnego, że wygląda koszmarnie.

Gdyby moi rodzice wynajęli pracowników, wszystko byłoby dobrze, tylko że: „My nie mamy pieniędzy”. Świetnie, więc nie narzekaj. Babka przynajmniej nie mieszka w tandetnym salonie kosmetycznym. Jej dom ma nawet nazwę: Bird House, Ptasia Budka. Nie z powodu wanierek i karmników dla ptaków, tylko dlatego, że od lat dwudziestych ubiegłego wieku należy do rodziny Birdów. Kiedy tata miał siedem lat, babka i dziadek sprowadzili się z powrotem do tego domu, żeby zaopiekować się moim pradiadkiem.

Zostawiam rower tuż za bramą. Babka siedzi na huśtawce na werandzie,

ubrana jak zwykle w sukienkę w szkocką kratę i za duży czarny sweter. To coś w rodzaju jej uniformu, wraz z czerwoną skórzaną torebką, którą nosi zawsze na ramieniu, żeby nie zapomnieć, gdzie ją położyła. Ma w niej portfel, kluczyki do auta, papierowe chusteczki, niespodzianki i komórkę, którą moi rodzice kupili jej na wypadek, gdyby się przewróciła i nie mogła sama wstać.

Oczy babki rozbłyskują na mój widok.

– Zoe! Jakie jest magiczne słowo?

Jestem o wiele za stara na tę grę, ale skoro jej to sprawia przyjemność...

– Rabarbar – mówię.

– Pieróg! – wykrzykuje babka i obejmuje mnie w uścisku. – Chcesz wejść do środka?

– Po co? Nie podoba ci się tutaj?

To nie wina babki, ale w jej domu unosi się woń starej osoby. W dobre dni powietrze tam pachnie słodko, jak wewnątrz słoja z ciasteczkami. Kiedy indziej... no cóż, babka nie sprząta pułapek na myszy. Tata wymienia je, kiedy wpada raz na tydzień z korespondencją, którą odbiera w oddziale Kanadyjskiej Poczty, chociaż zazwyczaj do babki nie przychodzą żadne listy.

Kołyszymy się na huśtawce. Gdy byłam mała, wpełzałam pod nią i liczyłam skorki kryjące się w otworach po śrubach.

– A więc – zagaduje babka – co moja mała ptaszyna Bird ma mi dziś do powiedzenia?

Chcę zmyślić jakąś zabawną historyjkę, ale nagle, zanim się orientuję, opieram głowę na jej ramieniu i opowiadam o tym, jak Madi odpędziła mnie od swojego stolika w stołówce – no dobrze, może to nie było moje miejsce, ale siedzenie tam to jedyne, co sytuowało mnie choć trochę wyżej w szkolnej hierarchii.

– Nie potrzebujesz Madi – mówi babka. – Znajdź sobie inne przyjaciółki.

– Kto chciałby się ze mną przyjaźnić?

– Każdy, kto ma rozum.

– Dlaczego? – pytam, pociągając nosem.

– Ponieważ jesteś dobra, miła, lojalna i masz najlepsze serce na świecie.

– Tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć.

– Nazywasz swoją babkę kłamczuchą? Czy inni mają wnuki odwiedzające ich codziennie? Więc zapomnij o tej małej gadzinie Madi. Ci Mackenzie zawsze uważali się za lepszych od wszystkich. Chcesz wiedzieć, dlaczego stryjecznego dziadka Madi pochowano w zamkniętej trumnie? Spił się do nieprzytomności i padł na tory kolejowe. Skończył w pięciu kawałkach. Stóp nigdy nie odnaleziono.

Słyszałam tę historię milion razy, ale zawsze mnie rozśmiesza.

– Jak sądzisz, co się z nimi stało? – pytam.

– Myślę, że pożarły je psy, zatrwały się i zdechły.

- Albo wuj Chad schował je na pamiątkę w zamrażarce.
- Albo ciotka Jess ugotowała z nich zupę.
- Albo ktoś kopnął nimi Madi w tyłek.

Babka klepie się po nodze.

- To mi się podoba.

Obie spoglądamy na jej podwórze. Uwielbiam wszystkie te wanienki dla ptaków, zwłaszcza po deszczu, kiedy pluskają się w nich drozdy i sójki. Uwielbiam też stare wózki dziecięce i moją starą ciężarówkę zabawkę Tonka. Babka niegdyś hodowała w nich kwiaty, więc są właściwie raczej żardynierami. Jest tam też manekin w czepku kąpielowym, rozparty w taczkach – nazywamy go Fred – i wiatrak od starego minigolfa. Każda z tych rzeczy ma swoją historię, nawet ptasie gniazda rozmieszczone rzędem na werandzie.

Dzisiaj dostrzegam tu coś nowego.

- Skąd się wziął ten trójkołowy rowerek?

Babka marszczy brwi.

- To zagadkowa sprawa. Jaka jest twoja teoria, detektywie Bird?

- Zostawił go tu jakiś dzieciak?

- Ciekawe, dokąd poszedł?

– Może został uprowadzony furgonetką z lodami. – Mrugam do babki. – Sprawdźmy w barze Tastee Freeze. Założę się, że znajdziemy go w karmelowym deserze lodowym.

Babka się śmieje, klepie mnie w kolano, a potem wsiadamy do jej starej toyoty corolli. Drzwiczki się nie domykają, gdyż są wgniecione. Babka wiąże ramy przedniej i tylnej szyby psią smyczą.

- Babciu, co się stało z tymi drzwiami?

- Pewnie jakiś gość wjechał we mnie tyłem na parking.

Wyjeżdżamy z podwórza, ignorując grzechotanie zdeformowanych drzwi. Babka prowadzi ostrożnie. Jedzie wolno, a gdy zbliżamy się do zaparkowanych samochodów, skręca na środek jezdni. Jakiś facet za nami trąbi. Babka podejżdża do krawężnika i przepuszcza go.

– Ci dzisiejsi kierowcy – mówi, a potem porusza ustami, jakby bezgłośnie odczytywała listę zakupów w sklepie spożywczym.

- Babciu?

Ucisza mnie gestem dłoni.

- Zastanawiam się... Jedziemy dokądś.

- Tak. Do baru Tastee Freeze.

- No *oczywiście*, do Tastee Freeze.

Stuka palcem w kierownicę.

- Jeszcze dwie przecznice, a potem w lewo? – podsuwam.

- Wiem. Twoja babka jest po prostu trochę roztargniona, to wszystko.

Przed barem Tastee Freeze babka zostaje w aucie, podczas gdy ja zamawiam dla nas desery lodowe. Przygląda się, jak jem, a potem oddaje mi swoją porcję.

– Powinniśmy już ruszać.

– Przecież dopiero co tu przyjechaliśmy.

– W dzisiejszych czasach nie można ufać ludziom. Pod twoją nieobecność mogą cię obrabować.

Gdy wjeżdżamy na jej podjazd, rozmyślam o tym, jak wyobrażam sobie morderców kryjących się w szafach, kiedy wracam do domu, a nie ma w nim mamy ani taty.

– Chcesz, żebym pomogła ci przeszukać dom, by się upewnić, że nikt się nie włamał?

– Niech cię Bóg błogosławi.

Wnętrze domu babki jest zagracone tak jak moja sypialnia, tylko że okropnymi starociami i rzeczami, które trzyma „na wszelki wypadek”. Babka sprawdza parter, a ja w tym czasie robię to samo na piętrze, zaczynając od jej sypialni. Nie chcę być złośliwa, ale naprawdę *mogłaby* uprać pościel. Jednak z drugiej strony przynajmniej na starość powinno się móc żyć tak, jak się chce, prawda?

Dla żartu zaglądam do szaf, komód, a także pod łóżko, gdzie trzyma albumy z wycinkami z gazet i rodzinnymi zdjęciami. Na nocnym stoliku też jest pełno fotografii w ramkach: dziadka, moja, mamy i taty, oraz stryjka Teddy’ego, kiedy był mały.

Stryjek Teddy był starszy o dwanaście lat od mojego taty. Zmarł, jeszcze zanim babka i dziadek przeprowadzili się tutaj, żeby opiekować się pradziadkiem. Kiedyś zapytałam babkę, co mu się stało. Łzy napłynęły jej do oczu i wyszła z pokoju. Tata mówi, żebym nie poruszała tego tematu, więc to musiało być coś strasznego. Może na przykład popełnił samobójstwo? W każdym razie myślę, że był jej ukochanym dzieckiem, bo ślady palców na zakurzonym szkle fotografii w ramce świadczą o tym, że babka często bierze ją do ręki.

– Na dole wszystko w porządku! – woła babka.

– Na górze też! – odkrzykuję.

Zastaję ją na zewnątrz, opartą o balustradę werandy.

– Kiedy jesteś stara, ludzie chcą, żebyś już odeszła.

– Ja nie chcę, babciu.

– Wiem, kotku – mówi i obejmuje mnie, a ja pragnę, żeby nigdy nie umarła.

Siedzimy przy śniadaniu. Mama trąca widelcem tatę.

– Jess i Chad mają rację. Pomyśl o tej stercie kartek pocztowych przy piecu kuchennym. Dom twojej babki może w każdej chwili pójść z dymem. A wtedy ludzie powiedzą, że powinniśmy byli wcześniej coś zrobić.

– Nie jest tak źle – mówi tata; od niedzieli chodzi boso.

– Och, czyżby? Znowu dostałeś tych małych pęcherzy na piętach.

– Halo – wtrącam. – Ja tu jem.

Mama nie zwraca na mnie uwagi.

– Kiedy ostatni raz przeglądałeś jej lodówkę? – mówi do taty.

– Carrie, nie mogę tego robić.

– Dlaczego? Założę się, że połowa jej artykułów spożywczych jest zepsuta.

A jeśli dostanie zatrucia pokarmowego?

Tata zamyka oczy, jakby się modlił.

– Dobrze, sprawdzę przed lunchem.

– Nie. J a sprawdzę. Ty obiecujesz, ale tego nie zrobisz. A skoro mowa o artykułach spożywczych, Heather Watkins widziała ją w sklepie ubraną tylko w nocną koszulę.

„To kłamstwo. Babka zawsze nosi swoją sukienkę w szkocką kratę”.

– Słyszałeś mnie, Tim? Heather Watkins widziała twoją matkę w sklepie w nocnej koszuli! – Mama zauważa mój morderczy wzrok i pyta: – Co takiego?

– Nic.

– Nie wykręcaj się. Powiedz, o co ci chodzi.

– Pani Watkins nie powinna wtykać nosa w cudze sprawy. A zanim zacnie wygadywać głupstwa o babci, niech lepiej każe Emily, żeby nie przyklejała swoich glutów do krzeseł w szkolnej stołówce.

– Dość tego, młoda damo.

– Zapytałaś, więc odpowiadam.

Mama z trzaskiem wrzuca talerze do zlewu.

– Prawda wygląda tak, że od śmierci dziadka twoja babka się pogubiła. Ale nieważne. Ignoruj oczywistość.

– Oczywiście jest to, że chcesz zamknąć babcię w zakładzie, żeby móc przejąć jej dom i przenieść twój idiotyczny salon fryzjerski na główną ulicę.

Mama odwraca się gwałtownie do mnie z rękami pełnymi sztućców.

– No dalej, może pchniesz mnie nożem? – rzucam.

– Zoe, Carrie – odzywa się tata pojednawczym tonem.

Mama zaczyna płakać. Chwytam swój plecak. Gdy ciężkim krokiem wychodzę za drzwi, tata mówi:

– Carrie, ona nie miała tego na myśli.

Ale miałam.

Mniejsza o szkołę. Jeżeli mama zamierza odwiedzić babkę, muszę wcześniej sprzątnąć jej lodówkę. Zostawiam rower przy werandzie, pukam do drzwi i wchodzę do środka.

– Babciu?

Żadnej odpowiedzi. Zwykle o tej porze jest już na nogach. Czasami ucina sobie drzemkę na wygodnej kanapie w gabinecie, na której dawniej sypiał dziadek, kiedy już nie był w stanie wejść po schodach na piętro. Ale dziś jej tu nie ma – ani w salonie i jadalni. Sprawdzam w kuchni. „O rany, co za straszliwy smród!”

Idę na górę i zaglądam do jej pokoju. Zasłony są zaciągnięte. Babka leży na łóżku, całkowicie ubrana. Podchodzę powoli, uważając, żeby nie potknąć się o stojące na podłodze pudła ani nie stłuc palca u nogi o krasnąla ogrodowego.

– Babciu – szepczę. – To ja, Zoe.

Siada, sztywno wyprostowana.

– Zoe, co ty tu robisz? O tej porze powinnaś już spać.

– Jest dziewiąta rano.

– O mój Boże! – Babka mruga zaspana. – Muszę iść siusiu. – Wstaje z łóżka i kieruje się do łazienki. – Jeśli chcesz, możesz dotrzymać mi towarzystwa.

– Dobrze. Dlaczego nie zamykasz drzwi?

– Muszę widzieć, gdzie jestem.

Schodzę do kuchni, żeby rozwikłać zagadkę okropnego smrodu, a także schować leżące przy piecu pocztówki. Pułapki na myszy są puste. Wstrzykuję detergent do odpływu zlewu, na wypadek gdyby przyczyną były gnijące resztki jedzenia, ale to nie pomaga. Sprawdzam pod gazetami po drugiej stronie zlewu. Pod ulotkami reklamowymi znajduję zeschnięty hamburger, jednak to też nie on tak śmierdzi. Wrzucam wszystko do dużej zielonej torby na śmiecie i otwieram lodówkę.

Babka wchodzi do kuchni.

– Szukasz czegoś? – pyta.

– Nie. Babciu, dlaczego niczego stąd nie wyrzucasz?

– Resztek jedzenia? – Zerka na blat kuchenny przy piecu. – Czy tam nie leżały kartki pocztowe?

– Włożyłam je do szuflady.

– Dlaczego?

– Przyjdzie tu mama. Ona nie lubi, gdy przy kuchni walają się papiery.

– To jej problem. Kiedy coś trafia do szuflad, znika.

– Babciu, zanim się zastanowimy, co zrobić z pocztówkami, zagrajmy w lodówkową grę detektyw Bird.

– Co to jest?

– Właściwie można by ją nazwać „Co to było?”. Jedna osoba wskazuje na

coś w lodówce. Jeżeli druga nie potrafi się domyślić, co to takiego, wyrzucamy tę rzecz. Na przykład ta plastikowa torebka z zieloną papką. Co to było?

– Nie mam pojęcia.

– No więc pozbywamy się jej – mówię i wrzucam ją do torby na śmiecie.

– Zaczekaj. Mogłabym jej potrzebować.

– Do czego?

– Skąd miałabym wiedzieć?

– Dobrze. Włożę ją z powrotem do lodówki po wyjściu mamy. – Oczywiście nie zrobię tego. – A teraz twoja kolej. Wybierz rzecz, o której nie wiesz, czym jest.

Babka wskazuje ronderek zupy ze zbierającym się na niej szarym meszkiem.

– To mama, kiedy to zobaczy – mówię, krzywiąc się.

Babka się śmieje i wykrzywia jeszcze bardziej niż ja. Zataczamy się i ryczymy ze śmiechu. Potem szybko wyrzucamy wypuczone opakowania niezidentyfikowanego mięsa, stare jajka i zgrudkowane mleko. Ale nawet kiedy w lodówce zostają tylko butelki starego keczupu, ten okropny zapach nie znika.

Otwieramy kolejno szafki kuchenne. Nie ma w nich niczego podejrzanego. Następnie otwieram piekarnik i znajduję w brytfannie surowego kurczaka.

Babka klaszcze w dłonie.

– A ja się zastanawiałam, gdzie on się podział.

Rozlega się pukanie do frontowych drzwi i okrzyk:

– Hej, hej tam!

Mama!

– Tim, Carrie, co za niespodzianka – mówi babka, idąc do drzwi. – Zoe nie powiedziała mi, że też przyjdziecie.

– Skąd się tu wzięła Zoe? Jasny gwint, co to za odór?

Wrzucam brytfannę do torby na śmiecie i chcę ją wynieść tylnymi drzwiami, zanim rodzice wejdą do kuchni. Dno torby pęka i zawartość wypada na podłogę.

Mama i tata wchodzą do kuchni. Tata gwałtownie otwiera i zamyka usta, jak złota rybka. Mama zakrywa nos przedramieniem.

– Zaraz zwymiotuję – mówi.

– Łazienka jest w głębi korytarza – informuje ją babka.

– Zaraz zwymiotuję, zaraz zwymiotuję – powtarza mama.

– Usłyszałam cię już za pierwszym razem! W głębi korytarza. Nie wymiotuj w mojej kuchni.

– Mamo, tato, po prostu wyjdźcie na dwór. Ja to posprzątam. Wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie dobrze! – mówi mama. – Tim, zrób coś!

– Co? – pyta spocony tata.

– Właśnie, co? – dorzuca babka. – O co ci chodzi?

– Nie wiesz? – wysapuje mama.

– Wiem tylko, że weszliście do mojej kuchni. Nie wiem natomiast po co.
– Matko... – zaczyna tata.
– Żadne tam „matko” – warczy babka. – Zoe złożyła mi wizytę. I oto teraz nagle panna Ferguson zamierza zwymiotować w mojej kuchni.

Mama odwraca się gwałtownie do taty.

– Trzeba z tym skończyć.

– Z czym trzeba skończyć? – pyta babka.

– Z TYM! – Mama zatacza ręką koło. – Kto wie, co gnieździ się w ścianach, w meblach!

– Mamo – wybucham – czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co się gnieździ w twojej peruce?

– Maszeruj do samochodu!

– Zoe zostanie tutaj – mówi babka, kipiąc ze złości. – Zaprosiłam ją, nie *was*. To wy powinniście wyjść.

Mama wybałusza oczy.

– Tim! Zamierzasz pozwalać jej mówić do mnie w taki sposób?

– Matko, proszę – mówi tata ugodowo. – Przepróż Carrie.

– Za co? – pyta babka. – To *jej* problem, nie mój. Zabierz ją stąd.

– Właśnie. – Staję obok babki. – Zanim tu wparowaliście, wszystko szło doskonale.

– Zoe... – zaczyna tata.

– Tak, doskonale – powtarzam. – Schowałyśmy pocztówki. Opróżniłyśmy lodówkę. Zrobiłyśmy mnóstwo. A potem wy wpadacie i rozpętuje się piekło.

– Zoe, ty po prostu... po prostu...

– Zostaw ją w spokoju! – rzuca babka. – Jesteś głupia jak krowa i dwa razy od niej brzydsza.

– Trzeba kogoś wezwać! – mówi mama.

Babka wstukuje 911 w telefonie na ścianie.

– Trzeba was stąd usunąć, ot co. Więc wyjdźcie albo każę was aresztować za wtargnięcie.

– Matko... na litość boską, matko...

– Policja? Tak, ja... ja... – babka urywa.

Zaczyna się nagle chwiać. Blednie, wytrzeszcza oczy. Upuszcza słuchawkę i upada na podłogę.

– Babciu!

Leży nieruchomo. Mama chwyta słuchawkę.

– Policja? Zgłaszam nagły wypadek.

Ujmuję dłoń babki.

– Ocknij się, ocknij.

Tata rozpaczliwie wymachuje rękami.

– Boże! Boże! Pomóż nam, Boże!

Zanim się orientuję, babka leży już w karetce, tata i ja siedzimy obok niej, a mama jedzie za nami naszym samochodem. Mknijemy przez podmiejskie okolice do okręgowego szpitala i zajeżdżamy bramą dla pogotowia ratunkowego. Ratownicy medyczni kładą babkę na ruchome nosze i odwożą.

Przez kilka godzin siedzę z mamą i tatą w szpitalnej poczekalni. Ciszę zakłóca tylko głos kobiety powtarzającej „Przestań, przestań” do synka, który śmiga, udając samochód wyścigowy.

Tata pochyla się i rozwiązuje sznurowadła.

– Jesteśmy w miejscu publicznym – szeptuje do niego mama.

Tata ściska kurczowo poręczę fotela jak wtedy w samolocie, kiedy lecieliśmy do Meksyku. Mama pstryka paznokciami. Wbijam w nich spojrzenie tak ostre, że mogłoby przewiercić im czaszki. „To wasza wina. Jeżeli babka umrze... Nie, Boże, proszę, nie pozwól, żeby umarła. Jeśli zachowasz ją przy życiu, uwierzę w Ciebie na zawsze”.

Drzwiami wahadłowymi wchodzi lekarz.

– Szukam rodziny Birdów – mówi. Skupiamy się wokół niego i witamy uściskami dłoni. – Jestem doktor Milne.

– Czy z babcią wszystko w porządku? Co jej się stało? Jak się czuje? – pytam.

Doktor Milne uśmiecha się do mnie tak, jak zwykle robi to mój tata.

– Twoja babka czuje się dobrze. Jest przytomna, rozmawia, może się ruszać. Wciąż pyta o ciebie. – Lekarz przenosi wzrok na mamę i tatę. – Jest posiniaczona, ale nie ma żadnych złamań kości. Podajemy jej kroplówkę dożylną. Była bardzo odwodniona. Prawdopodobnie dlatego upadła. Wszystko powinno być dobrze, jednak chcielibyśmy zatrzymać ją na noc na obserwację.

– Oczywiście.

Idziemy za doktorem Milne’em przez drzwi wahadłowe, a potem korytarzem do pokoju babki. Siedzi oparta o poduszki na łóżku pod oknem. Jej chude ręce wystają z rękawów szpitalnej koszuli jak trzciny. Rodzice rozmawiają w progu z doktorem, a ja wbiegam do środka i całuję ją.

– Babciu!

– Zoe! Jakie jest magiczne słowo?

– Rabarbar.

– Pieróg. – Śmieje się. – Mówią, że podobno upadłam.

Przytakuje.

– Jak się czujesz?

– A jak myślisz? Powiedz mi, co takiego mam przymocowane do ręki?

– Przewód kroplówki. Lekarz powiedział, że byłaś odwodniona.

– Och! – Babka mruga powiekami. – Wiesz, miałam przedziwny sen. Sadziłam z Teddym cebulki tulipanów. Wkładał je w ziemię, a ja zasypywałam. Nagle zapytał: „Czy one są martwe?”, a ja odparłam: „Dlaczego tak myślisz?”, a on powiedział: „Bo je pogrzebaliśmy. Czy powinniśmy się pomodlić?”. Więc

odmówiliśmy modlitwę, a potem on powiedział: „Wiosną urodzą się znowu jako kwiaty”. Objął mnie i oświadczył: „Chcę być kwiatem”. Wtedy się obudziłam i zobaczyłam lekarza i pielęgniarki, a teraz ty tu jesteś. Czyż to nie przedziwne?

Kiwam głową. „Co zatrzymało tak długo mamę i tatę?”

Babka gładzi mnie po policzku.

– Twój stryjek Teddy jako mały chłopiec był podobny do ciebie. Też miał bardzo dobre serce.

Wchodzą rodzice z doktorem Milne’em.

– Tim, Carrie, cóż za urocza niespodzianka – mówi babka.

– Matko – odzywa się ojciec, nerwowo szurając nogami – doktor chciałby ci zadać kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Po prostu kilka pytań, żeby się dowiedzieć, jak się pani czuje – mówi doktor Milne.

Siada na krześle po przeciwnej stronie łóżka niż ja, kładzie sobie na kolanach podkładkę z klipsem i wyjmuje pióro.

– Zoe – mówi mama – może wolałabyś zaczekać na nas na korytarzu?

Babka ściska moją dłoń.

– Jeżeli mam odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, Zoe zostaje tutaj. Jest moim świadkiem.

– Dlaczego miałabyś potrzebować świadka? – pyta mama.

– Jak gdybyś nie wiedziała.

Doktor Milne gestem ręki daje znak rodzicom.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Babka rzuca mamie spojrzenie mówiące: „A widzisz, stanęło na moim”.

– No więc, doktorze, słucham.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jaki jest dziś dzień?

Babka patrzy na niego spod przymrużonych powiek.

– No, dzisiaj.

– Ale jaki?

– Ten sam, który był, kiedy rano się obudziłam.

Doktor Milne coś zapisuje.

– Czy może mi pani powiedzieć, jaką mamy teraz porę roku?

Babka zerka przez okno.

– No cóż, nie widzę żadnego śniegu, więc przypuszczam, że to nie zima.

Może lato?

– Jest jesień, matko – mówi tata.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Pani Bird – odzywa się uprzejmym tonem doktor Milne – proszę, czy mogłaby pani odliczyć wstecz od stu co dziewiątą liczbę? Sto, dziewięćdziesiąt

jeden, osiemdziesiąt dwa i tak dalej.

– Oczywiście, że mogę – odpowiada babka, mierząc go wzrokiem.

– A więc proszę zacząć.

– Dlaczego miałabym to robić? To czysta głupota.

Doktor znowu coś notuje.

– Zamiast odpowiedzi na pytania zagrajmy w pewną grę. Podam pani trzy słowa, potem porozmawiamy, a następnie poproszę panią o powtórzenie tych słów.

Babka unosi brew.

– Płacę panu za takie rzeczy?

– Lekka praca, prawda? – żartuje doktor Milne.

Babka mocniej ścisną swoją dłoń.

– A zatem te trzy słowa, które chciałbym, żeby pani zapamiętała, to: chłopiec, pudełko, ołówek. W porządku?

– Chłopiec, pudełko, ołówek – powtarza babka pod nosem raz za razem.

– Otóż – mówi doktor swobodnym tonem – zjadłem dziś smaczne śniadanie: jajka, tost i kawę. A co pani jadła?

– Chłopiec, pudełko, ołówek... to samo... chłopiec, pudełko, ołówek.

– Ten dzisiejszy upadek musiał panią zaskoczyć.

Babka przytakuje, recytując bezgłośnie: „Chłopiec pudełko ołówek chłopiec pudełko ołówek”.

Doktor Milne nagle wskazuje za okno.

– Czy tam jest jeleń?

– Co? – Babka odwraca głowę. – Jeleń? Gdzie?

– Przy tych krzakach.

– Którego krzakach?

– Do licha, już uciekł – mówi doktor Milne. – A więc, proszę, czy mogłaby pani powtórzyć te trzy słowa?

Babka spogląda na niego gniewnie.

– Chłopiec, pudełko... chłopiec, pudełko... chłopiec, pudełko i to trzecie.

– Dobrze. A czym jest to trzecie?

– Dlaczego miałabym panu powiedzieć?

– Matko – wtrąca tata. – Nie wiesz, prawda?

– Nie mów mi, co wiem, a czego nie wiem. Ty nic nie wiesz, panie Nicniewiedzący.

– Więc powiedz doktorowi te trzy słowa.

– CHŁOPIEC, PUDEŁKO, OŁÓWEK! – wrzeszczy. – PRZESTAŃCIE SIĘ TAK PODLE ZACHOWYWAĆ!

– Właśnie, Zoe, brawo! Chłopiec, pudełko, ołów! – Babka uderza pięścią w poręcz łóżka. – Myślicie, że nie wiem, po co są te pytania? Uważacie, że postradałam rozum. Uważacie, że zblizkowałam. Ha! Gdzie mój samochód?

Wynoszę się stąd.

– Ona prowadzi? – pyta doktor Milne.

– Tak, *ona* prowadzi – prycha wściekle babka. – A myślisz, że jak *ona* się tu dostała?

Doktor spogląda na rodziców.

– Może wyjdziemy na korytarz?

– A może idźcie do diabła! – wrzeszczy babka, gdy doktor ich wyprowadza.

– Nie myślcie, że możecie obgadywać mnie za plecami.

Próbuje wstać z łóżka.

– Babciu, rurka kroplówki! Zranisz się. Nie denerwuj się. Jestem tutaj.

Wszystko w porządku.

– Wcale nie jest w porządku. Oni chcą oddać mnie do zakładu.

– Nie. Ten lekarz chce tylko, żebyś została na noc. Pragną się upewnić, że doszłaś do siebie.

– Och, czyżby?

– Tak. Babciu, proszę, zaufaj mi. Zostań tu na noc. Nic więcej. Jutro wrócisz do domu, usiądziemy na werandzie i będziemy się śmiać.

W jej oczach widać lęk.

– Wołałabym umrzeć niż zostać uwięziona w ośrodku Greenview Haven.

– To się nie stanie. Nigdy na to nie pozwolę.

– Obiecujesz? – pyta błagalnym tonem.

– Tak, obiecuję.

Przechodzimy przez parking. Tata niesie w torbie na pranie torebkę i ubranie babki.

– W szpitalu, zachowałeś się karygodnie – mówi do mnie.

– Ja tylko stanęłam w obronie babci.

– Wrzeszczałaś na cały korytarz – dorzuca mama. – Nigdy w życiu nie czułam się tak zakłopotana.

„Ona znowu swoje”.

Ładujemy się do samochodu. Tata uruchamia silnik i wjeżdżamy na szosę. Mama wachluje się mapą wyjętą ze schowka. Robi to demonstracyjnie, jakby chciała pokazać, że to *ona* dziś najbardziej ucierpiała. Mam ochotę kopnąć w oparcie jej fotela tak mocno, żeby wyleciała przez przednią szybę.

– Nie ty jedna kochasz babcię – kontynuuje tata. – Na litość boską, to moja matka. Jestem za nią odpowiedzialny, a przedtem byłem też odpowiedzialny za twojego dziadka. I uwierz mi, to niełatwe.

– I co z tego? – rzucam.

– Zoe, my nie jesteśmy wrogami babki. Chcemy dla niej tylko tego, co najlepsze. Prawie nie sypiam. Nie masz pojęcia, jak bardzo stresuje mnie cała ta sytuacja.

– Dziś rano powiedziałeś do mamy, że sprawy nie wyglądają tak źle.

– Ale zobacz, co się potem zdarzyło.

– Zdarzyło się to, że wparowaliście do jej domu i wywołaliście zamieszanie.

Mama odwraca się w fotelu pasażera i potrząsa mapą przed moją twarzą.

– Gdybyś używała mózgownicy, martwiłabyś się, że babka może wywołać pożar, dostać ataku serca, wylewu...

– Ma telefon.

– Na wiele by się dzisiaj zdał – rzuca mama. – A co, jeśli ona gdzieś powędruje i zabłądzi? Ubiegłej zimy pani Glover zamarzła na śmierć.

– Babcia ma komórkę z GPS-em. Trzyma ją w torebce, którą stale nosi przy sobie, nawet w łóżku.

– Mniejsza nawet o nagłe wypadki – mówi tata. – A co z jej dietą? Z jej higieną?

– Możemy tego dopilnować.

– Och, naprawdę? Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz ją wykąpać.

– Poradziłabym sobie, gdybym musiała. Lepsze to niż umieszczenie jej w Greenview Haven.

– Gdyby tylko było to takie proste. – Mama wyjmuje telefon komórkowy. – Jess, mówi Carrie. Byliśmy w szpitalu. Matka Tima straciła przytomność... Nie, dojdzie do siebie, cokolwiek to znaczy. Jest okropnie wychudzona, same skóra

i kości. I Bóg jeden wie, kiedy ostatnio obcinała sobie paznokcie u nóg. Są tak długie, że zawijają się jej pod palce. To było takie żenujące. Na szczęście pielęgniarki obiecały, że je obetną... No cóż, oczywiście ma objawy demencji, ale lekarz mówi, że dopóki nie stanowi zagrożenia, nie możemy umieścić jej w ośrodku.

„Hurra!”

– Tak, wiem, to wariactwo, zupełne wariactwo. Mam z nim do czynienia przez cały dzień – ciągnie mama. – Przynajmniej zabrał jej prawo jazdy.

Chwytam oparcie fotela mamy.

– Odebrał babci prawo jazdy? Jak ona będzie się poruszać?

– Dosyć! – krzyczy tata. Sprawia wrażenie, jakby miał zaraz wpakować nas wszystkich do rowu. – Chodzi o jej bezpieczeństwo.

– O jej bezpieczeństwo? Przecież jeździ powoli!

– Powiedziałem, dosyć! – ryczy tata.

– W każdym razie – mówi dalej mama słodkim tonem przez komórkę – władze okręgu za kilka dni przyślą kogoś, żeby sprawdził, czy jej dom nadaje się do mieszkania dla starszej osoby. Muszę tam ogarnąć, bo pomyśla, że nie troszczymy się o nią, a przecież się troszczymy. Gdybym dostawała pięć centów za każdym razem, gdy usiłowałam u niej posprzątać, a ona na mnie wrzeszczała, byłabym milionerką. Proszę, *proszę*, czy mogłabyś mi w tym pomóc? Czuję się zbyt zakłopotana, by zwrócić się do kogokolwiek innego.

Założę się, że ciotka Jess jest uszczęśliwiona. Uwielbia być szokowana tak samo jak mama. To ich ulubiona rozrywka.

– Dzięki – mówi mama. – Więc do zobaczenia za chwilę.

Rozłącza się.

– Ja też pomogę – oświadczam. – Wiem, gdzie co powinno leżeć.

Mama prycha.

– Narobiłabyś tylko jeszcze większego bałaganu.

– Krowa.

– Co powiedziałaś?!

– Krowa. Patrzę na krowę na tamtym polu. Przeszkadza ci to?

Najwyraźniej tak.

W domu mama wrzuca spódnice i sweter babki do pralki, a jej bieliznę do kosza. Potem bierze kilka toreb na śmiecie, środki czyszczące, butelkę płynu do dezynfekcji rąk i wychodzi spotkać się z ciotką Jess.

Tata wyjmuje z torebki babci kluczyki, wkłada je do starego pudełeczka po spinkach do mankietów, które następnie chowa w najniższej szufladzie swojej komody.

– Uff, chłopie – stęka.

Włącza telewizor, siada w jednym z głębokich foteli i zaczyna suszyć sobie

spoczone stopy ręczną suszarką do włosów.

„Słowo daję, powiedział: Uff, chłopie”.

O szóstej dzwoni mama i oznajmia, że nie przyjdzie na kolację. Tata i ja zjadamy wczorajsze klopsiki. O dziewiątej mama człapie przez drzwi.

– Powinnam zostać świętą – mówi. – Cuchnę cała jak Ptasia Budka.

Idzie do sypialni rozebrać się, żeby wziąć prysznic. Tata podąża za nią. Patrzę na jej ladę pełną sprejów do włosów. I *ona* mówi o cuchnięciu? Zaczynam podsłuchiwać pod ich drzwiami.

– Brud, bałagan. Tyrałyśmy jak woły, a ledwie ogarnęłyśmy z grubsza – mówi mama. – Jak ona może tak żyć? Jak można mówić, że nie stanowi zagrożenia?

– Carrie, co mamy zrobić? Co mamy zrobić?

„Pilnować własnego nosa, ot co. Co z tego, że babcia jest starą dziwaczką? Przynajmniej jest wolna”.

Gdy następnego dnia przed lekcjami wyjmuję ze szkolnej szafki swoje rzeczy, słyszę:

– Durna Bird.

Odwracam się szybko. Korytarz jest zatłoczony. Nie potrafię się zorientować, kto to powiedział. Słyszę to znowu na przerwie między matematyką a fizyką. W porze lunchu przemykam pędem na tył stołówki i siadam plecami do wszystkich. Podchodzi do mnie mój ulubiony girlsband: Lizuska i jej nieodłączne fagaski.

– Chcemy ci tylko powiedzieć, że jesteśmy z tobą – mówi Lizuska.

– Tak – dorzuca Katie. – Ja na twoim miejscu byłabym przerażona.

– Co?

– Twoja babka – szepcze z powagą Lizuska.

– Babcia ma się świetnie. Po prostu upadła, to wszystko.

Lizuska ujmuje moją dłoń, jakby była pielęgniarką czy kimś takim.

– Wiemy, że nic jej nie jest w tym sensie, że niczego sobie nie złamała. Ale chodzi o jej umysł. Ciotka Carrie mówi, że jej umysł jest jak mieszkanie, z którego zniknęły meble i zostały tylko tapety.

– Co takiego? – rzucam i szarpnięciem wyswabdam rękę.

– Daj spokój! Nie potrafiła powiedzieć lekarzowi, jaki był dzień tygodnia. Nie знаła nawet pory roku.

– Wiedziała jedno i drugie. Po prostu zadawał głupie pytania, więc je zlekceważyła.

– Nie złość się – mówi Katie. – Przecież nikogo nie osądzamy.

– Ani trochę – dodaje Caitlyn. – Teraz rozumiemy, dlaczego zachowujesz się jak stuknięta. Jesteś zestresowana. To znaczy widziałyśmy Ptasia Budkę, ale te inne rzeczy!

– Nie powinnaś się czuć zawstydzona – mówi Lizuska. – Tak bywa.

Cofam rękę.

– Babcia ma się świetnie. Widuję ją codziennie.

– Więc wiesz o tej dziurze w oparciu jej kanapy. Ciotka Carrie uważa, że mieszka w niej wiewiórka. – Lizuska wzdycha ciężko. – I dowiesz się też o plamach po moczu.

– Nie ma tam żadnych plam po moczu.

Lizuska przygryza usta.

– No cóż, mogę ci tylko poradzić, żebyś nie siadała na fotelach w salonie. Moja mama powiedziała: „Widocznie tej biednej kobiecie zabrakło pieluch”.

– Przestań zmyślać.

– Nasze mamy zużyły dwie butelki ajaxu na wyszorowanie łazienek, a smugi

na dnach sedesów wciąż nie znikły. Musiały też wyrzucić chodnik i połowę dywanów, bo były zbyt obrzydliwie zapaskudzone, żeby móc oddać je do czyszczenia. Poważnie, tak się bały zarazków i grzyba, że musiały włożyć rękawice kuchenne.

– Jeśli ciotka Jess tak ci powiedziała, to kłamie!

– Mama nie musiała mi nic mówić – oznajmia Lizuska. – Byłam tam i sama widziałam.

– Byłaś w domu mojej babci?

– Poszłam po szkole, żeby pomóc. Przejrzałam szuflady. Musiałam wyrzucić jej bieliznę. Pfuj!

– A gdzie ty byłaś, kiedy Madi sprzątała brudy twojej babki? – pyta Katie.

– Była w domu – wyjaśnia Lizuska. – Ciotka Carrie nie chciała jej pomocy.

Zrywam się na nogi.

– Zamknij dziób!

– Zoe, ludzie patrzą – mówi Caitlyn.

– Mam to gdzieś! – Walę obiema pięściami w stół. – Kocham babcię.

– Czyżby? – mówi Caitlyn. – Madi odwalila całą robotę, a ty nawet nie kiwnęłaś palcem.

– Zdechnijcie i idźcie do diabła! – Wymaszerowuję z sali, rzucając w stronę stolików: – No, na co się tak gapicie, wypierdki?

Kiedy dochodzę do domu babki, serce mi się ściska. Jej corolla stoi na końcu podjazdu. Za szybą jest kartka z ofertą sprzedaży i numerem naszego telefonu. Babka siedzi za kierownicą, ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Ma na sobie sukienkę w szkocką kratę i czarny sweter, wyprane. Na jej ramieniu wisi czerwona torebka.

Zeskakuję z roweru i siadam w fotelu pasażera.

– Babciu.

Jej twarz się rozpromienia.

– Zoe! Jakie jest magiczne słowo?

– Rabarbar.

– Pieróg – mówi z radosnym uśmiechem.

– Babciu, co robisz na dworze, w samochodzie?

– Nie wiem. Pewnie zamierzałam dokądś pojechać. Dobrze, że przyszłaś teraz, bo później byś mnie nie zastała. – Sięga ręką, żeby wyjąć kluczyk ze stacyjki. – Gdzie się podziały moje kluczyki?

– Pewnie zostawiłaś je w przedsionku – kłamię.

– No powiedz, czy to nie głupie? – Babka wysiada z samochodu i prowadzi mnie w kierunku domu. – Wiesz, Zoe, przez cały dzień mam dziwaczne wrażenie, że byłam w szpitalu. To wydaje się takie rzeczywiste, a przecież jestem tutaj.

– Upadłaś. Zatrzymali cię w szpitalu na noc. Dziś rano mama i tata przywieźli cię do domu.

Babka wzdycha z ulgą.

– Więc jednak nie zbzikowałam. – Otwiera drzwi i wchodzimy do środka. Babka nieruchomieje. – Gdzie dywan?

– Mama chyba oddała kilka chodników do czyszczenia.

– No, więc lepiej niech je przyniesie z powrotem. Ludzie biorą rzeczy i one potem znikają na zawsze. – Wtyka głowę do gabinetu. – Coś jest nie w porządku.

Spogląda w górę schodów.

– Nie w porządku – powtarza. Wbiega do salonu i kurczowo chwyta się brzegu pianina. – Podłogi. Dlaczego widzę podłogi? Kto ukradł moje dywany?

– Nic się nie stało, babciu. Mama po prostu poprzenosiła rzeczy.

– Dokąd? Jak mam teraz cokolwiek znaleźć? – Przyciska dłoń do piersi. – Muszę stąd wyjść. Potrzebuję powietrza. Nie mogę oddychać.

Idę za nią na werandę. Kołyszymy się na huśtawce, póki się nie uspokaja.

– Zoe, mogę cię o coś spytać? Tak tylko między nami.

– Pewnie.

Babka zerka przez ramię, jakby się obawiała, że ktoś podsłuchuje.

– Czy twoi rodzice mnie szpiegują?

– Dlaczego mieliby cię szpiegować?
– Żeby wiedzieć, co robię. Dokąd idę. Potrzebują jakiegoś pretekstu, żeby umieścić mnie w ośrodku. Żeby ukraść mi dom. Powiedziałyby mi, gdyby mnie szpiegowali, prawda?
– Jasne.
Babka zastanawia się chwilę.
– Mogę cię zapytać o coś jeszcze?
– O co tylko chcesz. Zawsze.
– Więc powiedz mi szczerze. – Zatrzymuje huśtawkę. – Czy ja tracę rozum? Gdyby ktokolwiek inny zapytał, czy moja babka traci rozum, odpowiedziałabym: „Nie wygłupiaj się”. Tylko że to pyta ona sama. Wbijam wzrok w swoje stopy.
– To dziwne pytanie.
– Czyli tak jest.
– Tylko czasami, babciu. I co z tego? Ja też zapominam o różnych rzeczach. Każdemu się zdarza, to normalne.
– Mam nadzieję.
– Poza tym jesteś coraz starsza. Masz coraz więcej do zapamiętania.
Babka stara się uśmiechnąć.
– Prawda? Kiedy przechyliłam głowę, wspomnienia wypadają mi uszami. – Przez chwilę słuchamy głosu sójki. – Zoe, niekiedy myślę jasno, tak jak teraz. Ale mówiąc między nami, niewiele pamiętam z dzisiejszego poranka i boję się, jak będzie ze mną wieczorem.
– Dzisiejszy poranek się nie liczy. Byłaś w szpitalu.
Odwraca wzrok.
– Twój dziadek i ja sprowadziliśmy się tutaj, żeby zaopiekować się jego ojcem. Później opiekowałam się *nim*. Teraz przyszła kolej na mnie, a nie mam nikogo. – Wygląda sukienkę. – Och, mniejsza z tym. Po prostu muszę wziąć się w garść.
– *Ja* jestem przy tobie, babciu – mówię cicho, nieśmiało.
– Owszem. Ty jesteś taka jak Teddy.
– Powiedziałaś mi to wczoraj.
– Naprawdę?
– Nigdy o nim nie mówisz. A teraz wspomniałaś go dwa dni z rzędu.
– Chyba tak – mówi babka. – Coraz częściej o nim myślę. Czy to nie dziwne? Im bardziej się starzejemy, tym więcej rozmyślamy o przeszłości. Dlaczego tak się dzieje?
– Może dlatego, że każdego dnia przybywa tej przeszłości?
Babka chichocze.
– Ach, ty! – Spogląda na podwórze. – Dziadek i ja każdego lata

przywoziliśmy tutaj Teddy'ego i twojego tatę, żeby odwiedzili twojego pradziadka.

– Czy wtedy w wylocie rynny mieszkały chochliki? – pytam z uśmiechem.

– Och, tak. – Babka też się uśmiecha. – Od tamtego czasu chochliki zawsze zostawiają w wylocie rynny cukierki. Poza tym Teddy miał porcelanowe figurki chochlików i bawił się nimi. Kiedy mu je kupiłam, twój dziadek bardzo się na mnie rozgniewał.

– Czy mój tata też się nimi bawił?

Babka przewraca oczami.

– Tylko raz. Myślał, że potrafią latać, więc rzucił je w górę i się stłukły. Teddy się rozzłościł, ale mu wybaczył, bo twój tata miał wtedy zaledwie dwa lata. Zresztą wówczas Teddy był nastolatkiem. Nie interesował się już chochlikami i zajął się robieniem na drutach.

– Co dziadek powiedział na t o?

– Nawet nie pytaj! Powiedziałam mu wtedy, żeby się zamknął i że gdyby więcej mężczyzn robiło na drutach, świat byłby mniej pokręcony. – Twarz babki łagodnieje. – Teddy zrobił przepiękne swetry, rękawiczki, zimowe skarpety. Kiedyś wydziergał dla nas obojga identyczne szaliki, żółto-pomarańczowe z purpurowymi zygzakami, sięgające aż do kolan. Teddy. Gdyby tu był, obroniłby mnie. Ale umarł.

Milknie, lecz jej wargi poruszają się bezgłośnie, jakby przemawiała do kogoś.

– Babciu – szepczę – zrobić ci kanapkę?

Kiwa głową, ale z nieobecny wyrazem twarzy.

Wchodzę do domu. Mama i ciotka Jess napełniły lodówkę i zaściły łóżko babki czystą pościelą. Przy komodzie stoi pudełko pieluchomajtek, a szuflada jest pełna nowej bielizny i grubych skarpet. Łazienka też jest czystsza. To dobrze. Babka potrzebuje właśnie tylko trochę pomocy.

I nagle już wiem, co zrobię.

Po powrocie do domu bardzo staram się zachowywać grzecznie. Bez proszenia nakrywam do stołu. Zamykam oczy, gdy tata przed posiłkiem odmawia modlitwę. Zamiast niecierpliwie sięgać po jedzenie, pytam:

– Proszę, czy mogłabyś mi podać tę duszoną potrawkę?

Mama patrzy na mnie podejrzliwie.

– Oczywiście – odpowiada i podaje mi ją.

– Dziękuję.

– A więc... – zagaduje – byłaś dziś u babci?

– Tak – odpowiadam miłym tonem.

Mama rozsiada się na krześle jak kura na jajach.

– Może na przyszłość odwiedzaj ją dopiero po szkole. Ostatnio często dzwonią do mnie z sekretariatu i informują, że opuszczasz lekcje.

– Dobrze. Przepraszam – mówię.

Uśmiecham się i żuję kęs jedzenia. I żuję. I żuję.

Moi starzy marszczą czoła, jakby usiłowali dociec, dlaczego jestem taka grzeczna. Wzrok kuchennego zegara w kształcie sowy wędruje pomiędzy nami.

W końcu przełykam kęs.

– Ty i ciotka Jess naprawdę napracowałyście się przy sprzątanii domu babci. Łazienki i kuchnia wyglądają wspaniale.

– No... eee... dziękuję. Zresztą to dopiero początek.

– Madi mówi, że wysprzątała szufladę z bielizną babci.

Mama mruga zmieszana.

– To był pomysł ciotki Jess. Nie miałam pojęcia, że Madi tam przyjdzie.

– Och, nie mam nic przeciwko temu. Wszystko dla dobra babci.

Mama odchyła się do tyłu na krześle. Wydaje się, że tata po raz pierwszy od wieków oddycha swobodniej.

Pora na mój ruch.

– Wiem, że ostatnio byłam dla was utrapieniem. Sprawiałam wam niepotrzebnie mnóstwo kłopotów i to nie było z mojej strony w porządku, zwłaszcza że wiedziałam, tato, o twojej wysypce, o twojej alopecji, mamo, i o wszystkim innym. Więc chcę powiedzieć, że was przepraszam i że mam pomysł, jak wam ulżyć.

– Ach, tak? – rzuca mama, a tata mówi:

– Zamieniamy się w słuch.

Pochylają się do przodu, czekając na ten Cud Wieczery.

Biorę głęboki wdech.

– Tak sobie pomyślałam: A gdybym przeprowadziła się do babci? Mogłabym przynosić jej stąd posiłki i sypiać w jednym z pokojów gościnnych.

W ten sposób nie musielibyście się martwić o nią ani denerwować mną.

Gapią się na mnie jak dwie ogłupiałe żaby. Tata wierci się na plastikowym krześle, które wydaje odgłos przypominający pierdnięcie.

– To bardzo interesujący pomysł. Bardzo oryginalny. Bardzo...

– Bardzo wielkoduszny – mówi mama. – Ale, kochanie, obawiam się, że sytuacja twojej babki jest znacznie bardziej skomplikowana. Co się może zdarzyć, kiedy będziesz w szkole, a ona zostanie sama? Albo jeśli w środku nocy rozpali ogień w piecu kuchennym i spowoduje pożar, podczas gdy ty będziesz spała na piętrze?

– Nic takiego się nie stanie.

– Skąd wiesz? I pomyśl też o wszystkich tych pokusach, jakie by na ciebie czyhały.

– To znaczy?

– No wiesz – mówi. – Mam na myśli to, co znalazłam w twoim pudełku po Wymarzonym Domku Barbie.

– Te rzeczy nie należały do mnie.

– Tak czy owak, jesteśmy za ciebie odpowiedzialni. Pomyśl, co ludzie by powiedzieli.

– Nic gorszego od tego, co już teraz mówią.

– Odpowiedź brzmi: nie.

Zapada niekończąca się – naprawdę niekończąca się – cisza. Tata wygląda, jakby nie był pewien, czy ma nadal oddychać.

Gmeram widelcem w mojej potrawce, powoli i spokojnie.

– Czy to prawda, że jestem podobna do stryjka Teddy’ego?

Twarz taty szarzeje.

– Kto ci to powiedział?

– Babcia. Wspomniała o tym ostatnio dwa razy. A więc, jestem podobna?

– Nie – mówi mama.

– Skąd miałybyś wiedzieć? On umarł, zanim tata się tu sprowadził. –

Przenoszę wzrok z powrotem na niego. – *Jestem?*

– Nie mów tak niegrzecznie do swojej matki.

– Babcia mówi, że on by się nią zaopiekował – rzucam. – Mówi, że nigdy nie oddałby jej do domu starców.

– Kto wie, co by zrobił? – mówi tata.

Ściskam w ręce widelec.

– Jak umarł?

– Co takiego?

– Stryj Teddy. Jak umarł? Czy popełnił samobójstwo?

– Dlaczego tak myślisz?! – wykrzykuje mama.

– Bo nigdy o tym nie mówicie. Dlatego myślę, że to musiało być coś

straszego, a co jest straszniejszego od samobójstwa? Więc czy to zrobił?

Znowu zapada cisza.

– Właściwie nie – mówi wreszcie tata.

– Co to znaczy „właściwie nie”?

– To, co powiedziałem.

– Posłuchaj, popełnił samobójstwo albo go nie popełnił. Tak czy nie?

Tata ciska serwetkę na stół i wychodzi z pokoju. Mama rzuca mi ostre spojrzenie i zaczyna sprzątać naczynia.

Gwałtownie unoszę rękę.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Jak gdybyś nie wiedziała – mówi mama i także opuszcza pokój.

– Wiem tylko, że babcia powiedziała, że jestem taka sama jak stryj Teddy. –

Wstaję i wołam za nią: – Dlaczego nie mogę się dowiedzieć, jak umarł?!

„Stryku Teddy, jesteś jak coś ukrytego na strychu. Poza zasięgiem wzroku, ale nadal w pobliżu. Co się wydarzyło? W jaki sposób umarłeś?”

Nazajutrz w szkole myśl o stołówce przyprawia mnie o mdłości, więc jem lunch na parkingu. Eric leży bezwładnie na bruku, jakby przedawkował albo co.

„Może właśnie tak umarł stryj Teddy? Czy to dlatego moi starzy tego lata tak się na mnie wkurzyli?”

Na fotografii na nocnym stoliku babki stryj Teddy ma takie same kręcone włosy jak ja, ale inne oczy. Jego spoglądają z rezerwą; moje są wyłupiaste jak u Pani Bulwy.

Dzwoni moja komórka.

– Zoe, przyjdź szybko, w domu jest złodziej.

– Uspokój się, babciu. To tylko mama i ciotka Jess poprzemieniły twoje rzeczy. Przyjdę do ciebie po szkole.

– Nie, teraz! – wykrzykuje babka. – Wróciłam z dworu, usłyszałam hałasy na piętrze i chwyciłam nóż kuchenny. Ten złodziej był w mojej sypialni. Zapędziłam go do szafy!

Słyszę syreny.

– Już ruszam.

Docieram na miejsce i widzę przy klonie dwóch gliniarzy trzymających jakiegoś nieznanego podejrzanego typu. Na chodniku zbierają się w grupkach sąsiedzi. Rzucam rower i wbiegam po schodkach na werandę.

– Stój! – woła za mną jeden z gliniarzy.

– Tam jest moja babka. – Wpadam do domu. – Babciu!

– Zoe! – krzyczy z gabinetu. – Dzięki Bogu, że przyszłaś.

Troje innych gliniarzy siedzi ciasno wokół niej na kanapie.

– Kim jesteś? – pyta jeden z nich, kudłaty.

– Zoe Bird. To moja babcia. Zadzwoiła do mnie i zawiadomiła o włamaniu.

– Powiedz im – mówi babka. – Mnie nie chcą słuchać. Można by pomyśleć, że to ja jestem złodziejką!

– Zastaliśmy twoją babkę przetrzymującą pracownika okręgowej opieki społecznej jako zakładnika – oznajmia gliniarz z wielkimi uszami.

– Co?

– Ten pracownik opieki zastał otwarte drzwi. Kiedy nikt nie odpowiadał na dzwonek, wszedł do środka, żeby się upewnić, czy twojej babce nic się nie stało. Trafił do sypialni na piętrze. Twoja babka zagroziła mu wyjście, grożąc nożem kuchennym. Schował się w szafie i zadzwonił do nas.

– Widocznie, gdy jest się starym, nie wolno się samemu bronić – warczy babka. – Widocznie obcy mogą się włamywać, okradać cię i robić Bóg wie co jeszcze.

– U babci brakuje kilku dywanów – wyjaśniam. – Boi się złodziei.

– Pan Weldon się jej przedstawił – mówi policjantka.

– I co z tego? – rzuca babka. – Uwierzylibyście obcemu, którego znaleźlibyście w waszej sypialni?

Do pokoju wbiega pośpiesznie tata, a tuż za nim mama.

– Jestem Tim Bird, jej syn. A to Carrie, moja żona. – Dostrzega mnie. – Zoe?

Co ty tu...?

„Nie. Zamknij się. Po prostu się zamknij”.

Odwraca się do babki.

– Matko, jak mogłaś?

– Jak mogłam co? – pyta babka.

– Groziłaś nożem kuchennym pracownikowi opieki społecznej!

– Kto tak mówi?

– I co teraz będzie? – pyta gliniarzy mama.

– Pan Weldon nie zamierza wnieść oskarżenia – mówi wielkouchy gliniarz – ale to poważny incydent. Nie chcemy, żeby ktokolwiek ucierpiał. Czy ktoś może jej stale pilnować?

– *Ona* nie potrzebuje być pilnowana – wtrąca babka. – *Ona* nie jest dzieckiem.

Mama ignoruje jej słowa.

– Nie. Oboje pracujemy.

Tata wtyka palce pod kołnierzyk koszuli.

– Może moglibyśmy przedyskutować tę sprawę na drugim końcu korytarza? – proponuje. Gliniarze kiwają głowami. – Zoe, zostań tu z babcią.

– Nigdzie nie zostaniemy – mówi babka. – Idziemy na werandę. Kiedy wrócimy, lepiej, żeby was już tu nie było. – Wymaszerowuje na zewnątrz. – Jazda z mojego chodnika! – wrzeszczy do sąsiadów i siada na huśtawce.

Podchodzę do balustrady i przynoszę jej ptasie gniazdo z paskami cynfolii.

– Pamiętasz, kiedy to dostałaś?

Babka natychmiast się uspokaja, oczy jej rozbłyskują.

– Opowiedz mi.

– Tata czyścił rynnę na dachu twojego domu i znalazł to gniazdo. Były w nim pisklęta. Położyłaś gniazdo na parapecie i ich matka je znalazła. Obserwowałyśmy, jak karmiła pisklęta, dopóki nie nauczyły się latać.

Babka gładzi gniazdo.

– Jak myślisz, co się z nimi stało?

– Pewnie przylatują do twoich karmników razem ze swoimi dziećmi i wnukami.

– Ptasie babcie – mówi babka, chichocząc.

Zaczynamy wymyślać różne historie o ptakach i zapominamy o całym świecie, póki nie zjawiają się moi rodzice z gliniarzami.

– Tim. Carrie. – Babka mruga zaskoczona. – Co tu robi policja?
– Szuka tych ludzi, którzy cię okradają – odpowiada tata.
– Rychło w czas.
– Pani Bird, zgromadziliśmy wszystkie potrzebne dowody – oznajmia policjantka.
– Bogu dzięki – mówi babka.
Ściska dłonie gliniarzom. Oni wychodzą, a sąsiedzi powoli wracają do swoich domów.
– A więc, matko – odzywa się tata – czy chciałabyś zajrzeć do nas i coś zjeść?
– Dziękuję, nie jestem głodna. Zjadłam solidne śniadanie.
– To niedzielny obiad – kłamie tata. – Chyba nie chcesz sprawić zawodu Zoe, prawda?
– No, więc dobrze. Zrobię to dla Zoe – decyduje się babka i mruga do mnie. Odmrużuję do niej. Założę się, że przez cały dzień nie miała nic w ustach. W drodze do naszego samochodu mama nachyla się i szepcze mi do ucha:
– Powinnaś wrócić do szkoły.
Jednak babka to słyszy.
– Nie bądź głupia – zwraca się do niej. – W niedzielę nie ma lekcji. Zoe, wskakuj do auta.
– Ona przyjechała rowerem – mówi mama.
– Zabiorę go później – oświadczam cała w skowronkach.
Tata otwiera dla babki drzwi od strony fotela pasażera. Mama siada z tyłu, a ja zajmuję miejsce obok niej.
Na rogu zazwyczaj zjeżdżamy na główną ulicę. Tym razem jedziemy dalej prosto. „Co, u licha?”. Skręcamy w lewo przy Malcolm Street, potem w prawo, i jedziemy wzdłuż cmentarza. „Nie!”
Zachowuję spokój ze względu na babkę.
– Chyba nie jedziecie tam, dokąd myślę, co? – pytam.
Tata zachowuje się, jakby mnie tu nie było.
– Matko, spójrz na te dzikie róże. Cmentarz jest tak wspaniale utrzymany.
– Jedziemy odwiedzić grób twojego ojca? – pyta go babka. – Więc powinniśmy się zatrzymać i kupić kwiaty.
– Nie dziś – odpowiada tata. – Po prostu wybraliśmy się na przejażdżkę.
„Nieprawda. Co mam powiedzieć? Jak postąpić?”
Mijamy bramy cmentarza. Na końcu szosy widać ośrodek Greenview Haven.
– Mamo, tato, proszę, nie – błagam.
– Zoe, dla naszego dobra nie rób scen – mówi mama.
Tata odwraca się do babki.
– Myślę, że liście wkrótce staną się czerwone i złote. Czyż to nie będzie

piękne, matko?

Gardło mam szorstkie jak papier ścierny.

– To nie w porządku – mówię.

– Zatelefonowaliśmy do doktora Milne’a – informuje mnie mama. – Podpisał i przefaksował dokumenty. To już załatwione.

– Co jest załatwione? – pyta babka.

Tata włącza radio.

– Posłuchajmy muzyki.

– Spytałam, co jest załatwione? Wyłącz ten hałas.

– Proszę, tato...

Wjeżdżamy na parking i przemierzamy owalny podjazd. Czekają na nas jakaś kobieta i dwaj pracownicy opieki społecznej. Tata wyskakuje z samochodu, a kobieta otwiera drzwi od strony babki i mówi:

– Bardzo mi miło panią poznać, pani Bird. Jestem Gloria Beckwith.

Ściska dłoń babki i wyciąga ją z samochodu.

– Babciu! Zostań w środku. To pułapka. – Bezskutecznie szarpie klamkę drzwi po mojej stronie; tata zablokował zamek. Staram się wygramolić nad oparciem fotela na przód pojazdu. – Babciu, to Greenview!

Mama usiłuje mnie powstrzymać.

– Przestań, Zoe. To dla niej najlepsze.

Babka orientuje się, gdzie jest.

– Greenview! – wykrzykuje. Próbuje się cofnąć, ale stojący za nią mężczyźni chwytają ją za łokcie. – Zoe! Pomóż!

– Nie mogę! Jest ich zbyt wielu!

Babka kopie mężczyzn po nogach.

– Gdzie jest Teddy? Potrzebuję go!

– Teddy nie żyje – mówi tata. – Spodoba ci się tutaj.

Mężczyźni wloką ją w kierunku szklanych drzwi. Drzwi się rozsuwają.

– Teddy na to nie pozwoli! Teddy! Zoe! Teddy!

Babka znika we wnętrzu domu opieki.

Gdy tata wraca do samochodu, nie mam już sił krzyczeć. Kiedy wyjeżdżamy z parkingu, oboje z mamą naskakują na mnie. Ledwie ich słucham. Wciąż słyszę krzyk babki, widzę, jak się szamocze. „Wydarzyło się wszystko, czego się obawiała. Obiecałam jej, że do tego nie dopuszczę, i zawiodłam. Czy mnie obwini? Czy mi wybaczy?”.

– Ta scena, którą urządziłaś – nadaje mama. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co pani Beckwith o tym pomyślała.

„Kogo to obchodzi?”.

– Tak bardzo się staraliśmy, żeby umieszczenie tam babki przebiegło gładko. To nie musiało się stać w taki sposób.

„Nie musiało się w ogóle stać”.

– Czy ty słuchasz, co do ciebie mówię?

– Nie.

Tata hamuje gwałtownie. Opiera głowę na kierownicy.

– Zoe. Nigdy tego nie chcieliśmy.

– Oczywiście, że chcieliście. Wrobiliście ją celowo. Ktoś powinien być u niej w domu, kiedy zjawił się tamten facet.

– Pracowaliśmy – mówi mama.

– Zrobiliście to ze względu na wuja Chada i ciotkę Jess.

– To nieprawda.

– Owszem, prawda. Zresztą mniejsza z tym. Mogliście wysłać do niej mnie.

– Miałaś lekcje – mówi tata.

– Matematyka jest ważniejsza od babci? Poza tym nie musieliście zawozić jej do Greenview. Mogliście ją zabrać do nas.

– W domu ledwie wystarcza miejsca dla nas trojga – mówi mama. – I co z salonem fryzjerskim? Wtykałaby nos we wszystko, wygadywałaby Bóg wie co. Moje dziewczyny czułyby się skrępowane.

– One są ważniejsze niż babcia?

– Nie, ale bez nich z czego płacilibyśmy rachunki?

– Poza tym – mówi tata – co by było, gdyby babcia któreś nocy obudziła się i postanowiła wrócić do Ptasiej Budki? Myślisz, że pamiętałaby drogę? Po ciemku ulice wyglądają inaczej. Kto wie, co mogłoby się jej stać?

– Jak poradzilibyśmy sobie z jej manią zbierania śmieci? – dokłada mama. – Chciałabyś widzieć je na naszym trawniku, w domu?

– Nie są gorsze od twoich kretyńskich suszarek, od twojego kretyńskiego neonowego szyldu i twojego kretyńskiego zegara w kształcie sowy – rzucam.

Mama gryzie się w język, powstrzymując ostrą ripostę. Mierzymy się spojrzeniami, która pierwsza odwróci wzrok.

– No, już dosyć – mówi tata.

Bierze dziesięć głębokich oddechów i rusza dalej. Po paru minutach jesteśmy w domu.

– Nie mogę się doczekać, kiedy się zestarzejesz – mamrocę do mamy, gdy wchodzimy do środka. – Zamknę cię w Greenview tak szybko, że nawet się nie obejrzysz. A kiedy będziesz wrzeszczeć i lamentować jak babcia, tylko się roześmieję.

Twarz mamy wykrzywia grymas.

– Marsz do swojego pokoju.

– Doskonale. I tak nie chcę na was patrzeć.

– I nie dostaniesz lunchu.

– Jeszcze lepiej. Nie jestem głodna.

Nazajutrz, sobota rano.

Mama i tata wychodzą o ósmej zawieźć trochę rzeczy babki do Greenview, żeby poczuła się tam bardziej u siebie. Ja muszę zostać w domu, bo nie chcę powtórki z wczorajszego dnia. I zapowiadają stanowczo, że jeśli kiedykolwiek jeszcze zachowam się tak jak wczoraj, nigdy więcej nie zobaczę się z babcią.

Ale chociaż nie widzę się z nią, mam od niej wiele wiadomości. Po raz pierwszy dzwoni do mnie tuż po wyjściu moich starych.

– Zoe, obudzili mnie jacyś obcy ludzie. Powiedzieli, że zaprowadzą mnie na śniadanie. Odpędziłam ich, ale mogą wrócić. Nie wiem, gdzie jestem. Musisz mnie odszukać.

– Uspokój się, babciu. Jesteś w Greenview Haven.

– W okręgowym domu opieki?

– Tak.

– Skąd się tu wzięłam? Muszę wrócić do domu. Inaczej włamią się tam złodzieje. Okradną mnie.

– Wkrótce odwiedzą cię moi rodzice. Będziesz mogła opowiedzieć im o tym wszystkim.

– Bogu dzięki.

Drugi telefon. O ósmej trzydzieści pięć.

– Zoe, leżę w jakimś dziwnym łóżku. Za oknem jest parking, a za nim widzę cmentarz. Coś jest nie w porządku.

– Mama i tata już jadą do ciebie.

– Lepiej niech się pośpieszą. Jakiś wariat w głębi korytarza wciąż wrzeszczy: „Pomocy! Pomocy!”. Zastawiłam drzwi komodą.

– Odsuń ją, babciu, bo pomyślą, że zbzikowałeś.

– Kto?

– Personel Greenview.

– Greenview? Jestem w Greenview?

- Tak.
- Dlaczego nikt mi nie powiedział?
- Widocznie tata zapomniał. Jest już w drodze.
- Nie będę tu tkwić i czekać na twojego ojca. Gdzie mój samochód?
- W domu.
- Może powinnam zadzwonić po taksówkę.
- Nie, babciu. Zaczekaj na tatę.

Trzeci telefon. O ósmej pięćdziesiąt pięć.

- Zoe, jestem w jakimś pokoju...
- Wiem. Czy masz w torebce ołówek?
- Zobaczę... Zoe, ktoś grzebał w mojej torebce. Ukradziono mi kluczyki do samochodu.

- Nie denerwuj się, są bezpieczne.
- Gdzie?
- Później ci wyjaśnię. Teraz po prostu poszukaj ołówka.
- Dobrze. Mam ołówek. I co dalej?
- Zapisz sobie na grzbiecie dłoni: „Tim przyjedzie”.
- Przyjedzie twój tata?
- Tak. Napisz to na dłoni. „Tim przyjedzie”.
- „Tim przyjedzie”. Gotowe.

– Świetnie. Kiedy następnym razem będziesz sięgać po telefon, odczytaj to z dłoni.

- „Tim przyjedzie”.
- Właśnie.
- Co za ulga. Nie wiem, co bym poczęła bez ciebie. Kocham cię, kotku.
- Ja też cię kocham.

Przez godzinę jest spokój. A potem:

- Zoe. – W tle słychać dźwięki fortepianu i śpiew. – Byłam w tym pokoju.

Twoi rodzice zaczęli przynosić moje rzeczy. Powiedziałam im, żeby zabrali je z powrotem do mojego domu. Powiedzieli, że teraz to jest mój dom. Co się dzieje?

- Daj mi do telefonu tatę.
- Nie ma go tu.
- A gdzie jest?
- Skąd miałabym wiedzieć?
- Więc gdzie ty jesteś?
- Nie wiem. Gdziekolwiek to jest, pełno tu kanap i starych ludzi. Dobry

Boże!

- Co takiego?
- W pokoju naprzeciwko jest chyba doktor Rutherford. Strzeż się doktora Rutherforda. Bez względu na to, co ci dolega, on bada twoje kobiece narządy.

Kaszlesz? On zbada twoje kobiece narządy. Masz grypę? Zbada twoje kobiece narządy.

– Babciu, doktor Rutherford przeszedł na emeryturę, jeszcze kiedy byłam mała.

– To diabeł wcielony. I co on wyprawia z Moną Peasley?

– Z kim?

– Z wdową po Fredzie Peasleyu. Jej mąż był przedsiębiorcą pogrzebowym. Przyłapano go, jak wypychał zwłoki gazetami. Myślałam, że Monę umieszczono w domu opieki.

– Babciu, zaczekaj tam spokojnie. Zatelefonuję do taty. Jak tylko się dowiem, co się tam dzieje, oddzwonię do ciebie.

– Dobrze. Mija mnie jakaś kobieta z wózkiem z ciasteczkami i sokiem pomarańczowym.

– Porozmawiamy za chwilę.

Rozłączam się i wybieram w komórce numer do taty. Odbiera telefon.

– Tato, gdzie wy się podzialiście?

– Jesteśmy w pokoju babci. Rozpakowujemy jej rzeczy.

– Ona jest przerażona. Jedno z was musi z nią posiedzieć.

– Teraz nie możemy. Mamy tu zbyt wiele roboty.

– Wobec tego ja przyjadę.

– Zoe, jeśli nie chcesz, żeby wykreślono cię z listy odwiedzających, zostań tam, gdzie jesteś. Pilnuje jej bardzo miła pielęgniarka. Odrób lekcje. Muszę kończyć.

Oddzwaniam do babci.

– To ja, Zoe.

– Zoe, tracę zmysły. Jestem w tym pokoju z ludźmi, których nie widziałam od lat. Myślałam, że oni już nie żyją.

– Przyjdę jutro.

– Potrzebuję cię teraz.

– Nie mogę się ruszyć z łóżka – kłamię. – Przez cały dzień wymiotuję.

– Ojej! Musisz zadbać o siebie.

– Dobrze, tak zrobię. Posłuchaj, przede wszystkim weź pióro. Chcę, żebyś zapisała sobie coś na dłoni.

– Mam już coś napisane na dłoni. „Tim przyjedzie”.

– Zetrzyj „Tim” i napisz „Zoe”. Potem dodaj „jutro”. Dobrze?

– Dobrze... „Zoe przyjedzie jutro”. Świetnie. Już się czuję lepiej.

Gdy wracają mama i tata, wiruję w fotelu od umywalki, słuchając muzyki na słuchawkach. Zamykam oczy i rytmicznie kiwam głową, jakby ich tu nie było.

– Babcia dostała uroczy pokój – mówi mama. – Urządziliśmy go jej bardzo przytulnie.

– Przy łóżku na nocnym stoliku są rodzinne fotografie – dorzuca tata. – Ma też lampę i dwa obrazy ze swojego salonu. Przywieźliśmy jej nawet ogrodowego krasnala.

Nadal kołyszę głową, z zamkniętymi oczami.

– Skarbie – mówi mama zmęczonym głosem. – Wiemy, że nas słyszysz.

Rzucam jej spojrzenie mówiące: „Oczekujecie medalu za to, co zrobiliście?”.

– Zadaliśmy sobie dla niej wiele trudu.

– Zamknęliśmy ją pod kluczem.

– To wcale nie tak – zaprzecza tata. – Możemy przywozić ją do nas na obiady i na noc. Ona po prostu nie może mieszkać bez nadzoru.

– Czyli tak jak powiedziałam, jest uwięziona.

– Jest *pensjonariuszką*. W domu, w którym odpowiednio ją karmią, nawadniają, kąpią i dbają o nią – mówi mama. – Prawdę mówiąc, należało umieścić ją tam już wcześniej. Nigdy dotąd nie widzieliśmy jej tak zdezorientowanej i zagubionej.

– O rany, ciekawe dlaczego? Wtargnęliście do jej domu, niemal przyprawiając ją o udar, tak że wylądowała w szpitalu. Potem poprzestawialiście jej meble, a kiedy broniła się przed włamaniem, została zamknięta w obcym miejscu i musi słuchać poleceń nieznanym ludzi. I jeszcze się dziwicie, że czuje się zdezorientowana? Dajcie spokój!

– Kochanie, to, co spotkało babkę, jest przykre – mówi tata. – Ale nie możesz wciąż zamykać oczu na rzeczywistość.

– Nie zamykam oczu na rzeczywistość. Wskazuję fakty. A oto jeszcze jeden: oni tam faszerają ją prochami, prawda?

Tata ma zakłopotaną minę.

– Dostaje tylko środki antydepresyjne i uspokajające. Po to, żeby czuła się szczęśliwa.

– Wiesz co? Wcale nie jest szczęśliwa. No więc mam pomysł. Dajcie te jej lekarstwa *mnie*. W ten sposób ona odzyska jasność umysłu, a ja będę mogła zapomnieć o waszym istnieniu.

Podkręcam muzykę i wymaszerowuję korytarzem do swojego pokoju.

„Dlaczego oni muszą być sobą? Dlaczego ja muszę być mną?”.

W środku nocy moja komórka dzwoni dwa razy. Widocznie dla babki jest zbyt ciemno, żeby mogła odczytać napis na dłoni. Wyłączam dzwonek i zmieniam

nagranie na poczcie głosowej: „Jeżeli to ty, babciu, to nie jesteś u siebie w domu, ale wszystko w porządku. Detektyw Bird odwiedzi cię rano. A do tego czasu: rabarbar!”.

Gdy budzę się w niedzielny rano, mam siedem nagranych wiadomości:

„Pieróg! A więc dobrze”.

„Pieróg! Nie mogę czekać do rana”.

„Pieróg! Gdzie jest Teddy?”.

„Pieróg! Czy tam za oknem to cmentarz?”.

„Pieróg! Czy to mi się śni?”.

„Pieróg! Przyrowadź Teddy’ego”.

„Pieróg! Już rano. Gdzie jesteś?”.

Oczywiście nie możemy pojechać od razu do Greenview, bo to byłoby zbyt proste. Musimy najpierw pójść do kościoła. Dlaczego? Ponieważ:

– Przecież wiesz, że nigdy nie opuszczamy niedzielnego nabożeństwa.

– Jasne. – Przewracam oczami. – Bóg jest najważniejszy. Ludzie umierają z głodu, ale gdyby rodzina Birdów nie udała się do kościoła, nastąpiłby koniec świata.

– Licz się ze słowami.

Siedzę w kościelnej ławce jak zombi z wyczyszczonymi zębami. Pastor Nolan rozwodzi się na temat wiecznej szczęśliwości, ale jedyne, co trwa wiecznie, to ta msza. Później idziemy na obiad do restauracji sieci Swiss Chalet.

– Może zabierzmy ze sobą babcię? – proponuję.

Starzy reagują, jakbym rozkazała: „Uwolnijcie Krakena”.

– Kiedy indziej – mówi mama. – Najpierw babcia powinna przywyknąć do swojego nowego miejsca pobytu.

Tata przytakuje.

– Gdybyśmy teraz wyprowadzili ją z ośrodka, musielibyśmy użyć paralizatora, żeby sprowadzić ją z powrotem.

Pośpiesznie pochłaniam obiad i rezygnuję z deseru, żebyśmy szybciej dotarli do Greenview. A co robi mama? Zaczyna jeść wolniej. Najwidoczniej „sztuka smakowania jedzenia” oznacza żucie go, aż odpadnie ci szczeka.

– Czyż obiad nie był pyszny? – mówi, ocierając usta serwetką.

– Masz sałatkę między zębami – rzucam.

Wreszcie zajeżdżamy do Greenview.

– Tylko zachowuj się grzecznie – ostrzega mnie mama.

Na język ciśnie mi się mnóstwo przekleństw, o których nawet nie wiedziałam, że je znam.

– Okno pokoju babci to drugie od lewej na drugim piętrze – oznajmia tata. – Ma doskonały widok na grób dziadka. Ilekroć pomyśli o dziadku, wystarczy jej tylko wyjrzeć przez okno i go zobaczy. Czyż to nie urocze?

„Czy on naprawdę to mówi?!”.

Wpisujemy się przy biurku recepcji, które znajduje się między sklepikiem a rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi do niewielkiego ogrodu z tyłu domu. Rodzice wciągają mnie na listę stałych gości, co ma być z ich strony pojednawczym gestem. Kobieta za biurkiem wygląda na dziarską cheerleaderkę sprzed kilkadziesiąt lat. Nigdy nie spotkałam jej w miasteczku i prawdopodobnie właśnie dlatego uśmiecha się do mnie.

– A więc jesteś Zoe. Ja mam na imię Amy. Twoja babka wciąż mówi tylko o tobie.

No dobrze, więc jest *miłą* dziarską cheerleaderką.

– Ja też wciąż myślę tylko o niej – odpowiadam.

Wjeżdżamy windą na drugie piętro, a potem przez drzwi z elektroniczną blokadą wchodzimy na oddział, na którym umieszczono babkę. Na końcu dużej świetlicy stoi biurko pielęgniarki. Poza tym po prawej stronie jest kilka długich stołów, a po lewej ludzie na ustawionych półkołem wózkach inwalidzkich gapią się z otwartymi ustami w telewizję.

– Czyż to nie uroczne miejsce? – mówi mama, gdy zmierzamy do korytarza za stanowiskiem pielęgniarki. – Nawet nie czuć tu siuškami.

– Poszukajmy takiej rekomendacji w przewodniku turystycznym: „Wspaniały hotel. Nie czuć w nim siuškami”.

Zanim mama zdobywa się na jakąś ripostę, pielęgniarka za biurkiem przedstawia się:

– Witam, jestem Lisa.

Ruszamy korytarzem do pokoju babci.

– Pokój jest niewielki – uprzedza mnie tata – ale pojedynczy i z własną łazienką. A jedzenie lepsze, niż miała w domu. Poza tym dwa razy w tygodniu ją kąpią, a jej ubrania opatrzone metkami z nazwiskiem, więc nic nie zginie podczas prania.

– I nie zapominaj o rozrywkach, Tim – dodaje mama. – Wspólne śpiewy, bingo. To jak letnie wakacje dla seniorów w domu wypoczynkowym. Babka nie będzie tkwiła całkiem sama w swoim domu pełnym pleśni. I pomyśl, że ma tutaj towarzystwo.

– Jasne. Na przykład doktora Rutherforda. Ona go nie cierpi. To zbok.

– Zoe – mówi tata proszącym tonem.

Przy każdych drzwiach wisi szklana gablotka ze zdjęciami, medalami i figurkami. Tata mówi, że to ma przypominać lokatorom, który pokój należy do nich. Przez uchylone drzwi widzę starych ludzi wyglądających przez okna. Założę się, że wyczekują gości, którzy nigdy się nie zjawiają. Babci nie spotka taki los. Będę ją codziennie odwiedzać.

Dochodzimy do drzwi jej pokoju. W gablotce wiszą zdjęcia przedstawiające

ją, dziadka i nas. „A gdzie jest ptasie gniazdo?”.

Tata puka.

– Matko, zgadnij, kto przyszedł z wizytą.

– Najwyższy czas – burczy babka.

Siedzi na łóżku w podkoszulku, czarnych spodniach od dresu i swoim czarnym swetrze. Na ramieniu ma czerwoną skórzaną torebkę. Szafki i komody są otwarte i puste. Jej ubrania są w worku, który zrobiła z prześcieradła. Rodzinne fotografie stoją oparte o krasnała ogrodowego.

– Matko... – zaczyna tata.

Babka wstaje.

– Jestem już spakowana. Zabierz mnie do domu.

– *Jesteś* w domu, Grace – mówi mama.

– Rozmawiam z moim synem, nie z tobą.

– Carrie ma rację, matko – potwierdza tata. – To jest teraz twój dom.

– To *nie* jest mój dom. Moim domem jest Ptasia Budka przy Maple Street 125. Tam umarł twój ojciec, twój dziadek i twój pradziadek. I ja także tam umrę. Oto moje rzeczy. Przydaj się na coś.

Podnoszę worek z ubraniami.

– Odłóż go – poleca mi tata. – Matko, nie utrudniaj tej sytuacji.

– Utrudniaj komu?

– Nam wszystkim.

– Nie zostanę tu, Tim. Ludzie tutaj wyrzaskują kompletne bzdury. Nawet jeśli ktoś, przybywając tu, nie jest wariatem, wkrótce zwariuje. – Babka mocno obejmuje tatę. – Proszę. Cokolwiek zrobiłam, wybacz mi. Tylko nie zostawiaj mnie tutaj.

– Zaczekam w samochodzie – mówi mama i wychodzi, ocierając dłonią oczy.

– Przykro mi, matko. Wrócimy, kiedy odpoczniesz. – Tata delikatnie odsuwa od siebie jej rękę. Babka osuwa się na łóżko. Tata rzuca mi spojrzenie. – Zoe, pożegnaj się.

– Tato, pozwól mi zostać. Uspokoję babcię.

Ojciec przestępuje z nogi na nogę. Można niemal usłyszeć chlupot potu między palcami stóp.

– Dobrze. Ale wróć do domu na kolację.

Babka i ja siadamy przy oknie i przyglądamy się, jak rodzice odjeżdżają. Krzesła i materac w pokoju należą do Greenview. Widocznie kierownictwo ośrodka nie pozwala podopiecznym przywozić ich własnych mebli z obawy przed przywleczeniem pluskiew – których, nawiasem mówiąc, w domu babki nie ma.

– Potrzebuję Teddy’ego – mówi babka, obracając na palcu obrączkę. – Gdyby Teddy wiedział, co tu się dzieje...

– Teddy nie żyje, babciu.

– Nie żyje, nie żyje. Dlaczego musiało tak być?

– Babciu, cokolwiek się stało, to nie twoja wina.

– Teddy... Potrzebuję go. On by mnie tak tu nie zostawił. Nie, gdyby wiedział.

– Po drodze tutaj widziałam podwórze – mówię. – Chciałabyś tam pójść?

– Co?

– Są tam kwiaty. Chcesz zobaczyć kwiaty?

– Kwiaty? – Wygląda na zdezorientowaną. – Czy to żonkile?

– Zobaczymy.

Idziemy ramię w ramię korytarzem.

– Wychodzimy na podwórze – oznajmiam pielęgniarce Lisie.

– Miłej zabawy. – Kiwa ku mnie głową. – Żeby otworzyć drzwi wyjściowe, wstukaj kod umieszczony nad klawiaturą przy drzwiach.

– Po co kod, skoro każdy może go zobaczyć? – pytam.

– Żeby uniemożliwić pensjonariuszom wywędrowanie stąd.

– To znaczy, że oni nie potrafią się w nim połapać?

– Nie ci mieszkający na tym piętrze.

Rzucam okiem na babkę rozglądającą się po sali. „Czy mama i tata też kiedyś staną się tacy? I ja?”.

Wstukuję kod, drzwi się otwierają i prowadzę babkę do windy. Już nie jest zdenerwowana. „O czym myślisz? Czy wie, gdzie jesteśmy?”.

Amy macha do nas od biurka recepcji.

– Pani Bird, jak miło panią widzieć.

– Mnie panią też – rzuca babka, odruchowo kiwając głową.

– Bawcie się dobrze.

Amy naciska guzik za biurkiem. Rozsuwają się drzwi prowadzące na podwórze. Wchodzimy do ogródka, siadamy na ławce i patrzymy na kwiaty. Babka gładzi się po udach i marszczy brwi. Spogląda na swoje spodnie od dresu.

– Gdzie moja sukienka?

Też się nad tym zastanawiałam.

– W pralni chemicznej.

– Przypomnij mi, żebym ją odebrała.

Przez następne pół godziny siedzi z głową opartą na moim ramieniu, a ja gładzę ją po włosach.

– Czuję się zmęczona – oznajmia. – W głowie mam mętlik. Chyba powinnam się położyć.

– Jak sobie życzysz – mówię i prowadzę ją z powrotem w kierunku windy.

– Dokąd idziemy? – pyta.

– Na piętro.

– Po co?

– Żebyś mogła się zdrzemnąć.

– Chyba wolałabym wyciągnąć się na mojej kanapie – mówi.

Mimo to ujmuje mnie pod ramię, wsiada ze mną do windy, a potem pozwala się zaprowadzić korytarzem do swojego pokoju. Przystaje gwałtownie na widok zdjęć w gablotce.

– Skąd one się tu wzięły?

– Mama i tata pomyśleli, że chciałabyś je mieć.

– Powinny być w moim domu.

– Zaniesiemy je tam.

Wprowadzam ją do środka. Pracownicy Greenview poukładali wszystkie jej rzeczy z powrotem na półkach tak jak wcześniej mama i tata.

– Śniło mi się, że byłam w tym pokoju. – Babka marszczy czoło; otwiera szafę. – Co tu robią moje ubrania? *Widzę*, jak je wyjmowałam. – Odwraca się ku nocnemu stolikowi, podbiega do niego i przesuwając rodzinne fotografie. – Gdzie jest Teddy? Zniknął.

– Wszystko w porządku, babciu. Jutro przyniosę ci jego zdjęcie.

– To dobrze. Potrzebuję Teddy’ego. Nie wolno mi go zapomnieć.

– Nigdy nie zapomnisz stryjka Teddy’ego. – Siadam obok niej na łóżku. – To musiało być straszne, kiedy umarł.

Babka wzdycha urywanie.

– Teddy umarł?

Ściskam jej dłoń.

– Tak, babciu. Przed wieloma laty, w Elmirze.

– Teddy nigdy nie zmarł w Elmirze. Przeprowadził się do Toronto – mówi babka. – Mam pocztówki i listy od niego. Mieszka w nowym domu. Po drugiej stronie ulicy jest park.

– Babciu, może czujesz się zdezorientowana?

– Nie. A ty tak?

Do pokoju wpada pracownik ośrodka.

– Pani Bird, pora kolacji – oznajmia i znika.

– Jestem z moją wnuczką! – woła za nim babka.

– Właściwie powinnam już iść – mówię i wstaję.

– Pójdę z tobą.

– Babciu, niestety nie możesz.

– Dlaczego?

– Z powodu mamy i taty. Jeżeli przyprowadzę cię do domu, przywiozą cię znowu tutaj i nie pozwolą mi już nigdy więcej się z tobą zobaczyć. Rozumiesz? – pytam. Jej wzrok mówi, że nie. – Nie martw się. Nie będziesz tu długo. Wkrótce zabiorę cię z powrotem do Ptasiej Budki.

– A więc dobrze. Liczę na ciebie. – Obejmuje mnie. – Zawsze mogę na ciebie liczyć, prawda?

– Pewnie, że tak.

Idę jak najszybciej do windy. Gdy wychodzę na parking, widzę w oknie babkę machającą do mnie. „Zapamiętała, że ją odwiedziłam. Gdyby była w Ptasiej Budce... Gdyby nie dawali jej tych leków... Gdyby nie mama i tata...”

Idę tyłem. Przesyłamy sobie całusy. W końcu drzewa zasłaniają mi widok i mogę uciec, żeby nie widziała, jak płacę.

Docieram do domu, naszego Salonu Fryzjerskiego Carrie. Nad frontowym oknem miga neon. Jestem zbyt wściekła, by czuć zakłopotanie. Mama i tata sączą lemoniadę na werandzie. Wpadam jak burza na podjazd.

– Nie spóźniłaś się. To dobrze – mówi tata, jakbyśmy zaczęli od nowa.

– Wizyta przebiegła miło? – pyta mama.

– Czyj to był pomysł, żeby ubrać babcię w spodnie od dresu?

– Ciszej! – Mama rzuca spojrzenie na żywoplot, w obawie, że sąsiedzi mogliby usłyszeć. – Elastyczny wszywany pasek ułatwia zadanie personelowi, gdy babcia idzie do łazienki.

– Ona chodzi do łazienki sama.

– Ale nie zdąża.

– A jak było z tobą w Meksyku? I jeszcze jedna sprawa. Gdzie jest fotografia stryja Teddy’ego? Myśleliście, że babcia nie zauważy jej braku? Zauważyła.

– O czym ty mówisz? – wtrąca się tata. – Jeśli gdzieś się zawieruszyła, odszukam ją.

– Może najpierw odszukałbyś stryja Teddy’ego. On „zawieruszył się” w Toronto, tak?

Tata prychna lemoniadą przez nos. Mama bulgocze nią przez słomkę.

– Wmówiliście mi, że zmarł w Elmirze. On żyje, prawda?

Oboje mają wzrok rozbiegany jak osaczone króliki.

– Mógłby równie dobrze nie żyć – mówi tata z poszarzałą twarzą.

– Jak to „mógłby równie dobrze nie żyć”?

– Teddy wyjechał, kiedy miałem siedem lat – mówi tata.

– Dlaczego?

– To nie twoja sprawa.

– Kto tak mówi?

– Ja, twój ojciec.

„Lepiej powiedz, co przede mną ukrywasz”.

– Babcia chce się z nim zobaczyć.

– Teddy nie chce się z nią widzieć.

– Nie wierzę ci.

– Czy Teddy był na pogrzebie twojego dziadka? Nie! Ani na pogrzebie pradziadka. Bez względu na to, czego chce babcia, jest już za późno.

– Skoro jesteś tego taki pewien, zadzwoń do niego. Niech sam to powie.

Tata ściska w dłoni plastikowy kubek tak mocno, że tworzywo pęka. Krew spływa mu po ręce.

– No widzisz, do czego doprowadziłaś?! – rzuca.

Wbiega do domu, mama za nim.

– Tim, zaczekaj. Owinę ci dłoń szmatką!

A więc babka nie jest obłąkana. Stryj Teddy rzeczywiście żyje. I mieszka w Toronto. Chwytam swoją komórkę i szukam jego numeru w informacji telefonicznej. W Toronto są dziesiątki Birdów, ale nie znajduję żadnego z inicjałem T jak Ted ani E jak Edward. „Och, nie. Może on ma tylko telefon komórkowy”. Sprawdzam na Facebooku, na Twitterze, na mnóstwie stron internetowych. Bez powodzenia.

Osuwam się na schodki werandy. „Babka mówi, że ma od niego pocztówki i listy. Ale co, jeśli są sprzed wielu lat? Jeśli znowu się gdzieś przeprowadził? Albo jeśli nie zechce pomóc? Co, jeśli jej nadzieje są złudne?”.

A jeżeli nie są złudne?

W poniedziałek rano zjawiam się w szkole, gdy z okolic zjeżdżają szkolne autobusy. Lizuska czeka na Dylana. Udajemy, że się nie widzimy. Przypinam rower i ruszam do drzwi wejściowych.

– Zoe, zaczekaj! – woła Ricky, wyskakując z autobusu. – Chodzi o twoją babkę. Chcę, żebyś wiedziała, że to samo dzieje się z moimi dziadkiem i babcią. To bardzo przykre. – Z zakłopotaniem szura nogami. – Dużo myślę o tobie.

„Czy naprawdę to usłyszałam?”

– Dzięki.

Oblewa się rumieńcem.

– Nie ma za co. To nic takiego. Po prostu, no wiesz... – Nachyla się ku mnie z nadzwyczaj poważną miną. – Powiedziałem Madi, że powinna cię przeprosić za to, co mówiła o twojej babce.

– Ona tego nie zrobi.

– Ale powinna.

Moje serce wypełnia radość.

– W każdym razie to dla mnie wiele znaczy, że ją objechałeś.

Ricky chce powiedzieć coś jeszcze, ale rezygnuje. Posyła mi nieśmiały półuśmiech i odchodzi.

Rozpływam się ze szczęścia. Zwłaszcza że Lizusce szczęka opada aż do jezdni. W rozkosznym nastroju idę na geografiię. „Ricky się mną interesuje. OMG. Kiedy się nachylił... rany, jak cudownie pachniał. Co chciał powiedzieć, zanim odszedł?”

Przestań. Nie rób sobie złudnych nadziei.

„Dlaczego nie! Kazał Lizusce mnie przeprosić! Nie zrobiłby tego, gdybym nic dla niego nie znaczyła”.

Przez cały ranek na przemian rozmyślam o Rickym albo rysuję mamę i tatę w piekle. Mama ma perukę wepchniętą do ust, żeby nie wrzeszczała. Tatę szatan dźga widłami w tyłek.

Podczas lunchu posyłam Ricky’emu uśmiech. Odpowiada mi uśmiechem tak uroczym, że cała topnieję i niemal wstaję, żeby dosiąść się do niego, jednak za bardzo się boję to zepsuć. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jem bez odruchów wymiotnych.

To znaczy, dopóki tuż przed dzwonkiem na lekcje Lizuska i jej fagaski nie sadowią się bez pytania przy moim stoliku.

– Biedactwo – odzywa się Lizuska. – Też byłabym taka zdenerwowana, gdyby moja babka zaatakowała faceta kuchennym nożem. Dobrze, że ją zamknięto, co?

Chlustam jej w twarz moją colą i wymaszerowuję ze stołówki, wpatrując się

prosto przed siebie.

– Zoe, w porządku! – woła, biegnąc za mną. – Wybaczam ci. Wiem, jak bardzo musi ci być ciężko.

Za nami podąża tłumek żądny sensacji.

„Nie uciekaj. Nie płacz. Właśnie o to jej chodzi”.

– Zaczekaj. To po prostu dlatego, że tak bardzo cię Kocham – mówi Lizuska proszącym tonem. – Pragnę, żeby twoja babka otrzymała pomoc, jakiej potrzebuje.

„Jeżeli zdołam dotrzeć do toalety, zamknę się w kabinie, zatkam uszy palcami...”.

Lizuska łapie mnie za łokieć.

– Proszę, Zoe, martwię się o ciebie.

Odwracam się do niej gwałtownie.

– Gówno prawda. Jesteś głupią ropuchą. A twój ojciec to pijak. Jego stryj schlał się i zwałił na tory kolejowe. Psy wyzarły mu flaki.

– To kłamstwo!

– Czyżby, ty durna zdziro? – mówię i klepię ją w ramię.

Lizuska rzuca się do tyłu i wpada na szafki. Przewraca się na podłogę, wrzeszcząc:

– Pomocy! Niech ktoś ją powstrzyma!

Wszyscy krzyczą:

– Biją się! Bójka!

Dylan chwytą mnie z tyłu. Wyrrywam mu się i kopię go w piszczole.

– Puść mnie! – krzyczę.

„Czy jest tu Ricky? Czy to widzi? Proszę, nie!”.

Przez tłum przeciska się pan Jeffries. Na koszuli pod pachami ma plamy potu, a jego oddech śmierdzi jak zgniłe jaja.

– Stać! – Przykłęka i obejmuje Lizuskę. – Nic ci się nie stało?

– Nie wiem – łka Madi.

– To wina Zoe – piszczy Caitlyn. – Pobiła ją bez żadnego powodu.

Pan Jeffries spogląda na mnie gniewnie. Potem prowadzi nas do wicedyrektora Watsona; Lizuska, kulejąc, wspiera się na jego ramieniu.

Na nasz widok pan Watson marszczy brwi.

– Co się stało?

– To ona zaczęła – mówię.

Wicedyrektor ucisza mnie i patrzy na księżniczkę Lizuskę.

– Zoe nazwała mnie z-z-zdziro i pchnęła na szafki, a ja mówiłam tylko, że dobrze życzę jej babci po tym, co zdarzyło się w Ptasiej Budce.

Pan Watson zawiesza mnie na trzy dni.

W domu rodzice sadzają mnie przy stole kuchennym. Mama wyciąga chusteczkę do nosa.

– Jak teraz spojrzymy w twarze ciotce Jess i wujowi Chadowi?

„Na czworakach, jak zawsze?”.

Tata wali ręką w stół.

– Masz szlaban na miesiąc. I zabieramy ci komórkę.

– Tylko nie znowu to!

– Na d w a miesiąc – mówi. – Madi tylko starała się być dla ciebie miła, a ty jak jej odpłacałaś? Chlusnęłaś jej w twarz colą, rzucałaś oszczerstwa na jej rodzinę, przewróciłaś ją na ziemię...

– To wcale nie było tak!

– Zachowujesz się tak z powodu babki. Nie zobaczysz się z nią aż do weekendu.

– Nienawidzę was. Chciałabym, żebyście umarli.

Mamie drżą wargi.

– Czym sobie na to zasłużyliśmy?

– Tym, że zaszłaś w ciążę. Dlaczego nie pozbyłaś się mnie przed urodzeniem? Żałuję, że tak nie zrobiłaś.

Biegnę do swojego pokoju i wtulam twarz w poduszkę. Ale nie mogę powstrzymać się i krzyczę:

– ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU!!!

Wrzeszczę tak, aż wreszcie to robią.

Wtorek w południe. Zostaliśmy wezwani do ciotki Jess i wuja Chada na lunch, więc jestem w odświętnym ubraniu, w którym chodzę do kościoła. Czuję się jak kiepska modelka przebrana za zakonnicę. Parkujemy na ulicy, bo wuj Chad wyprowadził swoje minifurgonetki z garażu na podjazd.

– Czy wzięliście parasolkę? – pytam, gdy uchylamy się przed strumieniem wody z ich trawnikowego zraszacza.

– Zachowuj się.

Tata jak zwykle wystukuje wesoły musicalowy rytm kołatką w kształcie głowy lwa. Oczywiście oni każą nam czekać. Tata wystukuje jeszcze dwie serie. Wreszcie ciotka Jess otwiera drzwi.

– Wchodźcie – mówi takim tonem, jakby nasza wizyta była miłą niespodzianką.

– Czy mamy zdjąć buty? – pyta z nadzieją tata.

– Nie, nie zdejmujcie.

„Rozsądna decyzja”.

Wuj Chad ma na sobie koszulkę polo rozpiętą pod szyją. Owłosienie jego klatki piersiowej wygląda jak drucziany zmywak do naczyń.

– Siadajcie – zaprasza, wskazując sofę ze sztucznej skóry.

– Już zapomniałam, jak u was uroczko – mówi mama, rozglądając się po wszystkich tych złoceniach i dywanach ze skór zebr.

– No cóż, to nasz dom – oświadcza ciotka Jess.

Wtacza odziedziczony po matce zabytkowy stolik na kółkach – z kawą, kanapkami z ogórkiem i czekoladowymi ciastkami z orzechami. Wszyscy się częstują z wyjątkiem mnie. Ciotka Jess i wuj Chad rozsiadają się wygodnie w identycznych fotelach firmy La-Z-Boy.

– To nie był szczęśliwy tydzień, prawda? – mówi z westchnieniem ciotka Jess.

Mama potrząsa głową.

– Istotnie, nie był. Zapewniam was, że bardzo nam przykro z powodu tego wczorajszego incydentu w szkole. Nieprawdaż, Zoe?

Zmuszam się do przytaknięcia.

Ciotka Jess spogląda na męża. Wuj Chad spleta dłonie na brzuchu.

– A więc, Tim... Jak proponujesz rozwiązać tę sytuację?

– Nie ma potrzeby, żebyście ty i Jess zawracali sobie nią głowy. – Tata wierci się nerwowo na sofie. – Carrie i ja sami sobie z tym poradzimy.

– Ach tak?

– Nie, żeby to była wasza wina – wtrąca się ciotka Jess. – My nie musieliśmy stawiać czoła takiemu trudnemu wyzwaniu, prawda, Chad?

„Halo, ja też tu jestem”.

Wuj Chad nadal wpatruje się w tatę.

„Tato, powiedz coś. On robi z ciebie głupca”.

– Gdybyśmy nie byli jedną rodziną, podalibyśmy was do sądu – mówi wuj Chad. – Napaść to poważna sprawa.

– Napaść? – powtarza tata z pojednawczym śmieszkiem. – To chyba lekka przesada, prawda?

– Nie po tych pogroźkach.

– Jakich pogroźkach? – pyta mama i błędnie tak, że jej twarz staje się bielsza od porcelany.

– Katie i Caitlyn, przyjaciółki Madi, powiedziały nam o słowach Zoe, których nie jesteśmy nawet w stanie powtórzyć – mówi ciotka Jess.

– Cokolwiek mówiły, kłamały – odzywam się.

Wszyscy patrzą na mnie jak na nędznego robaka, którego należy rozdeptać.

Ciotka Jess przygryza wargę.

– Były też oszczerstwa rzucone na naszą rodzinę. Zoe oznajmiła wszystkim, że stryj Chada pijany do nieprzytomności upadł na tory kolejowe. Powiedziała, że psy pożarły jego... Nawet nie potrafię tego wszystkiego powtórzyć.

Mama zakrywa dłonią usta.

– Oczywiście przede wszystkim martwimy się o tę młodą dziewczynę, która teraz na piętrze wypłakuje sobie oczy – mówi wuj Chad. – Najbardziej zraniło ją to, że została zaatakowana przez swoją kuzynkę, najlepszą przyjaciółkę, w której obronie zawsze stawiała.

„Co takiego?”

Tata spogląda na mnie surowo, tak aby wuj Chad uznał go za twardziela.

– Co masz do powiedzenia?

„Może na przykład: Pocałuj mnie gdzieś?”.

– Przepraszam.

– Może powiedziała byś to Madi? – proponuje ciotka Jess, po czym woła w górę schodów: – Kochanie, twoja kuzynka chce ci coś powiedzieć.

Lizuska schodzi po schodach, utykając na nie tę nogę co wczoraj. Ciotka Jess ustępuje jej miejsca na fotelu, a sama sadowi się na poręczu, trzymając córkę za rękę.

Patrzę na środek czoła Lizuski.

– Przepraszam za wczorajsze.

Świętoszkowata Lizuska trzepocze rzęsami.

– Wybaczam ci. Naprawdę bardzo ci współczuję z powodu twojej babci. Przykro mi, jeśli źle mnie zrozumiałaś.

Wuj Chad rzuca moim starym spojrzenie mówiące: „Oto jak należy wychowywać córkę”.

– Zoe. – Mama szturcha mnie łokciem. – Powiedz: Dziękuję.

– Dziękuję ci, Madi. Mnie też jest przykro, jeśli źle cię zrozumiałam. Twoi rodzice powiedzieli, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Właśnie dlatego nie potrafiłam zrozumieć, gdy oznajmiłaś, że nie mogę siedzieć z tobą w stołówce, rozmawiać z tobą ani być traktowana jak ludzka istota.

– Przepraszam, co takiego? – pyta ciotka Jess; najwyraźniej ma problem ze słuchem.

Trzepoczę powiekami.

– Madi mówi, że jestem taką nieudacznicą, że nie wolno mi się z nią nawet witać.

Dorośli sprawiają wrażenie zszokowanych, ponieważ, oczywiście, święta Lizuska nigdy nie powiedziała by niczego takiego.

Madi bierze głęboki wdech i zaczyna grać oscarową rolę.

– Bardzo mi przykro, że tak powiedziałam. Po prostu martwiłam się o swoją reputację. Obawiałam się, żeby ludzie nie pomyśleli, że ponieważ jesteśmy kuzynkami, robię to samo co ty.

– Czyli co? – pytam.

– Nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała.

– Madi, jeżeli jest coś, co powinni usłyszeć twoi ciotka i stryj, musisz im to powiedzieć – odzywa się wuj Chad.

– To może wcale nie być prawdą – mówi Lizuska. – Ale wiesz, co mówią o tobie chłopcy.

Zrywam się z sofy.

– To jest takie...

– Siadaj! – poleca mi tata.

– Ale...

– Siadaj!!!

Siadam. Dlaczego? Bo wszyscy wpatrują się we mnie z potępieniem, oto dlaczego. Bo nie liczy się nic, co powiem. Bo jestem sobą, a ona jest nią.

– Idź na górę i odpocznij – mówi ciotka Jess do Lizuski.

Biedna egoistka kuśtyka ze zbolałą miną.

– Ciociu Carrie, stryjku Timie, miło było was zobaczyć. Zoe, kiedy wrócisz do szkoły, proszę, usiądź znowu przy moim stoliku.

Co powiedziawszy, nasza Mistrzynie Nieustannych Bredni wskakuje po schodach na jednej nodze.

Wuj Chad i ciotka Jess mierzą wzrokiem moich rodziców. Mama i tata wyglądają, jakby chcieli się schować pod stolikiem na kółkach.

– Pamiętajcie, jak tego lata Chad wspomniał wam o tej szkole z internatem? – Ciotka Jess bierze ze stolika broszurę informacyjną i podaje mamie. – Stosują tam ścisłą kontrolę i surowy reżim dla dobra uczniów.

– CZY WY NAPRAWDĘ CHCECIE MNIE WYSŁAĆ DO SZKOŁY Z INTERNATEM?! – krzyczę.

Ciotka Jess patrzy na mnie tak, jakbym trafiła w sedno. Kulę się.

– Uważam, że to najlepsze rozwiązanie – oświadcza wuj Chad.

On i ciotka Jess odprowadzają nas na dwór. Udają, że nie widzą, jak opryskuje nas zraszacz.

Gdy skręcamy samochodem za róg ulicy, mama mówi, kołyszając się w fotelu pasażera:

– Jeszcze nigdy nie czułam się tak zakłopotana.

– A przynajmniej nie *dzisiaj* – mamrocze pod nosem.

Tata kurczowo ściska kierownicę.

– To nie żarty, Zoe. Jeszcze jeden wybryk i rzeczywiście wyślemy cię do tej szkoły, nawet jeśli to będzie kosztowało kupę forsy.

– Chcecie mnie zamknąć jak babcie?

– Nie pozwolimy, żebyś zrujnowała sobie życie – mówi tata. – Kochamy cię.

Krzyżuję ramiona na piersi i wyglądam przez okno.

– Jasne.

„Zobaczycie, czy kiedykolwiek jeszcze wam o czymś powiem”.

Gdy przyjeżdżamy z powrotem do domu, natychmiast idę do telefonu stacjonarnego w kuchni i dzwonię do babki.

– Cześć, babciu. Jeżeli do mnie telefonowałaś i nagrałaś wiadomości, to przepraszam, ale ich nie odebrałam. Mama i tata zabrali mi komórkę. Mówią, że do weekendu nie mogę się z tobą zobaczyć.

– Co takiego? – mówi babcia. – Daj do telefonu swojego tatę.

Podaję tacie słuchawkę.

– Babcia chcę z tobą porozmawiać – mówię, a gdy tata piorunuje mnie wzrokiem, dodaję: – Naprawdę.

Bierze słuchawkę.

– Matko, Zoe nie przedstawiła ci całej sytuacji. Ona wdała się w scysję z Madi.

– Z Madi? – Babka mówi takim donośnym, gniewnym głosem, że słyszę ją ze słuchawki z drugiego końca kuchni. – Co ta smarkuła zrobiła Zoe tym razem?

– To nie była wina Madi... Uspokój się, matko... Matko, proszę...

Grozę mamie i tacie palcem i znikam w swoim pokoju. Gdybym była stryjkiem Teddym, wyjechałabym stąd. Rodzice nie tęskniliby za mną. Byliby zadowoleni, że mają mnie z głowy i już nie sprawiam im kłopotów. Niemal pragnę umrzeć, tylko że Lizuska rozegrałaby to na swoją korzyść. Pokierowałaby żalobą i ustawiła wszystkich w rzędzie z chusteczkami.

Mama puka do moich drzwi.

– Kolacja.

– Nie jestem głodna.

– Jak sobie chcesz.

Dwie godziny później wychodzę z pokoju. Mama i tata siedzą w fotelach przy suszarkach do włosów i oglądają w telewizji jakiś kretyński program. Moje jedzenie jest na stole. Zimne łazanie i galaretki.

– Postanowiliśmy, że dla babci będzie najlepiej, jeśli zabierzemy jej telefon komórkowy. Przez niego tylko się denerwuje.

Udaję, że nie słyszę. Udaję, że mnie to nie obchodzi. Oni jeszcze mi za to zapłacą.

Nazajutrz rano przy śniadaniu nie odzywam się, tylko uśmiecham jak marionetka.

– Dobrze spałaś?

Kiwam głową.

– O czym myślisz?

Wzruszam ramionami.

– Powiedz coś.

Unoszę brwi, co ma oznaczać: „O co chodzi?”.

Wracam do pokoju i przygotowuję się do drugiej rundy.

O dziewiątej zaczynają się zjawiać klientki mamy. Dziś jest szczególnie dzień, ponieważ wiele z nich nie widziało jej od zamknięcia babki w zakładzie. Wszystkie powtarzają: „Carrie, prawdziwa z ciebie święta”. Odczekuję, aż salon jest pełen, i wtedy wchodzę demonstracyjnie.

Mama myje włosy pani Connelly. Pani Stuart tkwi pod suszarką; pozostałe siedzą wokół stolika. Na mój widok nieruchomieją.

– Dzień dobry – mówię z szerokim uśmiechem.

Wydają się zaskoczone, gdyż zwykle tylko mruczałam coś na powitanie. Biorę jakiś magazyn poświęcony fryzuirom i siadam w fotelu na kółkach.

– A więc, Zoe – zagaduje pani Connelly – dzisiaj w szkole jest wolny dzień?

– Dla mnie tak – odpowiadam głosem słodszy niż Lizuski. – Zostałam zawieszona za klepienie mojej kuzynki. Najwidoczniej ona jest konająca.

– To wcale nie jest śmieszne – odzywa się mama.

– Przepraszam – mówię z miną skarconego szczeniaczka. – W gruncie rzeczy bardzo się o nią martwię.

Mama rzuca mi potępiające spojrzenie.

– Naprawdę się martwię – zapewniam ją. – Jestem taka, jaka chcesz, żebym była.

„No, dalej. Wrzaśnij na mnie i zrób z siebie wariatkę”.

Mama jest potwornie zdenerwowana. Wyobrażam sobie, że niechcący topi panią Connelly, zanurzając jej głowę w umywalce. Robię palcem gest zamykania sobie ust na suwak i powracam do lektury magazynu. Zakłopotane klientki gapią się w telewizor, w którym jakiś gość porannego programu nawija o ściganiu tornad w jeepie.

Po wyjściu klientek mama tak kipi ze złości, że obawiam się, by jej peruka się nie roztopiła.

– Nigdy więcej tego nie rób.

– Czego?

– Dobrze wiesz czego.

Oglądam sobie paznokcie.

– Zawsze mi mówisz, żebym była bardziej towarzyska.

Przy kolacji mama opowiada tacie, jak zrobiłam z siebie widowisko. „Jasne, jestem jednoosobowym cyrkiem”. Prawią mi kazanie na temat mnóstwa rzeczy. Rozwagi? Szacunku? Dorośnięcia? Naprawdę nie jestem pewna czego, bo właściwie nie słucham, tylko gapię się na perukę mamy. Ona ją poprawia. Tata poci się jak wupał.

– Bla, bla, bla. – Tata ciska na stół serwetkę.

– Bla, bla, bla. – Mama odsuwa krzesło.

– Dziękuję za tę miłą kolację – mówię. – Musimy to kiedyś powtórzyć.

Przez cały czwartek tęsknię za babcią. Kiedy nie mogę już wytrzymać z nudów, idę do łazienki.

– Nie martwcie się, nie wychodzę! – wrzeszczę do klientek. – Muszę tylko zrobić siusiu!

Poza tym wymyślam satanistyczne klątwy i wypróbuję je na Lizusce. Najwidoczniej jednak nie są ani trochę skuteczniejsze niż modlitwy. Gdyby podziałały, od strony liceum dobiegłby głośny huk eksplozji.

Przy kolacji przypominamy roboty uczące się sztuki ludzkiej konwersacji. Mama ociera oczy serwetką. Brwi taty zdają się robić pompki. Wracam do swojego pokoju, rzucam się na łóżko i gapię się na sufitowy wentylator.

„Co by się stało, gdybym wetknęła głowę między łopaty wirnika?”

Słyszę, jak mama mówi do taty:

– Dziś po południu telefonowali z Greenview. Nie mogą nakłonić twojej matki, żeby się zgodziła na kąpiel. Próbowali przez ostatnie trzy poranki. Ona ciska w nich różnymi przedmiotami.

„A czy wy nie zachowalibyście się tak samo, gdybyście się obudzili i jacyś obcy ludzie próbowaliby was siłą rozebrać?”

Idę do łazienki, napełniam wannę, wsadzam głowę pod wodę i wrzeszczę.

Piątek rano. Jestem znowu w szkole. Na pierwszej lekcji osuwam się na swoje krzesło w kurtce, prowokując pannę Bundy, żeby mnie o coś zapytała. Nie pyta. I dobrze.

Lizuska zjawia się na drugiej lekcji, angielskiego. Chodzi o kulach pokrytych autografami i wlepkami z uśmiechniętymi buźkami. Siada na przedzie sali i ogląda się do tyłu na mnie. ZGIŃ, SUKO, ZGIŃ. Po dzwonku czeka przy drzwiach, jakby chciała pogadać. Przepycham się obok, ignorując ją. Dogania mnie przy mojej szafce.

– Prześladowiesz mnie? – pytam, wrzucając książki do środka.

– Zoe.

– Co?

Przygryza usta.

– Pomyślałam...

– To coś nowego – przerywam jej.

– Zoe, proszę. Masz rację. Zachowałam się jak totalna świnia.

– Powiedz mi o tym coś więcej. Albo nie. Chcę zjeść lunch.

Chwytam torbę z kanapkami, wychodzę na dwór i idę przez parking.

Lizuska pośpiesznie kuśtyka za mną o kulach.

– Nie chciałam, żeby sprawy tak dziwacznie się pogmatwały. Tamta okropna scysja... nie wiem, jak to się stało.

– Stało się przez ciebie.

– Więc dobrze, niech będzie. Obwiń mnie o wszystko. Jesteś ideałem, a ja jestem beznadziejna i wpakowałam cię w kłopoty. Ale chcę naprawić tę sytuację.

– Akurat! O co ci naprawdę chodzi?

Lizuska robi płaczliwą minę.

– Po prostu chcę cię zaprosić na imprezę w sobotę wieczorem.

– Próbuj dalej. Nie będzie w ogóle żadnej imprezy, tak? Chcesz, żebym się na nią nastawiła, a kiedy się tam pojawię, nie będzie nikogo i wyśmiejesz mnie jak zawsze.

– Wcale nie! – Lizuska wyciąga papierową chusteczkę. – Dylan urządza imprezę niespodziankę dla Ricky'ego z okazji przyjęcia go do drużyny futbolowej. Będzie tylko paru chłopców oraz ja, Katie i Caitlyn. Chłopcy przyprowadzą go o jedenastej, po wieczornym programie telewizyjnym. Pójdź ze mną.

– O co w tym chodzi?

– O nic.

– Musi o coś chodzić. Wykluczone, żebyś chciała zabrać mnie na imprezę.

– No dobrze, masz rację. Rzeczywiście nie chcę. – Wpycha chusteczkę z powrotem do kieszeni. – Ale wygląda na to, że Ricky cię lubi, nie mam pojęcia

dlaczego. Mówił mi milion razy, żebym przeprosiła cię za to, co powiedziałam o twojej babce. Słowo daję, co on sobie wyobraża? Tylko że jest kumplem Dylana. Jeśli cię przyprowadzę, odczepi się ode mnie. Ale w porządku, nie przychodź, jakoś to przeżyję. Właściwie zapomnij, że cię prosiłam – mówi Lizuska, po czym gniewnie potrząsa głową i kuśtyka z powrotem przez wyasfaltowany parking.

Mam ochotę skakać z radości. „Więc Ricky naprawdę kazał jej mnie przeprosić. Powiedział mi prawdę”.

– Madi, zaczekaj! – Doganiam ją. – Dobrze, przyjdę.

– Już za późno. Straciłaś swoją szansę.

– Przepraszam. Nie zastanowiłam się.

Kuśtyka dalej, jakby mnie nie słyszała.

Otwieram dla niej drzwi.

– Mówię serio. Zabierz mnie na tę imprezę, a powiem Ricky’emu, że mnie przeprosiłaś. Powiem nawet, że zrobiłaś to szczerze.

– Ciszej! – Zatrzymuje się, naprawdę wkurzona, gdy mija nas grupka ludzi. – To ma być niespodzianka! Chcesz, żeby cały świat się dowiedział?

– Przepraszam, przepraszam.

– Zawsze tak mówisz. Ale dobrze, niech będzie.

– Dzięki. Jest tylko jeden drobny problem. Jak się dostanę na farmę Dylana?

– Masz na myśli to, że musimy cię zawieźć? – pyta takim tonem, jakby byłoby mnie trzy.

– Proszę. Mogę wymknąć się z domu, gdy starzy pójną spać.

– Czyli o której?

– O dziesiątej.

– To będzie na styk.

– Wiem, ale jestem uziemiona i wolno mi wychodzić tylko do szkoły, pamiętasz?

– W porządku. – Przewraca oczami, jakby było totalnie nie w porządku. – Dylan i ja będziemy czekać piętnaście po dziesiątej w SUV-ie jego taty przy parku w pobliżu twojego domu. Musimy wrócić na farmę Dylana przed Rickym, więc jeśli się spóźnisz, pojedziemy bez ciebie. I piśnij jeszcze choćby słowo, a nici z zaproszenia.

Kiwam głową na znak, że rozumiem.

Przez resztę dnia krążę po korytarzach. Po ostatnim dzwonku wpadam na Ricky’ego.

– Miło znów widzieć cię w szkole – mówi i posyła mi uroczy uśmiech. – Jak ci minęło zawieszenie?

– Świetnie. – Czerwienię się. – Przypuszczam, że widziałeś moją tak zwaną bójkę?

Przecząco kręci głową.

– Wyszedłem na dwór pouczyć się przed testem z historii.
– To dobrze. Było dość żenująco.
– Ona sobie zasłużyła. Słuchaj, muszę złapać mój autobus. – Macha do mnie na pożegnanie. – Do zobaczenia później.

– Tak.

„Jutro na twojej imprezie, ha, ha”.

Wyobrażam sobie, jak niby przypadkiem trafiamy oboje do ustronnego kącika. Wyobrażam sobie, jak się obejmujemy. Wyobrażam sobie... „Oddychaj. Oddychaj”.

W sobotę rano wyciągam z najwyższej półki mojej szafy torbę na zakupy. Są w niej spódniczka i trykotowa bluzka z odkrytymi plecami, które kupiłam z pieniędzy otrzymanych w zeszłym roku w prezencie na Gwiazdkę. Mama kategorycznie zabroniła mi je nosić – „Spódniczka jest zbyt kusa, a dekolot bluzki za głęboki” – ale nie zgodziłam się ich zwrócić i zatrzymałam je w szafie.

Od tamtego czasu troszkę urosłam, więc spódniczka jest jeszcze krótsza, a bluzka bardziej obcisła. Doskonale. „O ile rodzice nie przyłapią mnie w nich”. Nie przyłapią. „A jeśli?”. Dobra, zabiją mnie, ale i tak już będę martwa za wymknięcie się z domu wbrew ich zakazowi, więc nie ma się czym przejmować.

Zastanawiam się też nad makijażem. Chcę lekki ze względu na Ricky’ego, ale boję się, że źle go nałożę. Na dzień szuflady z bielizną mam zestaw startowy, który kupiła mi mama po tym, jak ciotka Jess kupiła taki Madi. Od razu pierwszego dnia, gdy go dostałam, pobiegłam do Lizuski po wskazówki. Lecz ona tylko rzuciła mi spojrzenie mówiące: „Czy ty nie masz o niczym pojęcia?”. Mama próbowała mi pomóc, ale jej dobre rady doprowadziły do tego, że wyglądałam jak Joker.

Odtąd zaczęłam oznajmiać wszem wobec, że nie chcę sztucznie poprawiać sobie urody. „A może wolałabyś nie wyglądać szpetnie?” – odparła na to Lizuska. Ha, ha, tylko że teraz żałuję, że jej nie posłuchałam. Żałuję, że tego nie poćwiczyłam. Wchodzę na YouTube i klikam na „Nakładanie tuszu do rzęs jak profesjonalna wizażystka” i „Rady, jak samodzielnie zrobić się na bóstwo”. Może jednak to nie jest takie trudne.

Po południu znajduję czas na krótką wizytę u babci – dopiero pierwszą w tym tygodniu. A wszystko przez mamę i tatę. Jej obrazy stoją przy nocnym stoliku obok krasnala ogrodowego i worka z prześcieradła. Zastaję babkę na czworakach zaglądającą pod łóżko.

– Rabarbarowy pieróg, babciu.

Szybko unosi głowę.

– To ty, kotku!

– Czego tam szukasz?

Babka wzrusza ramionami.

– Nieważne, tam tego nie ma. Ale wchodź. Siadaj. – Klepie dłonią w miejsce obok siebie na łóżku. – Podjęłam decyzję. Odwiedzę twojego stryja Teddy’ego w Toronto. Pojedź ze mną.

– Och, babciu. To chyba nie jest dobry dzień na podróż.

– Dlaczego?

– Dlatego.

– Ale dlaczego dlatego?

– Z powodu mamy i taty. Poza tym, jak miałybyśmy się tam dostać?

Dworzec kolejowy jest w Woodstock, a ja nie umiem prowadzić samochodu.

– Ale ja umiem, głuptasie.

– Od lat nie jeździłaś szosą.

– I co z tego? – mówi babka. – Potrafię zawieźć nas do Woodstock.

– Potrzebowałybyśmy pieniędzy na podróż. Na bilety, jedzenie.

– Mam w domu schowane pieniądze.

– Gdzie?

– Im mniej będziesz wiedzieć... – Babka puka się w nos. – Proszę, pojedź.

Potrzebuję cię. Czasami zapominam czegoś i gubię się. Ale gdybyś była ze mną, wiedziałabyś, co robić, dopóki znowu nie rozjaśniłoby mi się w głowie.

No dobrze, pora na prawdę. Ujmuję ją za rękę.

– Babciu, niełatwo mi to powiedzieć, ale co, jeśli pojedziemy do Toronto, a stryj Teddy nie zechce się z tobą zobaczyć?

– Zechce.

– Nie był na pogrzebie dziadka.

W oczach babki coś migocze.

– Oni nie dogadywali się ze sobą.

– Chodzi o coś więcej. Stryj Teddy nigdy z żadnej okazji nie zjawił się u nas w domu. Mówisz, że pisze do ciebie, ale tata kładzie twoją pocztę na stoliku we frontowym holu. Nigdy na żadnym liście ani pocztówce nie widziałam jego nazwiska.

– Nie mąc mi w głowie. – Babka ściska moją dłoń. – Bez względu na to, co się zdarzyło, Teddy nie pozwoli, żebym umarła tutaj.

– Babciu, nie wiemy nawet, czy on nadal mieszka w Toronto.

– Na pewno tam mieszka.

– W spisie telefonów nie ma jego nazwiska. Mógł się dokądś przeprowadzić.

– Nie! – Babka wtula twarz w moje ramię. – Muszę znów się z nim zobaczyć. Tylko raz. Muszę mu powiedzieć, że go przepraszam. Potrzebuję jego wybaczenia.

– Za co?

– Za wszystko.

Zapada okropna cisza. Przez jakiś czas obejmuję babkę, a potem się odsuwam.

– Babciu, muszę się do czegoś przygotować. Ale wrócę jutro. Wtedy o tym porozmawiamy, dobrze?

Babka nic nie odpowiada. Opuszczam jej pokój. Na parkingu spoglądam w górę na jej okno. Nie stoi w nim.

Kiedy tego lata rodzice odebrali mi komórkę, kupili mi zegarek, żebym nie miała wymówki w przypadku spóźnień. Poprawka, kupili różowy plastikowy bżdet z wizerunkami księżniczek z disnejowskiej *Krainy lodu*. Teraz jest na nim dziesięć minut po prawej gałce ocznej księżniczki Anny i kolacja wreszcie się skończyła.

„Zapiekaný tuńczyk. Czy naprawdę muszę mieć dziś oddech cuchnący rybą?”

Szczotkuję zęby przez jakieś pół godziny, a potem idę do swojego pokoju, wkładam imprezowe ciuchy i narzucam na to szlafrok, na wypadek gdyby weszli rodzice. Ze względu na nich muszę też zaczekać z nałożeniem makijażu. Dla zabicia czasu gapię się w lustro i ćwiczę uśmiechy.

„Tematy rozmowy. Co mam wspólnego z Rickym? Dziadkowie goniący w piętke”. Jakie to romantyczne. „Już wiem, porozmawiamy o tym, że wybrano go do drużyny, o jego przyjaciółach, o jego uśmiechu”.

Ze zniecierpliwienia mam ochotę obgryźć paznokcie aż do kostek. Siadam więc na swoich dłoniach.

Dobra, jest już wpół do dziewiątej. Otwieram mój startowy zestaw kosmetyczny. No, trudna rada, trzeba zaczynać. Kolistym ruchem nabieram na palec róż w kremie z pudełeczka i rozcieńczęm tusz do rzęs odrobiną spirytusu salicylowego. Miejmy nadzieje, że nie dostanę zakażenia oka.

Za dziesięć dziewiąta. Podobają mi się moje pomalowane rzęsy i oczy obwiedzione konturówką. A teraz szminka i róż.

Dziewiąta. Wyszło nieźle. Powinnam dodać kilka brokacików na szczęście... Potrzebuję jeszcze kilku... Może jednak nie potrzebowałam.

Pięć po dziewiątej. Usuwam kilka brokacików, ale spałałam rozświelacz. Poprawiam palcem... Wrr, z lewej strony kolor jest bledszy niż z prawej... A teraz z prawej bledszy niż z lewej... Dobra, niech już tak zostanie. Jeżeli światła będą zbyt jaskrawe, mogę to zmyć przed przyjściem Ricky’ego.

Wpół do dziesiątej. Rodzice wciąż oglądają w salonie ulubiony reality show mamy. Aby zachować spokój, jeszcze raz myję zęby.

Za piętnaście dziesiąta. Dlaczego ten czas tak się wleeece?

Dziesiąta. Telewizor gaśnie.

– Nie do wiary, że odesłali tę rudą do domu. Możesz w to uwierzyć, Tim? Tim? Tim, ty śpisz?

– Co?

– Zawsze przy mnie zasypiasz.

– Przepraszam. Ten środek nasenny podziałał zbyt szybko.

– Uważaj z tymi proszkami. Bierzesz je już co wieczór – mówi mama, gdy oboje idą do łazienki.

Myją zęby. „Pośpieszcie się”. W końcu zamykają drzwi swojej sypialni.

Dziesięć po dziesiątej. „Lizusko, jeszcze nie odjeżdżaj!”

Na palcach idę przez hol i wychodzę na dwór bocznymi drzwiami. Przy parku stoi SUV Dylana z silnikiem na chodzie. Pędzę do samochodu, machając rękami, żeby zobaczyli mnie we wstecznym lusterku. Lizuska i Dylan siedzą z przodu, a z tyłu Katie i Caitlyn.

– My rezerwujemy sobie miejsca przy oknach – zastrzega Caitlyn i wysiada, żeby wpuścić mnie do środka.

Siadam pomiędzy nimi.

– Udało ci się wyrwać bez problemów? – pyta mnie Lizuska, gdy wyjeżdżamy z miasteczka.

– Tak. Trwało wieczność, zanim mama i tata poszli spać. Przepraszam, że kazałam wam czekać.

– Nie ma sprawy – mówi i podaje mi puszkę koktajlu rumowego.

Nienawidzę alkoholu, ale nie chcę wyjść na idiotkę, więc biorę od niej drinka.

– Dzięki.

Katie i Caitlyn chichoczą. „Czy już są pijane?”

Na szosie napotykamy tylko kilka samochodów. Okoliczne farmy są ciemne. Wypijam łyżeczek koktajlu. Po prawej pojawia się dom Dylana. Mijamy go i jedziemy dalej.

– Czy impreza nie jest u Dylana?

– Zmiana planów.

– Więc gdzie?

– Zobaczysz.

Przenoszę spojrzenie z Katie na Caitlyn. Obie chichoczą.

Staram się zachować spokój.

– Ale to *jest* impreza, tak?

– Jasne – mówi Lizuska. – Tylko nie taka, jakiej się spodziewałaś.

– W porządku. – Głos mi drży. – Ale Ricky... on tam będzie?

– Niestety nie mógł przyjechać. To naprawdę szkoda, co, skoro tak się wystroїłaś? Nie, żeby go to obchodziło. Widzisz, właściwie on wcale cię nie lubi. Czuję do ciebie litość.

– Wypuśćcie mnie.

– Raczej nie. Katie, Caitlyn.

Obie przyciskają się do mnie mocno. „Moja komórka. Jak starzy mogli mi ją zabrać?”. Zgniatam puszkę w dłoni. Koktajl rumowy wylewa się na mnie.

– Oj, zmoczyłaś swoją pieluchę... to znaczy spódnice – chichocze Katie. – Co masz pod spodem? Wyjątkowe majtki dla Ricky’ego?

Śmieją się. „Oddychaj. Oddychaj”.

Skrećamy w boczną szosę McClennana, zapuszczoną drogę gruntową, i jedziemy do zardzewiałego mostu. Dylan wyłącza silnik i gasi przednie reflektory. Wszystko pochłania nocna ciemność.

Lizuska świeci mi w twarz latarką. Katie zaczyna filmować telefonem komórkowym.

– Wyłącz.

– Co chcecie zrobić?

– Zgadnij.

Drzwi samochodu się otwierają. Lizuska i Dylan wysiadają. Rzucam się do przodu, żeby nacisnąć klakson. Caitlyn łapie mnie w pasie i szarpie do tyłu. Usiłuję uchwycić się zagłówka fotela Lizuski, ale palce mi się ześlizgują. Wypadam z auta na żwir.

Lizuska kiwnięciem głową daje znak Dylanowi.

– Zrób, co ci mówiłam.

Dylan chwyta mnie pod ramiona i wlecze na środek mostu.

Szamoczę się.

– Pomocy!

– Nikt cię tu nie usłyszy.

Caitlyn kopie we mnie żwirem.

– Zasłużyłaś sobie na to.

– Absolutnie – dorzuca Katie i filmując, wychyla się tak bardzo, że niemal spada z mostu.

Dylan sadza mnie na balustradzie. Lizuska świeci latarką poza most. W dole jest wyschnięte łóżysko potoku: kamienie, odłamki szkła i kawałki drutu kolczastego.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy.

– Zrobimy, co zechcemy – mówi Lizuska. Jej oczy się zwięzają. – Myślałaś, że możesz okazać mi brak szacunku? Popchnąć mnie na ziemię na oczach wszystkich? Upokorzyć mnie przed moimi ludźmi?

– Przepraszam. Przepraszam.

– Jesteś żalospną gnojową. No, pora na zapłatę.

– Jaką zapłatę?

– Chcę usłyszeć, jak mówisz: „Opluj mnie. Jestem gównem”.

– Co?

– Słyszałaś. Powiedz: „Opluj mnie. Jestem gównem”.

– Nie.

Lizuska daje znak Dylanowi. Chłopak unosi ręce, jakby zamierzał mnie zepchnąć.

– Nie! Nie rób tego! Ja zginę!

– A więc?

– Jeżeli nie wrócę do domu, ludzie zaczną pytać.
– Nie nas. Nas tu w ogóle nie ma. Jesteśmy u mnie w domu i uczymy się.
Moi rodzice to potwierdzą. Wiesz o tym.
– Tak czy owak – mówi Katie, wciąż filmując – wszyscy pomyślą, że uciekłaś z domu.
– A gdy mnie znajdą?
– Uznają, że popełniłaś samobójstwo.
– Więc powiedz to – powtarza Lizuska. – „Opluj mnie. Jestem gównem”.
Powiedz albo...

Zerkam w dół na głązy i zaczynam się okropnie trząść.
– Dobrze, dobrze. Opluj mnie. Jestem gównem.
Lizuska uśmiecha się szeroko i pluje mi w twarz. A potem pozostali.
– Teraz powiedz: „Moja babka to stara zdzira. Jest stertą gówna”.
– Madi, nie. Nie mogę. Powiem o sobie, cokolwiek zechcesz, ale nie o babci.
– Mów natychmiast.
Lizuska mocno wbija mi latarkę w klatkę piersiową. To pchnięcie odrzuca mnie do tyłu za balustradę. Zapieram się o nią łydkami... zaczynają się obsuwać... rozpaczliwie młócę rękami... zaraz spadnę.

– Aaa! – krzyczę.
Dylan chwyta mnie za kolana. Wiszę głową w dół i wrzeszczę.
Katie wybucha śmiechem.
– Hej, jak myślicie, czy gówniana Bird potrafi latać?
– Wciągnijcie mnie!
– Niby dlaczego? – pyta drwiąco Caitlyn.
– Masz ostatnią szansę – mówi Lizuska. – Gadaj: „Moja babka to stara zdzira. Jest stertą gówna”.
– Dylan, proszę! Wciągnij mnie, a powiem ci o jej kuzynie Dannym. Wiesz, tym z Saskatoon.

– ZAMKNIJ MORDE! – wrzeszczy na mnie Lizuska.
Dylan odwraca się w bok ku niej.
– O co chodzi z tym Dannym?
Lizuska łapie go za ramiona.
– Nie słuchaj tej małej dziwki. Zrzuć ją.
Dylan rozluźnia chwyt. Kołyszę się w powietrzu, zaczynam wyslizgiwać mu się z rąk.

– Dylan, ja spadnę!
Chwyta mnie mocniej, dźwiga w górę i rzuca na most.
– Więc co z tym Dannym? – pyta, stojąc nade mną.
– Już dobrze, dobrze – szlocha Lizuska. – Danny przez całe lato próbował mnie obmacywać.

– Co takiego?! – wykrzykuje Dylan i odwraca się do niej.
– Nie pozwoliłabym mu na to. To było okropne.
– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?
– Wiedziałałam, że byś go pobił. A wtedy moi rodzice rozdzieliliby nas.
Milczałam ze względu na ciebie. Na nas. Zoe wiedziała. Przyrzekła, że nikomu nie powie. Dopiero teraz wszystko popsuka. Wybaczysz mi?
– No już, już, Madi – mówi Dylan i obejmuje ją. – To nie twoja wina.
Katie i Caitlyn gładzą ją po ramionach.
– Och, Madi, biedna Madi.
Lizuska też je obejmuje.
– Przepraszam. Powinnałam być wam powiedzieć. Ale bałam się, że nie zrozumiecie. Bałam się, że mi nie uwierzycie.
– Oczywiście, że byśmy ci uwierzyli – mówi Dylan. – Jesteś naszą Madi.
I masz rację, nałomotałbym go.
– Co bym bez was zrobiła – mówi ta gówniara i rozpromienia się. Potem ociera oczy i mierzy mnie gniewnym spojrzeniem. – No dobra. Tylko spróbuj powiedzieć komuś o dzisiejszej nocy – komukolwiek – a dorwiemy cię. Jasne? Nie będziesz wiedzieć gdzie, nie będziesz wiedzieć kiedy, ale pewnego dnia wepchniemy cię do samochodu i dokończymy to, co zaczęliśmy.
Kulę się w kłębek.
– Zabierajmy się stąd – mówi Lizuska do pozostałych. – Ta świnią może wrócić pieszo.
Odjeżdżają.

Tylne światła samochodu nikną w mroku. Jest tak cicho, że słyszę bicie swojego serca. Tak ciemno, że widzę tylko punkciki świateł odległych farm. Ruszam. Potykam się na wybojach, ale nie zatrzymuję się. Docieram do szosy i kieruję się w stronę miasteczka. Przez całą drogę prześladowuje mnie obraz tych kamieni, szkła i drutu kolczastego pod mostem. Wszystko jest nagrane na komórkę Katie. To, jak jestem opluwana, jak wiszę za balustradą mostu. Założę się, że oglądają to teraz i nieźle się bawią.

„Czy wrzucą to do internetu?”. Gdyby tylko tak zrobili. „Mamo, tato, widzicie? Teraz wiecie, że nie kłamię”. Madi jest na to za sprytna.

Obejmuję się ramionami. Niczego nie czuję. Mijają mnie samochody. Dobrze, że nikt się nie zatrzymuje. Mogliby jeszcze powiadomić moich starych.

Widzę uliczne lampy w miejscu, gdzie szosa dociera do miasteczka. Musi być już po północy. Wokoło nie ma nikogo. Nie czuję zimna, ale na pewno jestem przemarznięta. Wiem tylko, że cuchnę potem, ziemią i koktajlem rumowym. Docieram do parku. Dom. Jutro to ubranie wyląduje w pojemniku na śmiecie.

Wślizguję się przez boczne drzwi. Powietrze jest gęste od zapachów lakierów do włosów i zapiekanego tuńczyka. Idę na palcach przez kuchnię do salonu. Światła są zapalone. Mama i tata w piżamach i szlafrokach siedzą w fotelach przy suszarkach. Mama ma przekrzywioną perukę. Tata jest cały mokry od potu.

– Gdzie byłaś? – pyta przerażająco cichym głosem.

– Nigdzie.

Wstaje. Nie widziałam go jeszcze takiego.

– Gdzie byłaś? – powtarza ostrym tonem.

– Powiedziałaś ci, nigdzie. Nie mogłam usnąć. Wyszłam na spacer.

– Tak po prostu? – rzuca mama.

– Śmierdzisz wódą – mówi tata.

– Nie, ja...

– Kim jest ten chłopak? – pyta mama.

– Nie ma żadnego chłopaka.

– Nie? Spójrz tylko na ten brud. Z kim się tarzałaś po ziemi?

– Z nikim.

– Więc co robiłaś?

– Nie uwierzycie mi.

– Uwierzymy, jeśli to prawda – mówi tata.

– Doskonale. Byłam z Madi. Zadowoleni?

– Z Madi? Uważasz to za zabawne?

– Nie. Ona chciała mnie zabić.

– Oczywiście. – Mama rusza do telefonu. – Dzwonię do ciotki Jess. Powtórzę jej, co powiedziałaś. Chcesz tego?

– Nie! Wtedy Madi naprawdę mnie zabije.

– Wstydź się. Wstydź.

– Mówiłam wam, nigdy mi nie wierzycie.

– Ciekaw jestem dlaczego, biorąc pod uwagę twoje prezerwatywy, narkotyki i ten wyzywający strój. – Po twarzy taty spływają strumienie potu. – Ile razy wykradałaś się z domu tak jak dziś?

– Nigdy. To był pierwszy raz.

– Na pewno nie pierwszy!

– Potrzebujesz pomocy – mówi mama. – W Woodstock jest pewien lekarz.

– Chcecie nafaszerować mnie prochami? Zrobić ze mną to samo, co zrobiliście z babcią?

– Kochanie, nie jesteś zdrowa. Próbowaliśmy wszystkiego.

– Tak, jasne! – wrzeszczę. – Zamykacie mnie. Zabieracie mi komórkę. Nigdy nie słuchacie tego, co do was mówię. No, to nie moja wina, że mnie macie! Nie moja wina, że tata nigdy nie opuścił miasteczka! Nie moja wina, że nie jesteśmy tacy jak Mackenzie!

– Co takiego?

Pokój wypełniają nasze krzyki.

– Zamknijcie się! – Biegnę do drzwi. – Zamknijcie się, zamknijcie się, zamknijcie!

– Wróć natychmiast! – woła tata.

– Odpieprz się!

– Jeżeli wyjdiesz, już nie wracaj.

– Świetnie.

Trzaskam za sobą drzwiami, biegnę drogą do parku i wskakuję na huśtawkę. Kołyszę się coraz wyżej, aż do wysokości poziomego wspornika. Wrzeszczę do utraty tchu:

– NIENAWIDZĘ TEGO MIASTA! NIENAWIDZĘ TEGO ŻYCIA! ŻAŁUJĘ, ŻE NIE UMARŁAM!

Główną ulicą mknie ciężarówka w kierunku szosy. W pobliżu parku jeszcze przyśpiesza. „Jedzie tak szybko, że nie zdoła się zatrzymać. Tak szybko, że nic nie poczuje!”.

Zeskakuję z huśtawki i pędzę do szosy. Gdy już mam skoczyć pod koła, wyobrażam sobie babcię samotną w oknie. Rzucam się w bok. Ciężarówka mija mnie błyskawicznie, trąbiąc klaksonem.

„Och, mój Boże. Co się przed chwilą stało? Czy ja oszalałam?”.

Potrzebuję jakiegoś miejsca, żeby pomyśleć. Żeby się ukryć.

Wkradam się na podwórze babci za domem, otwieram drzwi i wchodzę do Ptasiej Budki. Zasłony są zaciągnięte, żeby uniemożliwić złodziejom szpiegowanie, więc wewnątrz jest ciemno, choć oko wykol. Próbuję odszukać włącznik lamp, ale ludzie zobaczą światło przez szczeliny zasłon i zorientują się, że ktoś jest w środku. Babcia ma w kredensie świece. Mogę osłonić dłonią blask płomienia.

Macając ręką po ścianach, idę do jadalni. Tapety są pokryte puszystymi zielonymi kwiatkami przypominającymi w dotyku gąsienice.

Zastygam w bezruchu. Co to był za dźwięk?

„Nic, kretynko. To nie film”.

Docieram do kredensu i szperam w nim po omacku, aż znajduję świece, lichtarz i pudełko zapalek. Powietrze wokół mnie się porusza. Czuję mrowienie w karku. Ktoś tu jest.

Wstrzymuję oddech. Cisza.

Zapalam świecę, odwracam głowę... „Twarz! Widzę czyjaś twarz!”.

Idiotka! To moje odbicie w oszklonej szafce babki. Jestem tutaj sama.

„Chyba że nie. A jeśli ktoś się włamał? Jakiś włóczęga? Jeśli wciąż tu jest?”.

W Shepton nie ma włóczęgów.

„Więc może Lizuska? Wie, że dom jest pusty. A co, jeśli ściągnęła tu swój gang na popijawę? Co, jeśli ukryli się, gdy otwierałam drzwi?”.

Zasłona przy oknie jest wybrzuszona. Odstawiam świecę i chwytam leżącą obok stołu parasolkę.

– Lizusko, chowasz się za kotarą?

„Akurat by odpowiedziała! Nie, zaczeka, aż Dylan zagrozi mi od tyłu drogę ucieczki. Wtedy rzuci się na mnie i...”.

Atakuję zasłonę, z całej siły walę w nią raz za razem parasolką. Nikogo tam nie ma.

„I co z tego? To nie znaczy, że oni nie czają się tu gdzieś indziej”.

Z parasolką w jednej ręce i świecą w drugiej przechodzę przez salon, kuchnię i gabinet. Nic. Znadto się boję, by zejść do piwnicy. Zamiast tego opieram krzesło o prowadzące do niej drzwi. Jeżeli Lizuska wejdzie na górę, usłyszę hałas przewracanego krzesła.

Wchodzę po schodach na piętro i sprawdzam szafy z garderobą – na czworakach, żeby móc dostrzec nogi kogoś ukrywającego się za sukienkami babci. Nikogo nie widzę. Przechodzę do łazienki i szarpnięciem odciągam zasłonkę prysznic. Tam też nikogo nie ma.

Wyjmuję ręcznik z szafki na bieliznę i biorę prysznic, zostawiając otwarte drzwi. Babcia robi tak, bo chce widzieć, gdzie jest, a ja po to, żeby mieć pewność,

że nikt nie skrada się po schodach. Wycieram się, wracam do pokoju babki i przysuwam do drzwi drewniany kufer. Jeżeli ktoś spróbuje się włamać, wyskoczę przez okno.

Od kiedy babce trudniej się poruszać, trzyma swoje koszule nocne w komodzie. Pachną kulkami na mole. Wkładam jedną i wpełzam do łóżka. Prześcieradła są świeże, ale w poszewkach poduszek wyczuwam zapach babci: zwietrzałą lawendę, róże i talk. Wyobrażam ją sobie w łóżku w Greenview: „Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Dlaczego nikt mi o niczym nie mówi?”.

„Nie bój się, babciu. Rozwiążę tę sytuację. Obiecuję”.

Zaczyna mi dokuczać ból w miejscach, gdzie się uderzyłam, upadając na żwir. Z tyłu głowy mam guza; widocznie od rąbnięcia nią o most. Wsłuchuję się w odgłosy skrzypienia w całym domu, poruszenia w ścianach. Myszy? Szczury?

„Czy ktoś tam jest? Dlaczego stale oglądam te horrory?”.

Zamykam oczy. I natychmiast je otwieram. Znowu zamykam. Otwieram. Zamykam. Otwieram. Nie ma mowy, żebym zdołała usnąć. Wpatruję się w świecę na nocnym stoliku. Jeszcze niedawno stały na nim rodzinne fotografie. I nadal *powinny* tam być. Lecz już nigdy się tam nie znajdują.

„Stryj Teddy! Jego zdjęcie! Przepraszam, babciu. Zapomniałam przynieść ci inne”.

Wstaję i wyciągam spod łóżka kilka kartonowych pudeł pachnących stęchlizną. Kiedy byłam mała, szukaliśmy w nich zabawek taty i stryjka Teddy’ego. Przetrzęsaliśmy również jej pudła z albumami pełnymi zdjęć.

Zdejmuję pokrywy. W pierwszych trzech pudłach są gry planszowe, pacynki, szklane kulki, rękawica bejsbolowa i zestaw do stawiania wróżb. Czwarte zawiera albumy zdjęć babci i dziadka z czasów, kiedy byli dziećmi. W piątym są ich ślubne fotografie, a także zdjęcia, na których tańczą, grają w kręgle, urządzają pikniki.

„Czy za pięćdziesiąt lat ktoś zobaczy mnie na przypadkowo pstrykniętej fotce i będzie się zastanawiał, kim byłam?”.

Otwieram szóste pudło. Tak! Na wierzchu leży album opatrzony naklejką z napisem „Chłopcy” oraz paczka listów do babki związanych gumką.

Adresy zwrotne są z Toronto. Nadawcą jest T. Bird.

Życie z czasów przed SMS-mi i mailami. O rany. Zaczynam od listu z najwcześniejszą datą stempla pocztowego. Z kartki wzlatują duchy.

Droga Mamo!

Od powrotu do siebie telefonowałam, ale tata stale odkłada słuchawkę. Tak więc przepraszam, że zepsułem Wam Gwiazdkę. Wiem, że zamierzaliśmy odwiedzić dziadka, ale musiałem wyjechać z Ptasiej Budki i wrócić na uniwersytet.

Mówisz, że tata mnie nie nienawidzi. No cóż, jednak nienawidzi. Widzę, z jaką miłością patrzy na Ciebie i Timmy'ego. Tak bardzo pragnę, by na mnie też spoglądał w taki sposób. Ale jestem, kim jestem.

Dzwoń do mnie, ilekroć poczujesz się samotna.

Z wyrazami miłości,

Teddy

Dziwne. Nie pamiętam dziadka gniewnego. Zapamiętałam go leżącego na kanapie, słabego i kruchego. Babcia gładziła go po czole. Rzucił mi orzechy arachidowe. Byłam jego kociątkiem.

Otwieram następny list. Jest z marca, napisany po wizycie babki. Teddy przysłał w nim masę zdjęć. Najlepsze przedstawia ich oboje w szalikach, o których powiedziała mi babcia: żółto-pomarańczowych z purpurowymi zygzakami, sięgających aż do kolan!

Odtąd nie chcę od taty żadnej pomocy – pisze. – Nie chcę niczego mu zawdzięczać. Utrzymam się ze stypendium, dorywczej pracy i pożyczki studenckiej. Poradzę sobie.

Ten i wszystkie późniejsze listy podpisuje „Ja”, co jest dość zabawne.

W następnych przesyłkach kolejne zdjęcia. Teddy jest na drugim roku studiów uniwersyteckich i wynajmuje dom wspólnie z trojgiem przyjaciół: Bruce'em Izumim, Lincolnem „Linc” Edwardsem i Susan Munroe. Jego najlepszy kumpel Linc ma psa o imieniu Pan Binks. Stryjek Teddy wygląda super: kręcone włosy związane w koński ogon, oczy wielkie jak u jelonka Bambi.

W kolejnym liście nie ma żadnych zdjęć.

Droga Mamo!

To dobry pomysł, że przeprowadzacie się wszyscy do Ptasiej Budki. Dziadek nie daje sobie rady sam po śmierci babki. Wybacz, ale ja nigdy nie wrócę. To wykluczone, z powodu taty. Spotkajmy się oboje tutaj.

Susan mówi, że kiedy w czerwcu przyjedziesz z wizytą, upiecze na Twoją cześć sernik. Przypomnę jej, żeby tym razem wysmarowała formę tłuszczem. Powiedz Timmy'emu, żeby nie wierzył w to, co mówi o mnie tata.

Z wyrazami miłości,

ja

Przełóżam pobieżnie kilka następnych listów; wszystkie napisane po wizytach babci. Wygląda na to, że odwiedzała go trzy, cztery razy do roku. Nie znajduję już więcej zdjęć, jakby przestał je robić, zatrzymywał dla siebie albo może babka schowała je gdzie indziej. W każdym razie stryj Teddy nigdy nie pisze o moim dziadku, ale wspomina o moim tacie:

Timmy jest jeszcze mały. Zrozumie, kiedy dorośnie.

Zostały jeszcze tylko cztery listy – wszystkie z nowym adresem nadawcy. W pierwszym jest zdjęcie parku za szeregiem niskich sklepów i restauracji. Park! Tak! Babcia mówiła, że Teddy ma dom naprzeciwko parku! A więc jednak w i e, gdzie on mieszka! Albo mieszkał.

Cześć, Mamo!

To widok z mojego balkonu. Cudowny, prawda? Bardzo podobał mi się tamten wynajmowany dom, ale wspaniale jest mieć własne mieszkanie. Ciągle jeszcze je odnawiam. Zobaczysz je, gdy przyjedziesz.

Z wyrazami miłości,

ja

Kolejny list:

Dość już tego poczucia winy, Matko. Wiem, że nie chodziło o mnie. Ale nie chodziło też o Ciebie i tatę. Jeśli nie chciałaś mnie tam, w porządku, ale nie udawaj, że to była moja wina.

„O czym on mówi?”. Następny list, tydzień później:

Jesteś zmartwiona? Myślisz, że ja nie? Dokonałaś wyboru. No więc ja również. Moi przyjaciele są dla mnie bardziej rodziną niż Ty.

„O rany! Stryj Teddy wyparł się mojej babci?”. Pośpiesznie przełóżam pozostałe listy.

Koperta ostatniego listu jest rozerwana i sklejona skoczem. Otwieram ją. Wypadają z niej setki skrawków papieru.

„Co napisał stryj Teddy? Dlaczego babka podarła list na kawałki i zachowała je?”.

Wkładam skrawki do koperty, chowam wszystkie listy z powrotem do pudła i kładę się na łóżku. Babcia... stryj Teddy... stryj Teddy... babcia... dziadek... mama i tata... ja... ja i oni... ja i Lizuska... ja i...

Jest noc. Biegnę przez śnieżną zamieć. Kto mnie ściga? Nie wiem. Twarze mają zakryte szalikami. Docieram do mostu. Spychają mnie z niego. Chwytam się

szalika. Lizuska się śmieje. Szalik pruje się... już go nie ma... spadam...

Siadam w łóżku sztywno wyprostowana. Przez szczelinę w zasłonach sączy się światło. Musi być już niedzielny poranek. Au! Jestem taka obolała. I głodna.

Idę do kuchni. Szafki są puste, ale mama i ciotka Jess podczas sprzątanía przeoczyły ciasteczka figowe w głębi najwyższej półki spiżarki. Moczę kilka w wodzie z kranu, aż robią się na tyle miękkie, że można je ugryźć, a potem wracam do pokoju babci.

„Co teraz? Nie mogę tu zostać, ale jak stawię czoło mamie i tacie?”

Drzwi wejściowe się otwierają.

– Zoe?

To oni.

– Zoe, nie ma sensu się chować! – woła mama. – Znajdziemy cię.

„Och, na pewno?”. Wpełzam pod łóżko, trzymając listy, i zastawiam się pudłami, podczas gdy rodzice chodzą na parterze.

– No, wyjdź. – To tata. – Kochamy cię. Martwimy się o ciebie.

„I kto tu teraz kłamie?”.

Dobiegają mnie odgłosy otwierania i zamykania kolejnych drzwi.

– Tim, co kosiarka do trawy robi w schowku na szczotki?

– Nie mam pojęcia.

Odgłosy szperania i odsuwania mebli.

– Nie powinienem był w żadnym razie powiedzieć jej, że nie może wrócić – mówi tata.

– Ona wie, że nie miałeś tego na myśli.

– Na pewno? Jeżeli coś się jej stanie...

– Nic jej się nie stało. Prawdopodobnie przespała się w parku. Albo może jest u tego chłopaka.

– Albo mogła uciec.

– Uspokój się – mówi mama z kuchni. – W zlewie jest woda. Ona musi być tutaj. Zajrzyjmy na piętro.

Wchodzą po schodach. Przed drzwiami sypialni babki skrzypią deski podłogi.

– Zoe, wychodź natychmiast – mówi mama. – Dość tych głupich gierek.

„Głupich gierek? To są *głupie* gierki?”.

– Nie gniewamy się na ciebie – dorzuca tata. – Jesteśmy zmartwieni, ale nie rozgniewani.

„Jasne. Dopóki mnie nie zobaczycie?”.

– Ja zablokuję schody, a ty sprawdź w pokojach – mówi mama.

– Dobrze. – Tata ciska się jak Niesamowity Hulk, o ile Niesamowity Hulk mówiłby coś takiego jak: – Jasny gwint, pod umywalką są mysie bobki!

Oboje wchodzą do sypialni. Słyszę odgłos otwarcia i zamknięcia kufra babki, potem stukot wieszaków. Czuję zapach perfum mamy. Ona zagląda pod łóżko.

– Są tam tylko pudła – mówi tata.

Mama jednak szturcha je ręką, tak że napierają na mnie. Stęka, podnosi się i klapie tyłkiem na łóżko. Metalowe pręty wbijają mi się mocno w ciało. Tata siada obok niej. Przez cienką szczelinę między pudłami widzę jego lewy but. Oboje chcą trochę odsapnąć.

– Widocznie uciekła tylnymi drzwiami, gdy podjechaliśmy od frontu – mówi mama.

Tata rozwiązuje sznurowadła. Czuję woń jego stóp.

- Czy powinniśmy zadzwonić na policję?
- Nie. Ona wróci do domu, kiedy zgłodnieje.
- Skąd wiesz?
- A dokąd miałyby pójść?
- Kto wie? Teddy nigdy nie wrócił.
- No, ale też nie zniknął – mówi mama. – I w przeciwieństwie do niej całkiem dobrze sobie radzi. Choćby to jego mieszkanie. Picie porannej kawki i wyglądanie przez okno na park. To dopiero jest życie.

„A więc on nadal mieszka tam, przy parku!”

- Teddy... – Tata kołysze się w przód i w tył; pręty łóżka szorują po mnie. – Powinienem był dać Teddy’emu numer telefonu matki.

„Co takiego?”

- Nie zaczynaj z tym znowu – wzdycha mama.
- Mówię serio, Carrie. Sprawy mogłyby się ułożyć inaczej.
- Nie ma sensu wracać do przeszłości. Co było, minęło.

Tata oddycha głęboko.

- Przeszłość nigdy nie przemija.

„O rany. Co za głębokie myśli!”

- Dość już o Teddym – mówi mama. – Musimy pomyśleć o Zoe. O tej szkole z internatem.

Tata przestaje się kołysać.

- Tak bardzo zależało ci na tej siedzibie salonu fryzjerskiego.
- No tak, ale... Ta szkoła z internatem to jej ostatnia szansa. Kredyt hipoteczny domu pokryje opłatę za pierwszy rok jej nauki. Później możemy porozmawiać z Jess i Chadem.
- Nienawidzę prosić ich o pieniądze.
- Myślisz, że ja nie? Tak czy inaczej, pora już pójść do kościoła. Ludzie zaczną się zastanawiać, co nas zatrzymało.
- Co powiemy, jeśli spytają o Zoe?
- Że się przeziębiła. – Mama gładzi tatę po plecach. – Zoe nic się nie stało. Była tu jeszcze przed chwilą. Wróci do domu. Odpręż się.

Schodzą na parter. Trzaskają zamykane drzwi wejściowe. Wyłączę spod łóżka i potrząsam zdrętwiałymi rękami, by pozbyć się mrowienia.

„Wrócę do domu? I dam się wyekspediować do tej szkoły? Nie mogę tak postąpić. Babcia pomyśli, że ją porzuciłam. Zapomni, kim jestem. Umrze w Greenview! Co mam zrobić? Gdzie się ukryć?”

U stryja Teddy’ego! Pojadę do niego. Nadal mieszka przy parku. Jego adres jest na kopertach listów.

„Dlaczego miałyby chcieć mnie przyjąć?”

Ponieważ zrozumie. On też nie mógł wrócić do domu. Poza tym nie przyjadę sama. Zabiorę ze sobą babcię.

„Zaraz, chwila! Nie mogę zabrać babci”.

Muszę, gdyż inaczej ona nigdy nie wydobędzie się z Greenview. Kiedy znajdzie się u stryja Teddy’ego, moi rodzice nie zdołają sprowadzić jej z powrotem.

„Ale on nie chce jej widzieć”.

Och, czyżby? Jakim cudem stryj Teddy dałby tacie swój numer telefonu?

„Żadnym”.

Właśnie. Stryj Teddy wysłał swój numer babce, na wypadek gdyby chciała do niego zadzwonić. Ale tata przechwycił ten list. On ma numer telefonu stryja Teddy’ego. Ona nie – sam to przed chwilą powiedział. Tylko tak można zrozumieć tę sytuację. Nic dziwnego, że tatę dręczą wyrzuty sumienia. Trzyma babkę i stryja Teddy’ego z dala jedno od drugiego.

No, więc koniec z tym.

Wrzucam do walizki kilka pieluchomajtek i ubrań babci, listy i zdjęcia od stryja Teddy'ego. Zostawiam ją przy drzwiach wejściowych i przetrząsam dom, szukając kluczyków do samochodu babki. Zanim rodzice wrócą z kościoła, będziemy już w Woodstock, w pociągu do Toronto.

Idę w kierunku domu Bensonów, naszych sąsiadów po drugiej stronie szosy. „A jeśli mnie zobaczą?”. Nie panikuj. W niedzielę zawsze wylegają się w łózkach do południa. Poza tym nikt nie wie, że zaginęłam.

Przebiegam przez szosę i wślizguję się przez frontowe drzwi naszego domu. Serce mi łomocze i podchodzi do gardła. Cisza w środku wydaje mi się upiorna. Mam wrażenie, że mama i tata słyszą, jak wchodzę. Na palcach idę do ich pokoju i biorę kluczyki do samochodu babki ze starego pudełka po spinkach do koszuli taty w dolnej szufladzie jego komody. Dostrzegam swoją komórkę. Korci mnie, żeby ją wziąć, jednak rezygnuję – nie mogę ryzykować, że gliny ją namierzą.

Sprawdzam na swoim komputerze rozkład jazdy pociągów. Niedzielny do Toronto odjeżdża z Woodstock za półtorej godziny. Zostało niewiele czasu, ale możemy zdążyć. Przebieram się w dżinsy i bluzę z kapturem, wpycham do plecaka bieliznę i przybory toaletowe, a potem idę do kuchni, otwieram lodówkę i wkładam do mocnej plastikowej torby ser, chleb, czipsy, wafle czekoladowe, dwie puszki coli i kilka papierowych ręczników.

Na papierze listowym mamy podrabiam liścik od niej do ośrodka Greenview.
Salon Fryzjerski Carrie

Wszystko dla Ciebie!

#10078 Highway 8

519-676-0942

Droga Amy!

Zoe zgłosi się do Ciebie, żebyś zwolniła Grace z ośrodka Greenview na niedzielny obiad u nas. Tim i ja przywieziemy ją z powrotem dziś wieczorem przed ósmą.

Z poważaniem,

Carrie Bird

Piszę drugi liścik, do mamy i taty, który zostawiam w apteczce w łazience, tak aby nie zobaczyli go przed pójściem spać.

Babcia i ja mamy się dobrze. Jedziemy tam, gdzie już nigdy więcej nie wtrącicie się w nasze życie.

Zoe

W porządku. Żegnaj, zielona wanno. Żegnaj, zegarze w kształcie sowy. Żegnajcie, suszarki do włosów. Zamykam oczy i wdycham miętowy zapach kremu do peelingu stóp, woń henny i aromatycznej mieszanki ziół. Wyobrażam sobie mamę poprawiającą perukę, tatę zdejmującego buty.

Wzdrygam się. Pora uwolnić babcię.

Wkładam torbę z jedzeniem do metalowego kosza na śmieci na parkingu ośrodka Greenview, żeby nie wzbudzić w Amy podejrzeń, a potem biegnę wesoło do jej biurka.

– Amy! Wspaniała nowina! Mama i tata zabierają babkę na obiad!

– Och, ona bardzo się ucieszy.

– Mam nadzieję. Przyszłam po nią. – Podaje Amy mój liścik. – Hej, masz wspaniały sweter.

Amy odkłada kartkę na bok.

– Dzięki.

Gdy wysiadam z windy, kieruję się prosto do pokoju babki. Babcia siedzi w fotelu, z pustym wzrokiem utkwionym przed siebie. Obok krasnała ogrodowego leżą spakowane torby.

– Rabarbar, babciu. Pieróg – mówię i biorę jej szczoteczkę do zębów. – Ruszajmy. Jedziemy do stryja Teddy’ego.

Zrywa się z fotela.

– Najwyższy czas! Pomóż mi ponieść moje rzeczy.

– Nie możemy niczego ze sobą zabrać. Jeżeli ktoś się domyśli, że uciekasz, utkniesz tu na zawsze. Zaufaj mi. Ty tylko się uśmiechnij, skiń głową i pozwól mi mówić.

Babka łapie mnie mocno za ramię.

– Prowadź, detektywie Bird.

Maszerujemy korytarzem, wpatrując się w drzwi wyjściowe za świetlicą. Mijamy stanowisko pielęgniarek i wózki inwalidzkie przed telewizorem. Wstukuję kod i drzwi się otwierają. Zjeżdżamy windą na parter.

– Słyszałam, że dziś wielki dzień – mówi Amy z uśmiechem do babki, gdy ja podpisuję w rejestrze jednodniowe zwolnienie.

– Oczywiście – odpowiada babka. – Jadę spotkać się z moim synem.

– Życzę miłej zabawy. Zobaczymy się znowu o ósmej.

– Och, czyżby?

Mrugam do Amy, szybko wyprowadzam babkę na zewnątrz i wyjmuję z kosza na śmieci naszą torbę z jedzeniem.

Babka zagląda do kosza.

– Jest tam coś jeszcze wartego zabrania?

– Nie dziś. – Popędzam ją w kierunku Malcolm Street. – A teraz się pośpiesz. Musimy wydostać się z miasteczka, zanim mama i tata wrócą do domu z kościoła.

– Dlaczego? Dokąd jedziemy?

– Do stryja Teddy’ego.

– Najwyższy czas. – Ściska mi ramię. – Zoe, kiedy umrę, czy zaopiekujesz się moimi ptasimi gniazdami? Nie chcę, żeby je wyrzucono. I moim pudełkiem z jajkami drozda.

– Zaopiekuję się wszystkim, babciu. Ale teraz musimy się pośpieszyć.

Babka przyśpiesza kroku.

– Przedmioty są wspomnieniami. Tak się boję stracić moje wspomnienia. Jeżeli nie ma się wspomnień, jaki jest sens żyć?

Skręcamy w Maple Street, docieramy do Ptasiej Budki i wchodzimy na werandę.

– Chciałabyś się pohuścić? – pyta babka.

– Nie teraz – odpowiadam i prowadzę ją do środka. – Chcę, żebyś się skupiła: Gdzie schowałaś swoje pieniądze?

Mruży oczy.

– Im mniej będziesz wiedzieć, tym mniej dowiedzą się twoi rodzice.

– Wiem, ale potrzebujemy tych pieniędzy. Teraz. Żeby zapłacić za bilety na pociąg do stryja Teddy’ego.

– Och, no dobrze, w takim razie... – Babka zamyka oczy. – Nie podpowiadaj mi. Niemal widzę to miejsce. Bez przerwy je sprawdzałam. Jak się nazywa to, gdzie śpię?

– Sypialnia?

– Nie. Rzecz, no wiesz, rzecz, na której się leży. Jak ona się nazywa?

– Łóżko?

– Nie. Nie łóżko. To drugie.

– Kanapa?

Babka gwałtownie otwiera oczy.

– Właśnie. One są w kanapie.

Wchodzi pewnym krokiem do gabinetu, sięga do dziury z tyłu kanapy i wyjmuje stare rajstopy wypchane banknotami.

– Policz. Jest ich mnóstwo.

– Mama myśli, że tę dziurę zrobiła wiewiórka – mówię, przeliczając

pieniądze.

Babka prycha.

– Chcesz powiedzieć, że twoja matka nie potrafi odróżnić wiewiórki od szczura?

– Tę dziurę wygryzł sznur?!
– Twój dziadek upuszczał na podłogę skorupki orzechów. Czego byś się

spodziewała?

– Babciu, włożyłaś pieniądze do sznurzego gniazda?

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Pierwsze, co ludzie robią, to zaglądną pod deski podłogi i pod materace. Jeśli włożysz je za coś, jak zapamiętasz gdzie? Ale sznurze gniazdo – tego nie zapomnisz.

– Babciu, sznur mógł je zjeść!

– No, jego już tam nie ma, na litość boską. Masz mnie za wariatkę? –
Wyciąga rękę. – Ile ich jest?

– Czteryście i drobne.

Wkładam pieniądze z powrotem do rajstop i oddaję jej.

Chowa je do swojej torebki.

– Mówiłam ci, że mnóstwo.

Patrzę na zegarek.

– Do odjazdu pociągu zostało tylko czterdzieści pięć minut. Musimy ruszać.

– Bez żartów, musimy ruszać. A przynajmniej ja muszę.

Pędzi do toalety, zaczyna nucić piosenkę Presleya i sika bez końca. „No, super”. Odgłos spuszczenia wody w sedesie. Ciurkanie z kranu umywalki. Wreszcie babka wychodzi, wycierając dłonie w swoje spodnie od dresu.

– Słuchaj, Zoe! Jakie jest magiczne słowo?

– Spóźnimy się.

– Spóźnimy? Więc dlaczego tu jeszcze sterczymy?

Chwytam walizkę, którą dla niej spakowałam, oraz torbę z jedzeniem i swój plecak, i pośpiesznie wyprowadzam babkę na dwór. Wrzucam nasze rzeczy do bagażnika, a ona wskakuje na fotel kierowcy.

– Dokąd? – pyta, gdy wręczam jej kluczyki.

– Na dworzec kolejowy w Woodstock.

Babka pociera kciukami kierownicę.

– Chyba nie dam rady jechać szosą.

– Dawniej jeździłaś.

– Nie. Zawsze prowadził twój dziadek.

– To było, zanim zachorował. Później stale jeździłaś sama. No, dalej, szosa będzie pusta. Jest niedziela rano.

Kręci głową.

– Nie jestem pewna.
– Ale przecież powiedziałaś, że poprowadzisz!
– Musiałam żartować.
– Babciu, pamiętasz, kiedy byłam mała, opowiadałaś mi tę historię o małym silniku, który umiał prowadzić samochód. Chcesz powiedzieć, że jesteś gorsza od tego silniczka?

Myśli intensywnie.

– Skoro tak to ujmujesz. Ale musisz mi mówić, co mam robić.

– Obiecuję.

Ruszamy z szarpnięciem i wyjeżdżamy na ulicę. Babka pokonuje wszystkie zakręty prowadzące do szosy bez choćby słowa podpowiedzi z mojej strony. Przejeżdża obok mojego domu – naszego samochodu jeszcze nie ma. Mijamy park, tablicę z nazwą miasteczka – i wjeżdżamy na tereny podmiejskie.

Chyba naprawdę się uda.

Za miastem babka ani trochę nie przyśpiesza. Byłoby szybciej, gdybym pchała samochód.

– Czy moglibyśmy jechać troszkę szybciej?

Babka wciska pedał gazu. Zbaczamy w stronę rowu.

– Babciu! – wołam, wskazując na szosę.

Wraca na nasz pas i jedziemy dalej – wprawdzie nie mkniemy, jednak poruszamy się z wystarczającą prędkością, jeśli komuś się nie śpieszy. Tylko że nam się śpieszy.

Mijamy zjazd na most. „Jak myślicie, czy gówniana Bird potrafi latać?”

Zbliżamy się do ciągnika z przyczepą wyładowaną dyniami. Babka zwalnia. Wkrótce za nami gromadzi się sznur samochodów.

– Babciu, wszyscy czekają, żebyśmy wyprzedzili ten ciągnik.

– Niech czekają.

– Z przeciwnej strony nikt nie nadjeżdża. Możemy z łatwością to zrobić.

Wóz za nami decyduje się na wyprzedzenie. Babka w tym samym momencie też. Tamten pojazd hamuje. Babka jedzie chwiejnie pomiędzy naszym pasem i przeciwnym. Samochody trąbią. Wreszcie wjeżdżamy całkowicie na tamten pas. Pozostałe auta podążają za nami. Tylko że ona prawie wcale nie przyśpiesza. Powolutku wyprzedzamy przyczepę. Przed nami jest wzgórze. Kończy się przerywana linia.

– Babciu! Szybciej!

– Jadę najszybciej, jak mogę.

Z przeciwnej strony pędzi przez wzgórze jakiś pojazd. Ciągnik zwalnia, żebyśmy mogli go wyprzedzić – ale babcia też zwalnia!

– ZGINIEMY!

Babka mruga powiekami i wciska pedał gazu. Śmigamy przed ciągnik i wpadamy na nasz pas, a nadjeżdżające auto gwałtownie zjeżdża na zwirowane pobocze. Wszyscy pozostali kierowcy trąbią wściekle.

Jesteśmy na szczycie wzgórza. Zza zakrętu wyjeżdża samochód policyjny. Czy słyszeli ten zgiełek klaksonów? Czy zwalniają?

– Babciu, ta farma po prawej. Zjedź z szosy. Udawaj, że to nasz dom.

Robi tak. Ciągnik i samochody jadą dalej, jakby nic się nie stało. Gliniarze też się nie zatrzymują.

– No – mówi babka – mam już na dziś dość jazdy.

„Nic dziwnego!”. Ale wciąż jesteśmy dziesięć minut drogi od Woodstock.

– Babciu, poproszę na tej farmie, żeby zamówili dla nas telefonicznie taksówkę, dobrze? – mówię i zabieram kluczyki, żeby nie odjechała beze mnie.

Drzwi otwiera jakaś kobieta. Trzyma w ręku butelkę ze środkiem

czyszczącym i ścierkę; na głowie ma chustkę.

Wskazuję na samochód babki.

– Przepraszam, że sprawiam kłopot, ale mojej babci i mnie zepsuł się samochód, a moja komórka padła. Proszę, czy mogłabym skorzystać z pani telefonu? Chcemy się dostać taksówką do Woodstock.

Kobieta patrzy na babkę machającą do nas.

– Wejdz. Przepraszam za bałagan.

Prowadzi mnie do telefonu stacjonarnego w kuchni. Na lodówce jest przyczepiona magnesikiem wizytówka firmy taksówkarskiej z Woodstock.

Dzwonię tam.

– Przyślemy taksówkę za dziesięć minut – mówi pracownik.

Doskonale. Plus dziesięć minut na dojechanie do dworca i wciąż zostanie nam dziesięć minut do odjazdu pociągu.

– Zaczekacie na pomoc drogową? – pyta kobieta.

– Powiem tacie, żeby ją sprowadził, kiedy wróci z kościoła.

– Dobry pomysł. Będę miała oko na wasz samochód. Gdybyście ty i twoja babka chciały poczekać na taksówkę w domu...

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

Wracam na szosę i wyjmuję z bagażnika nasze rzeczy. Mijają nas samochody, coraz więcej.

„A jeśli będzie przejeżdżał ktoś znajomy? Jeśli zadzwoni do moich rodziców?”

Sprawdzam czas. Minęło już dziesięć minut, odkąd telefonowałam. Jedenaście minut. Kopię butem w żwir. Dwanaście minut. Trzyście minut. Czternaście. „Gdzie ta taksówka? Nie zdążymy!”

Przez wzgórze przejeżdża kamper. „To na pewno młode małżeństwo z dziećmi albo starsze osoby. Możemy bez obawy podjechać stopem, prawda?!”

– Babciu, zachowuj się, jakbyśmy wpadły w tarapaty. Bo wpadłyśmy!

Babka wymachuje rękami jak mażoretka, a ja wychodzę na szosę z uniesionymi dłońmi i błagalnym wzrokiem: „Proszę, pomóżcie! Jestem biedną dziewczyną podróżującą z babcią!”

Kamper podjeżdża i zatrzymuje się. Ma tablicę rejestracyjną z Kentucky. W środku siedzi starsza para: mężczyzna w podkoszulku z nadrukiem „Jadę do Disneylandu”, kobieta w sukience w kropki i słomkowym kapeluszu.

– Macie jakiś kłopot? – pyta mężczyzna.

– Właśnie – odpowiadam. – Jechaliśmy do Woodstock, ale zepsuł się nam samochód. Moi rodzice nie odbierają telefonu i potrzebujemy, żeby ktoś nas podwiózł.

– Wskakujcie. Powiedźcie, dokąd was zawieźć.

– Dzięki. To następne miasteczko, odległe o jakieś dziesięć minut jazdy.

Babka i ja zbieramy nasze rzeczy i sadowimy się na tylnym siedzeniu.

– Jesteśmy Hal i Bette Perkinsowie – mówi mężczyzna.

I o rany! Hal i Bette Perkinsowie okazują się naprawdę gadatliwi. Dowiadujemy się, że mają troje dzieci i siedmioro wnuków i że podróżują po Ameryce Północnej, odkąd Hal przed dwoma laty przeszedł na emeryturę; wcześniej pracował jako księgowy w firmie w Louisville produkującej dachówki.

– Od zawsze kusiły nas podróże, ale nigdy nie mieliśmy na nie czasu – mówi pan Perkins. – Teraz cieszymy się nimi do woli. Och, ten samochód turystyczny mógłby opowiedzieć wiele ciekawych historii. Kiedyś w toalecie w Oregonie znalazłem męską sztuczną szczękę.

– Naprawdę? – odzywa się z ożywieniem babka. – Ja kiedyś widziałam mężczyznę, który się obnażył.

– Słucham? – pyta pani Perkins, jakby nie dosłyszała.

– Miałam wtedy pięć albo sześć lat. To było w dziale słodczy sklepu Kresge.

– Wielkie nieba. Co powiedzieli na to pani rodzice?

– Prawdę mówiąc, nie przyznałam się im. Ale to zrobiło na mnie wrażenie. Pierwszy raz zobaczyłam coś takiego.

– Myślę, że na wszystko przychodzi pierwszy raz – mówi pani Perkins uprzejmym tonem.

– A także ostatni – dodaje ze śmiechem babka. – To mi przypomina pewien dowcip.

„Och, nie”.

– Dlaczego w naszym kościele jest tylko pianino?

– Tak?

– Bo pastor Nolan trzyma swój organ w spodniach!

– Nooo – przerywam – już wjeżdżamy do Woodstock. Proszę pojechać prosto wzdłuż torów kolejowych.

– Znam jeszcze jeden dowcip! – oznajmia babka.

W rzeczywistości zna ich milion. Zaczęła opowiadać je w kościele i dlatego moi rodzice przestali ją tam zabierać.

– Babciu, próbuję podać panu Perkinsowi wskazówki.

– No dobrze. Ten dowcip jest świetny, ale proszę bardzo, mów.

– Dobrze, więc proszę na skrzyżowaniu skręcić w prawo – zwracam się do Perkinsów. – Stamtąd już z łatwością dojdziemy pieszo do dworca kolejowego.

– Nonsens – mówi pani Perkins, gdy wjeżdżamy na skrzyżowanie. – Wysadzimy was przed samymi drzwiami.

– To tam – informuję, wskazując budynek na rogu.

– Och, miałaś rację, to rzeczywiście blisko – mówi pan Perkins.

– Co się dzieje? – pyta babka, gdy wyprowadzam ją z kampera.

– Teraz pożegnamy się z państwem Perkinsami.

Babka ściska dłonie obojgu przez otwarte boczne okno.

– Miło było znów was widzieć – mówi.

Machają nam na pożegnanie i odjeżdżają. Rozbrzmiewa przeciągły gwizd i pociąg wjeżdża na stację.

– Szybko, babciu.

Pędzimy ile sił w nogach, otwieramy drzwi dworca i gnamy do okienka kasowego. Babka wygrzebuje z torebki pieniądze i podaje mi. Chwytam nasze bilety.

– Chwileczkę, proszę zaczekać! – wołam do konduktora, który zabiera się już do wciągnięcia schodków wagonu.

Wskakujemy do środka. Gdy zajmujemy miejsca, pociąg rusza ze stacji.

Wreszcie oddycham swobodniej. Nikt nas tutaj nie zna ani nie wie, dokąd jedziemy.

– Jestem głodna – oznajmia babka.

– Łatwo temu zaradzić. – Wyjmuję z torby z jedzeniem trochę chleba i sera i podaję jej. – Na deser są wafle czekoladowe.

– Powinnaś otworzyć restaurację – mówi babka.

Przez chwilę przygląda się swojej porcji, a potem zawija ją w papierową chusteczkę i wsuwa do kieszeni płaszcza. Ja zjadam kanapkę z serem. W torbie zostają tylko czipsy i sześć ciasteczek.

– Babciu... kiedy ostatni raz widziałaś się ze stryjkiem Teddym?

– Och... jakiś czas temu.

– Jaki dokładnie?

– Kotku, czas to dziwna rzecz. W moim wieku wszystko przemija tak szybko, że trudno się połapać. – Szczypie palcami skórę na grzbiecie dłoni. Powstaje fałdka, która się nie wygładza. – Widzisz? Oto co się dzieje, gdy się zestarzejemy.

– Nie jesteś wcale taka stara.

– Na tyle stara, że na pewno nie potrafisz sobie wyobrazić mnie wdrapującej się kiedyś na drzewa.

– Wdrapywałaś się na drzewo rosnące przy kościele metodystów, w okolicy, gdzie dorastałaś – mówię z szerokim uśmiechem. – Miało konar sięgający ponad dach kościoła. Zeskoczyłaś na ten dach i trzeba było wezwać straż pożarną, żeby sprowadzili cię na dół.

Babka się śmieje.

– Skąd tyle wiesz?

– Słucham cię.

– A ja mówię. Czyż nie jesteśmy dobraną parą? – Robi zaskoczoną minę. – Muszę iść siusiu.

Biorę ją pod ramię i prowadzę do toalety. Przytrzymuje się framugi drzwi, a ja wykładam deskę sedesu papierem. To zwyczaj, którego nauczyła mnie mama, kiedy byłam mała. Zaprowadziła mnie do kabiny toalety w restauracji i połową rolki papieru wyścieliła sedes niczym gniazdo, jakbyśmy miały wysiadywać jaja. „Nie wiadomo, kto tu wcześniej siedział” – powiedziała, a ja wyobraziłam sobie, że moja przedszkolanka.

Odtąd zawsze wykładam sedesy papierem, nawet w domu. Nie chcę, żeby moja pupa zetknęła się z miejscem, którego dotykały tyłki moich rodziców.

Sadzam babkę na sedesie.

– Zostań tu – mówi.

- Jest za ciasno.
- Proszę. Zgubię się i nie znajdę cię.
- Nie martw się. Będę tuż za drzwiami.

Babka żuje wargę, jakby to była suszona wołowina. Zostawiam drzwi lekko uchylone i stoję przed nimi, a kiedy kończy, prowadzę ją z powrotem na miejsce. Wygląda przez okno. „Czy się zastanawia, co tu robimy? Czy pamięta, dokąd jedziemy?”

Przykrywam dłonią jej dłonie. Uśmiechamy się do siebie. „Wszystko dobrze, babciu. Jestem przy tobie i nigdy cię nie opuszczę. Zawsze będę się tobą opiekować”.

Siedzimy tak długo. W pewnej chwili przez jej twarz przemyka cień. Babka znów wygląda przez okno. Ja też.

Założę się, że z każdego miasteczka, przez które przejeżdżamy, zbiegli uciekinierzy tacy jak my. Czy uciekali do czegoś, czy przed czymś, a może jedno i drugie? Co się wydarzyło po ich ucieczkach? Wyobrażam sobie, jak tata mnie szuka, jak mama stoi przy oknie w tych kapciach wyglądających jak króliki.

„Kiedy zadzwonią do nich z Greenview, rodzice zawiadomią policję. Gliniarze znajdą porzucony samochód. Czy tamta kobieta widziała kamper? Czy zapamiętała tablicę rejestracyjną?”

Wyobrażam sobie pięćdziesiąt radiowozów zajeżdżających z piskiem opon pod dom Perkinsów. „To lepsza historia niż znalezienie w toalecie sztucznej szczęki, prawda, panie Perkins? Nie ma za co, ha, ha”.

Przestań, to nie jest śmieszne. W pralni samoobsługowej pojawią się ulotki o naszym zaginięciu. Psy policyjne przeczeszą pola i tereny leśne.

„I co z tego? Wcześniej nikt się mną nie przejmował. Dlaczego teraz ja miałabym się przejmować kimkolwiek?”

Ale mama i tata...

„Znajdą mój liścik. Napisałam, że obie mamy się dobrze”.

Babka chrapie. Zamykam oczy i wyobrażam sobie stryja Teddy’ego. Zastanawiam się, czy ma siwe włosy? Brodę? Uściska babcię, oboje się popłaczą, a potem spytam: „Czy ja też mogę z wami zostać?” i babka powie: „Ależ proszę”, a on doda: „Oczywiście”. Ciekawe, czy stryj Teddy mnie adoptuje?

Pociąg zwalnia. Widzę w oddali wieżę Canada’s National. Wjeżdżamy na dworzec Union Station. Pasażerowie zdejmują bagaże z górnych półek.

Babka się budzi.

- Co się dzieje?
- Nic. Jesteśmy już w Toronto.
- W Toronto?
- Pojechałyśmy pociągiem po tym, jak wydostałam cię z Greenview.
- Skąd się wzięłam w Greenview?

– Nie martw się. Już nigdy tam nie wrócisz.
– Święte słowa! Mieszkam w Ptasiej Budce przy Maple Street 125. I tam też umrę.

– Niewątpliwie. Ale zanim to się stanie, musimy dotrzeć do stryja Teddy'ego.

Pociąg zatrzymuje się gwałtownie. Wszyscy tłoczą się na korytarzu. Wkładam resztki jedzenia do plecaka, biorę walizkę babki i prowadzę ją do wyjścia. Niełatwo wydostać się z dworca: tłumy śpieszą we wszystkich kierunkach, a uwagę babki rozprasza widok sklepów. Kiedy wreszcie jesteśmy na zewnątrz, moje serce zaczyna bić jeszcze szybciej. Wszędzie są drapacze chmur, stoiska z jedzeniem, tłumy ludzi ze wszystkich stron świata. Co za wspaniałe miejsce na kryjówkę.

Więc żegnaj, Shepton. Witaj, życie.

Przy krawężniku stoi rząd kilkunastu taksówek. Pomagam babce wsiąść do jednej z nich, wsiadam za nią i podaję szoferowi adres stryja Teddy'ego. Mknie przez światła, przejeżdża na czerwonym i skręca gwałtownie w Jarvis Street. Śmiga obok rowerzysty.

– Prawie wjechałeś mu w tyłek! – krzyczy radośnie babka.

Liczę numery budynków. Zbliżamy się do domu stryja Teddy'ego. Za przecznicą jest wielki park. To z pewnością ten, który stryj widzi z okien mieszkania. Taksówkarz podjeżdża do krawężnika.

„Chwila. Czy to na pewno ten?”. Ponownie sprawdzam adres. „Zgadza się. Dlaczego mama nazwała ten budynek wytwornym apartamentowcem?”. Z okien sterczą pordzewiałe klimatyzatory; z pojemników przed drzwiami wylewają się śmiecie.

Nieważne. Płacę kierowcy i prowadzę babkę do drzwi wejściowych. Siada na walizce pośród petów i zeschniętych gum do żucia, a ja szukam na tabliczce domofonu nazwiska stryja Teddy'ego. Barker. Bentley. Carley.

„Gdzie jest Bird? Powinien być przed Carleyem”.

Sprawdzam jeszcze raz. Bentley. Carley. „Gdzie jest stryj Teddy?”. Wcisnęłam guzik mieszkania dozorca. Odliczam do dwudziestu i naciskam ponownie.

Ze skrzynki głośnika trzeszczy głos; w tle słychać hałas.

– Tak?

– Szukam Teddy'ego Birda.

– Nie słyszę cię... Louise, ścisż ten cholerny telewizor. – Przez chwilę mężczyzna i Louise wrzeszczą na siebie, a potem: – Kogo szukasz?

– Teddy'ego Birda.

– Nie mieszka tu żaden Teddy Bird.

– Ten adres był na wszystkich listach od niego.

– To nie mój problem.

W głośniku zapada głucha cisza. Dzwonię raz za razem, ale dozorca nie odpowiada.

Żołądek podchodzi mi do gardła. „On z pewnością przeprowadził się po napisaniu tych listów. Mama powiedziała, że okna jego apartamentu wychodzą na park. Ale nigdy nie mówiła, że na *ten* park. W Toronto muszą być setki parków. Tysiące”.

Siedząca na walizce babka zerka na mnie.

– O co chodzi z Teddym?

– Nie ma go.

– Ha! Tylko *udaje*, że go nie ma. Robi to na złość. – Babka podnosi walizkę.

– Chodźmy. Przez ten hałas nie mogę zebrać myśli.

A ja po prostu nie mogę zebrać myśli, i kropka.

– Co powiesz na piknik? – mówię. – Dwie minuty drogi stąd jest park.

– Świetnie.

Babka bierze mnie pod rękę i przechodzimy przez ulicę. Mijamy Bar Rodzinny Sonny’ego – „Smaczne śniadania przez całą dobę” – i blok podupadłych budynków mieszkalnych ze sklepami na parterze. Park wygląda inaczej niż z taksówki – trawa zarośnięta zielskiem, brodzik zaśmiecony plastikowymi kubkami po kawie i pełno facetów pijących alkohol z butelek ukrytych w papierowych torbach.

„Powinniśmy wrócić do domu”. Nie możemy, więc po prostu oddychaj. Nie jestem jedynym dzieciakiem, który uciekł. „Ale z babcią?”

Prowadzę nas do wolnej ławki. Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna leży rozwalony na kartonowych arkuszach przed frontowymi drzwiami hotelu E-Zee. Ma kubek na monety i tabliczkę z napisem „Darmowe uśmiechy”. Staram się nie gapić na niego.

Babka wsadza ręce w kieszenie płaszcza, mruga zdziwiona i wyjmuje kanapkę z serem.

– Spójrz, co znalazłam. Chcesz trochę?

– Nie, dziękuję.

Żeby tylko nie zauważyła faceta sikającego pod drzewem za nami.

Babka odłamuje kawałek chleba i rzuca gołębiowi, a resztę kanapki wkłada z powrotem do kieszeni.

„Stryjku Teddy, gdzie jesteś? Jak cię znajdę?”

Zewsząd sfruwają do nas gołębie.

– Sio, to było dla niego, nie dla was – karci je babka. Rzuca na mnie szybkie spojrzenie. – Co się stało, kotku?

– Nic.

– To dobrze. – Bębni palcami w kolana. – Powinniśmy wrócić do domu.

– Nie teraz.

– Dlaczego?

Bo, bo...

– Jesteśmy na wycieczce – mówię i wskazuję na jej walizkę.

– A więc to dlatego się tutaj znalazłyśmy. – Rozgląda się wokoło. – Wiesz, mam wrażenie, że już tu kiedyś byłam. Coś mi to przypomina.

– Może odwiedziłaś stryjka Teddy’ego.

Babka kręci głową.

– Nie. Odwiedziłam Teddy’ego w Toronto.

– Teraz jesteśmy właśnie w Toronto.

– No więc to wszystko wyjaśnia.

„Babciu, proszę, bądź cicho. Muszę pomyśleć”.

Wierci się niespokojnie.

– Więc dokąd pojechali twoi rodzice?

– Są u siebie w domu.

Babka mruga zaskoczona.

– Co tam robią?

– Babciu, niełatwo mi to powiedzieć, ale mama i tata umieścili cię w ośrodku Greenview.

– Co takiego? – rzuca z oburzeniem.

– Wiem. Dlatego wyostałam cię stamtąd. I uciekłyśmy. Tylko że teraz jesteśmy w Toronto i wszystko się wali, ale nie możemy wrócić, bo znowu cię zamkną, a ja wpadnę w wielkie tarapaty, i nie wiem, co robić... ja po prostu, po prostu... chciałabym umrzeć.

– Nigdy tak nie mów. Co bym bez ciebie poczęła?

– Och, babciu, dlaczego mnie kochasz?

– Bo jesteś sobą. Nie przejmuj się. Sprawy zawsze dobrze się układają.

– Nie, wcale nie.

– No racja, nie, ale mamy siebie i od tego trzeba zacząć. Weź chusteczkę. –

Sięga do kieszeni i wyjmuje kanapkę. – O rety, spójrz, co znalazłam.

Śmieje się, wbrew sobie. Babka też.

– Myślę, że jesteś po prostu zmęczona – mówi. – Powinnyśmy się trochę przespać.

Spoglądam na hotel E-Zee po drugiej stronie ulicy. Musimy się gdzieś zatrzymać. To miejsce wygląda przynajmniej na tanie.

Mężczyzna na kartonach przed wejściem ma na sobie pomięty garnitur. Z kieszeni marynarki wystaje szczoteczka do zębów.

– Darmowe uśmiechy – mówi.

– Dziękuję. – Babka odpowiada mu uśmiechem.

Wchodzimy do środka. W holu pachnie odświeżaczem powietrza i sprejem owadobójczym. Światła są słabe; to chyba dobrze. Kobieta za kontuarem recepcji wygląda jak strażniczka więzienna.

– Mogę w czymś pomóc?

– Być może – odpowiada babka i odwraca się do mnie. – Czy przyszłyśmy tu wynająć pokój? – pyta, a gdy przytakuję, mówi: – Przyszłyśmy tu wynająć pokój.

– Jak długo się zatrzymacie?

– Parę nocy. – Babka sięga do torebki i wyjmuje rajstopy. – Ile?

– Dwie noce? Dwieście czterdzieści plus podatek – mówi recepcjonistka niewzruszenie, jakby widywała to codziennie. – Macie jakąś kartę kredytową?

– Niestety nie – odpowiadam.

Recepcjonistka mierzy nas wzrokiem.

- Przypuszczam, że chyba nie zdemolujecie pokoju.
Bierze od babki pieniądze i podaje jej formularz zameldowania.
Babcia mruży oczy.
- Moje okulary nie są zbyt dobre. Może ty się tym zajmij, kotku.
Piszę: „Madi i Emily Oiseau, 123 Rue de la Maison, Montreal”.
- Recepcjonistka wręcza mi kartę do zamka drzwi.
- Pokój 304. Życzę miłego pobytu.

Pokój 304 wygląda tak jak hol, tylko mniejszy – tak mały, że ledwie można się w nim obrócić. Dywan jest z brudnego brązowego materiału w kratę, między kafelkami w łazience rośnie coś czarnego, a okno wychodzi na szemraną alejkę. Przynajmniej nie na ulicę.

„No tak, wkrótce trafimy na ulicę, jeżeli nie odnajdę stryja Teddy’ego. Po zapłaceniu za pociąg, taksówkę i hotel zostało nam tylko sto dolarów”.

– Chcesz pooglądać telewizję? – pytam babkę.

– To zależy od ciebie – odpowiada.

Przysuwam dwa fotele ciasno przed telewizor i włączam kanał z teledyskami. Ekran jest tak zakurzony, że mogłabym napisać na nim palcem swoje imię.

„Do tej pory mama i tata zorientowali się już, że samochód babki zniknął. Mama zadzwoniła do ciotki Jess. Lizuska zadzwoniła do swoich fagasek. Co ja mam zrobić?”.

Babka patrzy na ekran, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem tego.

– Tu nie ma nic do rozumienia. To teledyski.

Kręci głową.

– Nie rozumiem tego.

– Dobrze, więc wybierz coś innego – mówię i podaję jej pilota.

Babka gapi się na niego, jakby był kostką Rubika.

– Jesteś zdenerwowana, kotku?

– Nie. Próbuję to wszystko przemyśleć.

– Dobrze, no więc myśl.

Usiłuję się skupić, ale babka wciąż się do mnie uśmiecha. Zaciskam powieki, by odseparować się od niej. Gdybym naprawdę była detektywem, jak odnalazłabym adres stryja Teddy’ego?

Otwieram oczy. Babka nadal się uśmiecha.

– Jak ci idzie myślenie?

– Po prostu świetnie.

Znów zamykam oczy. Ale co mogę wymyślić? Jak mogę myśleć?

Babka zjada na kolację resztę swojej kanapki. Chodzę tam i z powrotem wzdłuż łóżka, pogryzając wafel.

– Co robisz? – pyta.

– Ćwiczę.

– Powinnaś spróbować pompek – radzi; za każdym razem liczy moje kroki.

Niepostrzeżenie zapada noc. Wyjmuję swoją szczoteczkę do zębów i zapasową, którą wzięłam dla babki.

– Babciu, pora, żebyśmy umyły zęby i poszły spać.

– Ja już umyłam.

– Nie, wcale nie.

Odsłania zęby.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo mam tu twoją szczoteczkę.

– I co z tego? Umyłam palcem.

– Świetnie – mówię z uśmiechem. – Więc teraz możesz użyć szczoteczki.

Chcę, żebyś mi pokazała, jak należy myć zęby, tak abym mogła wziąć z ciebie przykład.

– Rodzice cię nie nauczyli?

– Nie w taki sposób, jak ty to robisz.

Babka wzdycha i idzie za mną do łazienki. Daję jej szczoteczkę i babka zaczyna czyścić zęby.

Stukam w swoje, pokazując miejsca, które ona u siebie ominęła.

– Jak mam umyć tutaj? – pytam.

Demonstruje mi, czyszcząc zęby z takim zapalem, jakby szorowała podłogę. Używam tego samego podstępu, by nakłonić ją do umycia miejsc poza zębami trzonowymi. Później wracamy do sypialni. Odsuwam kołdry. Na prześcieradłach są włosy. Ale kto by się teraz tym przejmował?

Babka wchodzi do łóżka w butach.

– Może pomogę ci je zdjąć? – proponuję.

Przecząco kręci głową.

– Ktoś mógłby mi je ukraść.

– Kto?

– Zdziwiłabyś się.

Niech będzie. Okrywam ją kołdrą, gaszę światła, siadam przy oknie i wyglądam na alejkę. W dole jakiś facet ryje w kontenerach na śmieci. „Czy taki los czeka babcię i mnie?”. Fala mdłości podchodzi mi do gardła. Mężczyzna spogląda w górę. Cofam się w mrok sypialni. „Kto się o mnie zatroszczy?”.

Wpełzam do łóżka. Zamykam oczy. Pod powiekami widzę Lizuskę, mamę i tatę, wydarzenia ostatnich kilku dni. „Myślicie, że gówniana Bird potrafi latać?”.

Babka rzuca się i wierci na łóżku. W środku nocy kopie mnie.

– Auć!

Budzi się zaskoczona.

– Kto tu jest?

– To ja, Zoe.

– Powinnaś wrócić do domu – mówi. – Twoi rodzice będą na mnie źli, że zatrzymałam cię u siebie do tak późna.

– Oni wyjechali na weekend.

- Zostawili cię samą?
- Nie jestem sama. Jestem z *tobą*. Zostałam u ciebie na noc.
- Och, to dobrze – mówi babka. – Lubię, kiedy u mnie nocujesz.
- Ja też. No, więc *śpijmy*.
- Dobrze. – Chwilę później zagaduje z lekkim niepokojem w głosie: – Zoe?
- Co?
- Wydaje mi się, że to nie jest moje łóżko.
- Rzeczywiście, nie jest.
- Och. Więc czyje?

Milczę przez moment.

- Babciu, zapalę światło. Przrzeknij, że się nie zdenerwujesz.
- Dlaczego miałabym się zdenerwować?
- Po prostu przrzeknij, dobrze?
- No dobrze, przrzekam.

Zapalam lampę. Babka siada sztywno wyprostowana.

- Gdzie my jesteśmy?
- W pokoju hotelowym w Toronto.
- W Toronto? – Przyciąga kołdrę do piersi. – Jak się tu dostałyśmy?
- Obiecałaś, że się nie zdenerwujesz.
- Nie denerwuję się. Ja... sama nie wiem.
- Moi rodzice umieścili cię w ośrodku Greenview – mówię spokojnie. –

Powiedziałaś, że stryj Teddy cię uratuje, więc uciekłyśmy, żeby go odszukać.

Babka patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Teddy zerwał ze mną kontakty. Dobry Boże, dlaczego pamiętam właśnie wszystko to, co chcę zapomnieć?

Obejmuję ją mocno.

- Cokolwiek się wtedy wydarzyło, on cię kocha.
- Naprawdę?
- Naprawdę.

Gładzę ją po włosach, szepczę kołysanki, które dawniej mi śpiewała, a potem układam ją na poduszki i też się kładę. Świat znika.

Spadam. Ku mojej głowie mkną głązy, drut kolczasty...

Otwieram oczy. Jest poranek. W odległości pięciu centymetrów widzę promiennie uśmiechniętą twarz babki.

– Pobudka! Wstawaj, leniuchu – mówi babka. – Myślałam, że umarłaś.

To żart. Chyba.

– Jestem już ubrana – ciągnie. – Zabierz mnie tam, dokąd jedziemy, gdziekolwiek to jest.

Najpierw śniadanie. Prowadzę nas do Baru Rodzinnego Sonny’ego, naprzeciwko dawnego mieszkania stryja Teddy’ego. Obok kasy są fotele z popękanej sztucznej skóry i miseczka z żelkami w kształcie fasolek. Wślizgujemy się do boksu na przedzie sali. Babka naśladuje wszystko, co robię z serwetką i kartą dań.

– Babciu, co chciałabyś zjeść?

– To samo co ty.

Zamawiam dla nas śniadanie i wpatruję się w dawne mieszkanie stryja Teddy’ego. „Gdzie mieszkasz? Jak cię znajdę?”

Talerze stawia przed nami kelner z plakietką z napisem „Cześć, mam na imię Trevor”. Czy nie mógłby wyczyścić sobie paznokci? Wyobrażam sobie, jak wygląda kuchnia, i natychmiast tego żałuję.

Babka grzebie widelcem w swojej jajecznicy, a ja znów spoglądam na drugą stronę ulicy. Z tamtego budynku wychodzi jakaś para. „Zaraz, a jeśli oni mieszkali tam, jeszcze zanim się wyprowadził? Jeśli go znali?”

– Nie ruszaj się stąd, babciu – mówię i wybiegam na ulicę, ale tamci już zniknęli.

„Nie szkodzi. Można spróbować wypytać innych mieszkańców domu. Nie wszyscy się wyprowadzają. Może ktoś wie, dokąd on się przeniósł!”

Wracam biegiem do naszego stolika.

– Babciu, musimy już iść. Mam coś do zrobienia.

Gdy znów jesteśmy w pokoju hotelowym, sadzam babkę przed telewizorem i nastawiam kanał prezentujący podmorskie życie. Wkładam do plecaka zdjęcia stryja Teddy’ego i wieszam na klamce drzwi notkę:

Babciu, zostań tutaj! Niedługo wrócę! Calusy i uściski, Zoe!

– Wyjdę na chwilkę, dobrze?

– Nie śpiesz się – odpowiada babka.

Przez ekran przepływa skalar.

Pędzę do dawnego domu stryja Teddy’ego. Na adresie zwrotnym na kopercie

jego listu jest numer mieszkania 1206, ale na domofonie nie ma numerów. Za mną pojawia się jakiś facet cuchnący papierosami i gumą do żucia. Cofam się od drzwi. Ktoś brzęczykiem wpuszcza go do środka. Przytrzymuję drzwi stopą i czekam, aż mężczyzna wsiądzie do windy, a wtedy wkradam się na klatkę schodową.

Przeglądam się w ścianie z przydymionego szkła. Przyglądam włosy i ścieram z podbródka tłuszcz po boczkach. Gdy zjeżdża winda, wyglądam już „przyzwoicie”, jak powiedziała by mama. Wsiadam z windy na jedenastym piętrze. Drzwi 1206 są tuż po prawej. Przez moment mam dziwaczne wrażenie, że jestem podróżniczką w czasie i cofnęłam się w przeszłość, a stryj jest w tym mieszkaniu i zmywa naczynia.

Niestety, nie; zza drzwi dobiega wrzask niemowlęcia. Pukam do sąsiednich drzwi.

– Chwileczkę – słyszę. Po chwili w drzwiach staje facet uczesany w koński ogon. – Kim jesteś?

– Bratanicą Teddy’ego Birda. Mieszkał kiedyś pod 1206. – Pokazuję mu zdjęcie. – Znał go pan?

– Co? Nie. Jak tu weszłaś?

– Ktoś przytrzymał dla mnie drzwi.

– Jesteś złodziejką?

– Co takiego? Nie. Ja tylko usiłuję odszukać stryja.

– Albo próbujesz wyniuchać puste mieszkanie, żeby się tam włamać.

– Nie. Proszę posłuchać, koniecznie muszę go odnaleźć.

– Koniecznie to musisz zabierać stąd swój tyłek. Jeżeli chcesz kogoś znaleźć, użyj domofonu.

Zatrząskuje drzwi.

„Pocałuj mnie gdzieś! Kto dał ci prawo zachowywać się tak arogancko?”

Stukam kolejno do dwóch następnych mieszkań, ale odpowiada mi tylko wrzaskliwe ujadanie psów. Za trzecimi drzwiami słyszę głosy rozmawiające w obcym języku. Pukam. Wszystko cichnie. Jakaś kobieta zerka przez szczelinę drzwi uchylonych na łańcuch.

– Mąż nie w domu.

– Nic nie szkodzi. – Pokazuję jej zdjęcie stryja. – Czy znała pani Teddy’ego Birda?

– Mąż nie w domu. Nie w domu.

Kiwam głową i mówię powoli:

– Wiem. Szukam. Teddy’ego. Birda.

– Ty iść już. Sio!

Zamyka mi drzwi przed nosem i znowu jestem sama na korytarzu.

Ślady po kapiącej wodzie znaczą trop od drzwi następnego mieszkania do zsypu na śmiecie w głębi korytarza. Pukam. Słysząc szuranie stóp. Drzwi się

otwierają. W środku widzę okna zasłonięte grubymi roletami. Powietrze, gęste jak galaretka śliwkowa, czuć kocią kuwetą.

Stojący w półmroku mężczyzna wspiera się na lasce. Ma na sobie spłowiełą koszulę nocną, rozpiętą, odsłaniającą bieliznę i blade, bezwłose nogi w puszystych kapciach. Wokół jego łydek krążą koty.

– Czekałem na ciebie – mówi.

– Eee... chyba nie. Szukam mojego stryja. Mieszkał kiedyś na tym piętrze.

– Ja mieszkam tu od trzydziestu sześciu lat.

– On się nazywa Teddy Bird. – Podsuwam mu pod oczy zdjęcie. – Czy pan go znał?

– Być może. – Tylko przelotnie patrzy na zdjęcie. – Wejź – zaprasza; ma szeroko otwarte oczy.

– Poczekam tutaj. – Przeszczepuję z nogi na nogę. – Proszę, czy mógłby pan poszukać jego nazwiska w notesie z adresami?

– Oczywiście. Wejź, a ja znajdę notes.

– Nie chcę sprawiać panu kłopotu.

– To żaden kłopot. Mam koty. Chcesz je pogłaskać?

Za moimi plecami otwierają się drzwi windy. Wychodzi z niej łysy facet zbudowany jak traktor. Ręce ma porośnięte włosami gęstszymi niż peruka mojej mamy.

– Jesteś złodziejką? – Robi mi zdjęcie komórką. – To ty włamałaś się do 504 i 912?

– Nie, ja... A w ogóle, kim pan jest?

– Dozorcą. A ty coś za jedna?

– To moja wnuczka – mówi mężczyzna w zacienionym mieszkaniu.

Dozorca rzuca mu ostre spojrzenie.

– Ma pan wiele wnuczek, panie McCutcheon.

– Nie przejmuj się nim – mruczy mężczyzna w mieszkaniu. – Wejź.

– Z chęcią bym weszła, dziadku, ale spóźnię się do szkoły.

– Wobec tego zajrzyj później. Dziadek ma dla ciebie prezent.

Mruga do mnie. Serce staje mi w gardle.

Dozorca wciska guzik windy. Zjeżdżam razem z nim.

– To nie jest tak, jak pan myśli – mówię. – To ja dzwoniłam wczoraj domofonem i pytałam o mojego stryja Teddy'ego Birda. Mieszkał tutaj. Muszę go odszukać.

– To nie mój problem. Ty nim jesteś. – Drzwi windy się otwierają. Odprowadza mnie do wyjścia. – Jeżeli znów zobaczę cię w tym domu, wezwę gliny.

Chodzę tam i z powrotem przed frontowymi drzwiami budynku. Dozorca nie może mi zabronić rozmawiania z ludźmi, prawda? Biegnę za kobietą

wyprowadzając psa. Podchodzę do mężczyzny wracającego do domu ze sportową torbą. Nigdy nie słyszeli o Teddym Birdzie.

„W co ja się wpakowałam?”

Zastanawiam się, co myślą mama i tata. Zastanawiam się, zastanawiam się, zastanawiam...

„W co ja się wpakowałam?”

Zagaduję listonosza. Nie rozpoznaje nazwiska. A nawet gdyby je znał, nie wolno mu nic powiedzieć.

„W co ja się wpakowałam?”

Zatrzymuję mężczyznę wracającego ze skrzynką piwa i kobietę ciągnącą wózek z praniem. Oni również nigdy nie znali stryja Teddy’ego. Nikt inny też go nie zna.

Osuwam się bezsilnie na schodki. „Stryjku Teddy, co będzie, jeśli cię nie odnajdę?”. Ogarnia mnie czarna rozpacz.

W CO JA SIĘ WPAKOWAŁAM!

Jeszcze przez godzinę zagaduję ludzi. W naszym domu tata z nerwów pewnie rozdrapuje sobie podeszwy stóp, mama nerwowo poprawia perukę. Dawniej się z tego śmiałam. Ale nie teraz.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymuje się samochód policyjny. „Czy ktoś na mnie doniósł?”. Z wozu wysiada gliniarz. Odwracam głowę i ruszam przed siebie. „Czy on przechodzi przez jezdnię?”. Boję się obejrzeć. Puszczam się biegiem. Wyobrażam sobie, że mnie ściga – jest coraz bliżej.

Płuca mnie palą. Okrężną drogą wracam do hotelu E-Zee. Spoglądam za siebie, wypatrując tego gliniarza. Nie ma go. „Czy w ogóle mnie gonił?”. Pochyliam się, opierając dłonie o kolana, i łapię oddech. Nawet tata się tak nie poci jak ja teraz.

– Darmowe uśmiechy – mówi ten mężczyzna na chodniku. Ma mętne oczy, nalaną twarz. – Przypominasz mi Kimberley. Moją córkę. – Sięga do kieszeni i wyjmuje fotkę, jaką ludzie noszą w portfelach. – Ona chce zostać baletnicą.

Kimberley na zdjęciu ma jakieś pięć lat, jest ubrana w spódniczkę baletnicy i macha różdżką.

– Naprawdę urocza – mówię mimo woli, zaskoczonym tonem.

– Dziękuję – odpowiada mężczyzna, wpatrując się w zdjęcie.

Waham się przez chwilę.

– Widuje ją pan?

– Nie – odpowiada – ale będę widywał.

„Od jak dawna żebrzesz tu na ulicy? I dlaczego?” – zastanawiam się. Ale nie pytam go o to, tylko mówię:

– Muszę iść do mojej babci.

– Przekaż jej ode mnie uśmiech.

– Przekażę... a ten jest dla pana.

Wchodzę do hotelu. W recepcji nikogo nie ma. W holu na jednej z sof ze sztucznej skóry siedzi babcia. Chrapie z otwartymi ustami, z głową odchyłoną do tyłu. Ma przewieszoną przez ramię torebkę, a obok stoi jej walizka. Moja notka leży pod jej dłonią.

– Babciu, zbudź się.

Podrywa głowę.

– Hę?

– Dlaczego jesteś w holu? Nie możesz tak wędrować.

– Nie wędrowałam. To ty wędrowałaś. Ja spałam.

– Miałaś czekać w pokoju. Widzisz ten liścik w twoim ręku?

Babka spogląda w dół.

– Tu jest napisane: „Zostań tutaj”. I właśnie jestem tutaj.

– Nieważne.

Niosę jej walizkę do windy. Babka podąża za mną. Wjeżdżamy na piętro i idziemy do naszego pokoju. Jestem potwornie zdenerwowana. „A gdyby babcia gdzieś zginęła?”

Wsuwam kartę w zamek naszych drzwi. Zapala się czerwona lampka. Próbuję jeszcze raz. To samo. No, wspaniale.

– Potrzebujemy nowego klucza.

Zjeżdżamy na dół i podchodzimy do recepcji. Recepcjonistka wciąż jeszcze ma przerwę. Dzwonię dzwonkiem do wzywania obsługi.

– Mój pradziadek miał drewniane zęby – oznajmia babka ni stąd, ni zowąd.

Już mam zadzwonić ponownie, gdy z drzwi za kontuarem wychodzi recepcjonistka.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak, poproszę. Nasz klucz nie działa.

– Twoja babka przed godziną was wypisała – informuje mnie recepcjonistka.

– Babciu?

– Nie patrz tak na mnie – mówi babka.

– Babcia się pomyliła – zwracam się do recepcjonistki.

– Czyżby? – rzuca babka, jakbym nie miała na to dowodu.

– Tak, babciu, zostaniemy tu jeszcze przez co najmniej jedną noc.

Recepcjonistka wręcza mi nowy formularz zameldowania.

– To będzie sto dwadzieścia dolarów plus podatek.

Babka otwiera torebkę. Dostrzegam wewnątrz kwit kasowy. Przeliczam banknoty pozostałe w rajstopach.

– Gdzie są pieniądze, które pani jej zwróciła? – pytam recepcjonistkę.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiada z gniewną miną.

– Jak to skąd? Zabrała je pani!

– Nie podnoś głosu. Twoja babka parafowała ten kwit.

– Nie obchodzi mnie, co parafowała. Nie przeczytała go.

– Skąd wiesz? – warczy babka.

– Tak czy owak, to bez znaczenia – mówi recepcjonistka. – Jeżeli chcecie pokój, kosztuje sto dwadzieścia dolarów plus podatek, płatne gotówką albo kartą kredytową.

– Nie może pani tak po prostu zabrać naszych pieniędzy. Proszę dać nam klucz albo wezwę gliny.

– Proszę bardzo, wzywaj. Oskarżę cię o zakłócanie spokoju. O wtargnięcie.

– Nie zrobiłaby pani tego.

Recepcjonistka odwraca się do babki.

– Pani Bird, od jak dawna mieszka pani w Montrealu?

Babka marszczy nos.

– Nie mieszkam w Montrealu. Mieszkam przy Maple Street 125 w Shepton, w stanie Ontario.

Kobieta wskazuje głową telefon dla gości.

– No, śmiało, *panno Oiseau*. Zadzwoń na policję. Jestem pewna, że nie masz nic do ukrycia.

Pośpiesznie opuszczamy hotel. Przydałby mi się uśmiech, ale mężczyzna na kartonowych arkuszach śpi. Babka ściska kolana.

- Co się stało?
- Muszę siusiu.
- Dlaczego nie poszłaś w hotelu?
- Wtedy nie musiałam. Teraz bardzo.

Prowadzę ją szybko do baru Sonny’ego. Toaleta dla kobiet jest zamknięta na klucz. Męska też. Babka przestępuje z nogi na nogę. Kelner z plakietką „Cześć, mam na imię Trevor” siedzi za kasą i pisze SMS.

- Potrzebuję klucz do toalety – mówię.
- Toalety są tylko dla klientów.
- Dziś rano byliśmy tu klientkami.
- To było dziś rano.
- Doskonale. Niech nam pan poda frytki do boksu pod oknem i da mi klucz.

„A poza tym powąchaj się pod pachami. Jest taki nowy wynalazek zwany mydłem. Powinieneś go kiedyś wypróbować”.

Wręcza mi klucz przymocowany do rakiетки pingpongowej. Prowadzę babkę do toalety. Ona już moczy sobie spodnie. Odwracam się, żeby wyjść.

- Zostań! – mówi. – Nie będę wiedziała, gdzie jestem.
- Dobrze.

Opieram się o umywalkę i przyglądam się graffiti przy dozowniku papierowych ręczników.

Dochodzi mnie okropny zapach.

- Zoe, potrzebuję twojej pomocy.

Odwracam się. Babka spogląda to na mnie, to na pieluchomajtki wokół jej kostek. Nie zdążyła w porę. Zdecydowanie nie.

- Co ja zrobię? – szepcze. – Matka będzie na mnie taka zła.

Klękam przy niej ogłupiała.

- Nie przejmie się tym.

- Ale co ja jej powiem?

– Każdemu z nas może się to zdarzyć. Pamiętasz, jak dawniej mnie przewijałaś?

– Ale co ja mam teraz zrobić? – pyta babka błagalnym tonem. – Powinnam to wiedzieć. I naprawdę wiem. Ale w jakiej kolejności?

Gładzę ją po kolanie.

- Wszystko będzie dobrze. Nikt się nie dowie.

„Musisz zachować spokój. Nie możesz pozwolić, aby babka zobaczyła, że jesteś przerażona”.

– Najpierw zdejmę ci buty. Potem ściągnę ci spodnie i postawię twoje stopy na butach, żeby się nie pobrudziły. Dobrze?

– Dobrze.

I tak właśnie robię. Najpierw jedna noga, potem druga. Posługując się papierowymi ręcznikami, oddzielam pieluchomajtki od jej spodni dresowych i wkładam je do pojemnika na odpadki. Spodnie są poplamione moczem. Kładę je na umywalce; zajmę się nimi później.

– W porządku, babciu, a teraz dam ci papierowe ręczniki, żebyś się z grubsza wytarła. Potem dam ci ręczniki z mydłem, żebyś dokładnie się wyszorowała. Dobrze?

Patrzy na mnie tak ufnie.

– Dobrze.

Później tłumaczę jej tak samo obmycie się i wytarcie. Co jakiś czas podnosi na mnie wzrok, by się upewnić, że robi wszystko właściwie.

– Wspaniale – chwale ją, jak mawiała do mnie, kiedy byłam mała.

Rozlega się stukanie do drzwi.

– Długo jeszcze? – pyta niecierpliwie jakaś kobieta na zewnątrz.

– Nie wiem. Rok?

Wyjmuję z walizki nowe pieluchomajtki i spódnice. Babka marszczy nos, gdy wkładam jej nogi w nogawki pieluchomajtek.

– Co to jest?

– Twoja nowa bielizna.

– Wygląda jak pielucha. Chcę moje stare majtki.

– Zdobyłam ją specjalnie dla ciebie. Widzisz to wyściełane siedzenie? Ma chronić ci pupę przed urazem, kiedy siadasz.

– No, skoro zdobyłaś specjalnie – mówi babka.

Pozwala, żebym ją ubrała, a potem przygląda się, jak piorę w umywalce siedzenie jej spodni od dresu. Roluję je tak, aby sucha część dolna znalazła się na wierzchu, i wkładam do walizki.

Znowu pukanie.

– Wciąż czekam – mówi ta kobieta.

– Więc niech pani skorzysta z męskiej – radzę. No, doprawdy, co za nachalność! – Babciu, pora, żebyś umyła ręce.

Myje.

– Twój dziadek mył ręce tylko rano i przed czytaniem Biblii. „Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie”, zwykł mawiać, nawet o spuszczeniu wody w sedesie. Gdyby to zależało od niego, spłukiwalibyśmy sedes tylko raz na tydzień.

Spłukiwanie! Niemal zapomniałam. Naciskam dźwigenkę spłuczki, ale ojej! Babka wrzuciła do sedesu zużyte papierowe ręczniki. „No, przecież ich stamtąd nie wyjmę, prawda?”. Spuszczam wodę. Ręczniki znikają. Woda w misce klozetowej

się podnosi. Zatrzymuje się przy krawędzi i powoli opada. Uff!

Wychodzimy z toalety. Czeka ją kobieta z odrazą marszczy nos.

– Pani sra różami? – rzucam.

Oddaję klucz kelnerowi „Cześć, mam na imię Trevor” i prowadzę babkę do naszego boksu. Frytki są już zimne. Wylewam na nie pół butelki zaschniętego keczupu.

Z toalety dobiega krzyk. Kobieta wybiega z niej z wrzaskiem. Widocznie babka i ja zapchałyśmy sedes, a gdy ona uruchomiła spłuczkę, zawartość się wylała. Wielka mi rzecz. Myślałby kto, że musiała przepłynąć przez kanał ściekowy.

– Kiedy wychodziłyśmy, wszystko było w porządku! – wołam.

Jednak Trevor piorunuje nas wzrokiem, bierze mopa i wiesza na drzwiach tabliczkę „Toaleta nieczynna”.

Przez resztę popołudnia babka i ja korzystamy z męskiej toalety. Wchodzimy do niej co kilka godzin; nigdy dość ostrożności. Za każdym razem zabieram ze sobą walizkę babki, żeby jej nie ukradziono, ale zostawiam moją bluzę z kapturem, żeby zatrzymać stolik.

Trevor wciąż pyta, czy skończyłyśmy jeść nasze frytki.

– Jeszcze nie – odpowiadam. „Ani nigdy. Wprowadzamy się tutaj, Trev”.

Chciałabym, żeby to było śmieszne. „No cóż, nie jest. Ale gdzie się zatrzymamy po dzisiejszej nocy?”. Nie wiem. „To nie jest odpowiedź”. „Zamknij się, zamknij się, zamknij się”.

Zapada zmrok. Kelnera „Cześć, mam na imię Trevor” zastępuje „Cześć, mam na imię Harold”. Jest w wieku mojego taty. Ręce ma tak gęsto porośnięte włosami, że można by nimi wypychać kanapy. Tłum klientów też się zmienia. Pojawiają się chude dziewczyny o ziemistej cerze i faceci z bliznami.

– Nudzę się – oznajmia nagle babka.

– Ja też. Chcesz obejrzeć zdjęcia? – pytam i wyjmuję z plecaka fotografie stryja Teddy’ego i jego przyjaciół.

Babka wzdycha zaskoczona.

– Skąd one się wzięły?

– Były pod twoim łóżkiem.

Dotyka twarzy syna, wpatruje się w zdjęcie, zapominając o całym świecie.

– Teddy miał takich miłych przyjaciół. Spójrz na nich, wszyscy tulą się do siebie jak kocięta.

– Dziadkowi by się to nie spodobało.

– Jemu mało co się podobało. Był twardy jak muł i dwakroć od niego głupszy. – Puka w zdjęcie. – Ten był najlepszym przyjacielem Teddy’ego. Robił sztuczki z kartami.

– Babciu... czy stryjek Teddy był gejem?

Przecząco kręci głową.

– No, bo mnie by to nie przeszkadzało – dodaję.

– Mnie też by nie przeszkadzało – mówi babka.

– To dobrze. Ale skoro nie chodziło o to, dlaczego wy dwoje przestaliście się do siebie odzywać?

– Czemu pytasz mnie? To nie ja przestałam. – Wzrok ma rozbiegany jak wiewiórka. – Wynoszę się stąd, panno Wścibska. Wracam do domu.

Wymyka się z boksu.

– Babciu, zaczekaj. Zapraszam cię na kolację.

– Nie. Doprowadzasz mnie do szału – mówi i rusza do drzwi.

Chwytam ją za ramię.

– Babciu, stryj Teddy. Na stoliku są jego zdjęcia.

– O mój Boże! – Wbiega z powrotem do boksu, wślizguje się na swoje miejsce i przygarnia do piersi fotografie, jakby ratowała niemowlęta. Wbija spojrzenie w tę leżącą na wierzchu. – Spójrz na te loki. Jakie urocze. Twój dziadek je obciął.

– Co takiego? Gdy stryj był dorosły?

– Oczywiście, że nie. Kiedy był mały.

Podaje mi zdjęcie. Przedstawia stryja Teddy'ego z przyjaciółmi ubierających świąteczną choinkę.

– To byli jego współlokatorzy – mówi. – Lincoln „Linc” Edwards. Bruce Izumi. Susan Munroe.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Skąd pamiętasz ich nazwiska?

– Są wypisane z tyłu.

No jasne, wiedziałam. Na odwrocie każdego zdjęcia widnieją nazwiska.

– Ciekawe, co się z nimi stało?

Babka wzrusza ramionami.

– Pewnie niektórzy się wyprowadzili, a niektórzy zostali.

– O rany, tak! Niektórzy zostali. Tak! – Mój umysł rusza na pełnych obrotach. – Dlaczego nie widzimy tego, co mamy tuż pod nosem?

Babka zastanawia się przez chwilę.

– Poddaję się. No więc dlaczego nie widzimy tego, co mamy tuż pod nosem?

– Jutro pójdziemy do biblioteki.

– Hę? – Babka się krzywi. – Co to za zagadka?

– To nie zagadka. Wygoogluję te nazwiska, namierzę tych z nich, którzy nadal mieszkają w Toronto.

– Skoro tak mówisz. – Mruga powiekami. – Jestem zmęczona.

Zwijam swoją bluzę w kłęb.

– Oprzyj na tym głowę.

Babka opiera się o ściankę boksu, z bluzą pod ramieniem.

– Miłych snów, kotku.

Jej powieki opadają.

Co do mnie, to nie usnę. Jestem zanadto podekscytowana. Jutro wytropię stryja Teddy'ego. Muszę się tylko postarać, żebyśmy jakoś przetrwały tę noc.

Jest po północy. Lokal niemal opustoszał. Pozostali tylko dwaj faceci podający sobie pod stolikiem papierowe torebki oraz kościista stara kobieta w kilku swetrach. Na zewnątrz jakiś mężczyzna bez ucha przyciska twarz do okna i stuka w szybę. Udaję, że jestem niewidzialna. Babka budzi się i macha do niego. Mężczyzna wrzeszczy na nią i zataczając się, rusza w głąb ulicy.

– O co mu chodzi? – pyta babka.

Ćpuny wychodzą. Stara kobieta napycha sobie kieszenie opakowaniami keczupu i powłócząc nogami, opuszcza bar, ciągnąc wózek.

– Wygląda na to, że wszyscy wychodzą – mówi babka. – My też powinniśmy już iść.

– Ale zapraszam cię na kolację.

– Ojej, jak miło.

Z samochodu na ulicy wyskakuje gostek w wieku siedemnastu, może osiemnastu lat. Auto odjeżdża. Gostek wolnym krokiem wchodzi do środka i zbliża się do kontuaru. Dżinsy ma tak obcisłe, że w gruncie rzeczy wszystko się odznacza.

– Tost z cebulą, zielonym pieprzem i szynką – zamawia głosem gładkim jak masło.

Siada przy sąsiednim stoliku twarzą do nas.

Rzucam na niego ukradkowe spojrzenia, bawiąc się widelcem. Gostek to dostrzega. Mam ochotę wpełznąć pod stół. Tamten się uśmiecha.

„Odwróć wzrok!”, mówię sobie. Ale nie potrafię. „Więc ukryj się w toalecie”.

– Babciu, czy chcesz iść do łazienki?

– Właściwie tak.

Niosąc walizkę babki, prowadzę ją obok stolika Gostka. On ma zielone oczy i brudne jasne włosy, których kosmyk przeuroczo spada na czoło. Na szyi ma wytatuowane pióra. Zmuszam się do spojrzenia na kelnera „Cześć, mam na imię Harold” alias Pan Skwaszony.

– Potrzebujemy znowu klucza.

Podaje mi go niczym władca lochu.

Odczekuję, aż uznaję, że Gostek już opuścił bar, ale gdy wychodzimy z toalety, wciąż je swój tost. Tymczasem Pan Skwaszony sprzątnął resztę naszego jedzenia i wyciera stół.

– Co pan wyprawia?

– To nie przytułek – oświadcza Pan Skwaszony.

– Wyrzucił pan nasze frytki.

– Daj mi spokój.

– Nie, to ty daj j e j spokój.

To mówi on. Gostek.

– Pilnuj swojego nosa – ripostuje błyskawicznie Pan Skwaszony

– No, Harold. – Gostek wyjmując z kieszeni kilka dolarów. – Przynies im dwa mleczne koktajle czekoladowe i hamburgera. Zatrzymaj resztę.

Pan Skwaszony burczy coś i odchodzi, żeby przekazać zamówienie do kuchni. Gostek mruga do mnie, gdy prowadzę babkę z powrotem do naszego stolika.

– Nie powiesz mu „dziękuję”? – szepcze do mnie babka.

– Nie znam go.

– Na litość boską, możesz zachować się uprzejmie i nie musisz od razu rozkładać nóg. – Babka odwraca się do Gostka i wrzeszczy: – Moja wnuczka Zoe chciałyby ci podziękować!

– Babciu!

– Nie ma za co, Zoe – odpowiada Gostek i rozpięra się wygodnie na krześle.

– Zechciałybyś usiąść przy mnie?

– Byłaby zachwycona – mówi babka – ale niczego z nią nie próbuj. Będę pilnować – ostrzega, wskazując palcami na swoje oczy.

Czerwienię się jak pomidor. Gostek ustępuje mi miejsca i siada twarzą do babki. Do baru wchodzi dwóch skinów. Pakują się do boksu naprzeciwko naszego.

– Przyjechałaś do miasta niedawno? – pyta cicho Gostek.

– Nie. Czekamy na pociąg, żeby stąd wyjechać.

– Większość ludzi czekałaby na dworcu.

– Nie jesteśmy większością ludzi. Przywiózł nas samochodem mój ojciec.

– Dlaczego nie ma go tutaj?

– Wróciliśmy z zakupów.

– Sklepy zamknięto przed kilkoma godzinami. Poza tym, kto robi zakupy z walizką?

– Ludzie, którzy nie lubią być nagabywani przez nieznajomych.

Pochyla się ku mnie.

– Myślisz, że jesteś twardzielką? Nie jesteś. Powinnaś pozbyć się swojej babki. Zostawić ją w szpitalu albo schronisku.

– Co takiego?

– Ona w żadnym razie nie poradzi sobie na ulicy i pociągnie cię za sobą w dół.

Do baru wchodzi chwiejnie kobieta w podartych rajstopach i spódniczce ledwie zasłaniającej jej tyłek.

– K-kawy... Taa, kawy.

Siada gdzieś za nami.

– Nie mieszkamy na ulicy – mówię. – Mam tu stryja.

– Jasne. Takiego samego jak twój „ojciec”.

– Nie. Mam też nazwiska jego przyjaciół. Muszę ich tylko odszukać.

Gostek przeczesuje dłonią włosy.

– Posłuchaj, jeśli chcesz, możesz zostać u mnie na noc. To nora, ale będziesz bezpieczna.

– Chcesz, żebyśmy ja i babcia poszły z tobą?

– Właśnie. Na jedną noc. Nie jestem niańką.

– Akurat. Myślisz, że pójdę do domu kogoś obcego? Dobrze wiem, o co chodzi facetom takim jak ty.

– Och, tak? – rzuca. – Nie interesują mnie dziewczyny.

Chyba jeszcze nigdy nie czułam się tak głupio.

Gostek nachyla się jeszcze bliżej.

– Oto jak wygląda sytuacja. Ta ćpunka ma chętkę na walizkę twojej babki. Tamci skini mają chętkę na ciebie. Kiedy wyjdę, Harold wykopie was z baru. Chcesz tego, co się potem stanie?

Nerwowo przetykam ślinę.

– Ty mnie tylko tak straszysz, prawda?

Dzwoni jego komórka.

– Praca mnie wzywa – mówi do mnie. – Moja meta jest po drodze. Idziecie czy nie?

– Sama nie wiem. Ja... Jak się nazywasz?

– Ryder Knight.

– Jak *naprawdę* się nazywasz?

– Zadajesz za dużo pytań. – Ryder wyslizguje się z boksu. – Tylko nie mów, że nie proponowałem.

Rusza do drzwi.

Rzucam okiem na skinów. Ich spojrzenia wpełzają pod moją bluzkę. Jeden z nich liże palec.

– Babciu, szybko – mówię, biegnąc do naszego stolika. – Musimy się pośpieszyć.

– Co?

Chwytam jej walizkę i wyciągam babkę za drzwi.

– Ryder, zaczekaj! – wołam.

Ryder prowadzi nas bocznymi uliczkami. Są zarośnięte zielskiem, a wiele domów przy nich ma zapadnięte ganki i okna zabite deskami. Okna innych zasłania folia aluminiowa przyklejona taśmą izolacyjną.

– Czy idziemy gdzieś w okolice Ptasiej Budki? – dopytuje się babka.

– Nie tej nocy. Zatrzymamy się u naszego przyjaciela.

Ryder zapala latarkę kieszonkową i prowadzi nas w głąb alejki, przy której stoją krzywe garaże.

Przystaję.

– Dokąd nas prowadzisz?

– Do mnie.

Babka szarpie mnie za rękaw.

– Co się dzieje?

– W porządku, babciu – mówię, a potem wołam do Rydera: – My wracamy!

Częściowo podciąga drzwi garażu w górę.

– Trzeba jeszcze tylko przejść tędy.

„Co się stanie, jeśli pójdziemy za nim?”. A co się stanie, jeśli nie pójdziemy?

Ryder znika w garażu. W środku mogą się czaić ludzie, żeby na nas napaść. „Chcę wrócić do domu”. Biorę babkę za rękę i schylając głowy, wchodzimy w mrok. W górze jakieś stworzenia przemykają po krokwiach.

– Szczury – mówi babka. – Powiedziałam twojemu dziadkowi, że trzeba kupić pułapki.

Ryder otwiera drzwi po drugiej stronie garażu, wiodące na podwórza pięciosegmentowego domu szeregowego. Wszystkie drzwi i okna budynku są zabite sklejką i dużymi tablicami z napisem „Przejdźcie wzbronione”. Dach środkowego segmentu jest zapadnięty.

– Nie ma tu prądu ani wody – mówi Ryder. – Jeśli będziecie musiały pójść za potrzebą, kucnijcie za tą stertą rupieci. Mam w pokoju wiadro, ale tylko do nadzwyczajnych sytuacji.

– Chcesz powiedzieć, że tu mieszkasz?

– Lepsze to niż ulica.

„No tak, racja”.

– Babciu, czy potrzebujesz pójść do ubikacji?

Wydaje dźwięk naśladujący wyciskanie.

– Nie, dziękuję.

Przechodzimy przez stertę rupieci na butwiejący taras. Od drzwi nad nami do słupa telefonicznego przy garażu rozciągnięto sznur na pranie. Dajemy nura pod taras i schodzimy po czterech schodkach do płyty ze sklejki opartej o ścianę. Ryder odsuwa ją na bok, odsłaniając wejście do piwnicy.

Wchodzimy do środka. Z ciemności błyskają na nas oczy. Ryder oświetla promieniem latarki rodzinę szopów pracy. Ich matka wzdyga się zaskoczona i wyprowadza je leniwie przez dziurę w ścianie do sąsiedniego mieszkania. Ryder umieszcza sklejkę z powrotem na miejscu.

– To jest jak we śnie, który miałam – mówi babka, gdy wchodzimy po schodach w ślad za światłem latarki Rydera. – Szłam przez ciemne pokoje i nie wiedziałam, gdzie jestem. Czy to tamten sen?

– Tak, ale jestem przy tobie i on ma szczęśliwe zakończenie.

– To dobrze.

U szczytu schodów jest kuchnia oświetlona lampą naftową. Jakiś mężczyzna skrobie ścianę. Podążamy w głąb korytarza pokrytego graffiti.

– Kto jeszcze tu mieszka? – pytam szeptem Rydera.

– Zależy w którą noc. Mam zamek w drzwiach i zasuwę od wewnątrz. Włamano się do mnie tylko dwa razy.

Zatrzymujemy się przed drzwiami ze śladami od łomu na framudze. Ryder otwiera kłódkę i wchodzimy. Pośrodku pokoju leżą materac i śpiwór. Na półkach z płyt sklejk opartych na pustakach piętrzą się sterty ubrań. Jest tam też stół ze świecami i pudełkami zapalek oraz w kącie worek marynarski, a na podłodze walają się pudełka po pizzy i puszki po napojach gazowanych.

Ryder zapala świecę.

– Możecie bez obawy spać na tym materacu. Sypiam na nim od sześciu miesięcy i jeszcze nic mnie nie pogryzło.

– Skąd jest ten materac? – pytam. „Z wysypiska śmieci?”

– Należał do dziewczyny, która mieszkała tu przede mną. Miała na imię Laura, Lanie, czy jakoś tak. Weszła w drogę Brzytwie na George Street i słuch po niej zaginął. W każdym razie zamknijcie się na zasuwę. Wrócę rano.

Wychodzi.

„Zaczekaj!”. Gardło ściska mi lęk. Zamykam drzwi na zasuwę.

– No więc gdzie jesteśmy? – zastanawia się babka. – Wciąż w tamtym śnie?

– U przyjaciela.

– Och – mówi i zaczyna myszkować po pokoju.

Spoglądam na materac. „Czy ta Laura/Lanie też uciekła z domu jak ja? Czy to materac po martwej dziewczynie?”

Babka wytrzępuje śpiwór, a potem wślizguje się pod niego.

– Wybacz, ale oczy mi się kleją.

– Babciu, pozwól, że najpierw zdejmę ci buty. Proszę. Masz je na nogach bez przerwy już od kilku dni.

– No i co? Nie chcę, żeby mi zmarzły stopy. Twój dziadek stale miał zimne stopy. Nabawił się od tego zapalenia płuc. I właśnie to go zabiło. Zimne stopy. – Ziewa. – Dobranoc, pchły na noc. Zgaś światło, kiedy będziesz wychodzić.

I zasypia.

Zdmuchuję świecę, kładę się i przytulam do babki. „Co mi strzeliło do głowy, żeby uciekać z domu?”

Po schodach wchodzi z łomotem banda ludzi. Z kuchni dobiegają wrzaski, jakaś durna kłótnia. Ktoś, tupiąc, idzie przez korytarz. Naciągam śpiwór na głowy, żeby nas ukryć. Ten ktoś, zataczając się, wchodzi na drugie piętro.

„Ile jeszcze zostało do rana?”

Przez pęknięcie w sklejce zakrywającej okno wnika światło dzienne. Babka jeszcze śpi. Przez całą noc mamrotała coś bez związku. Wiem, bo nie zmrużyłam oka. Skórę mam lepką i jestem przemarznięta do szpiku kości. Nie ma dokąd uciec. Trę oczy.

W zwykły wtorek kończyłabym teraz śniadanie, mama układałaby listę zakupów w sklepie spożywczym, a tata komentowałby złośliwie program telewizyjny z telefonicznym udziałem widzów. „Co oni dziś robią? Czy babcia i ja trafiłyśmy do wiadomości telewizyjnych? Gdybym tylko miała swoją komórkę”.

Pukanie.

– To ja, Ryder.

Wpuszczam go. Jest drobniejszy, niż zapamiętałam. Ma posiniaczoną twarz. Ściąga koszulę i widzę jeszcze więcej sińców.

– Co się stało?

– Zgadnij – rzuca.

Bierze jakiś dezodorant.

– To w tej „pracy”, tak?

– Co cię to obchodzi?

– Czy robisz to, co myślę?

Wkłada bawełniany sweter.

– Prawdopodobnie.

Babka przeciera oczy.

– Co to za hałas?

– Wrócił Ryder – wyjaśniam. – Pozwolił nam tutaj przenocować.

– Zabieram was do Triggera i Tibet – mówi Ryder. – To moi przyjaciele.

Mają pokój gościnny i toaletę.

– Wspaniały pomysł – orzeka babka. – Muszę szybko pójść siusiu.

Mruży oczy i przygląda się Ryderowi.

– Czy spadłeś ze schodów?

– Właśnie.

Nie zdjęliśmy na noc ubrań, więc wychodzimy natychmiast. Babka nie może czekać, aż dotrzemy do Triggera i Tibet. Sika za stertą rupieci, podczas gdy Ryder i ja stoimy na warcie.

– Mógłbyś mi pożyczyć swój telefon komórkowy? – pytam go. – Proszę. Muszę sprawdzić w internecie kilka rzeczy.

Ryder podaje mi komórkę. Gugluję „Zoe Bird + Grace Bird” i mam sześć wyników – wszystkie z lokalnych stacji radiowych i gazet. W dzienniku „Free Press” piszą, że zaginęliśmy. Zamówiliśmy telefonicznie taksówkę z farmy Blackstock i zniknęliśmy bez śladu. Ktokolwiek mógłby udzielić o nas jakiejś

informacji, proszony jest o kontakt telefoniczny z policją. Na szczęście zdjęcie babki jest niewyraźne. Moje pochodzi ze szkolnego albumu.

– Skończyłaś? – pyta mnie Ryder, gdy babka wraca z za sterty opon.

– Tak, jasne – odpowiadam i oddaję mu komórkę.

Ryder prowadzi nas z powrotem tą samą drogą w kierunku baru. Mijamy park i zatrzymujemy się przed studiem tatuażu 2TZ. Zerkam między kratami okna. Z przodu lada. Pośrodku sofy połączone grubą płócienną taśmą samoprzylepną. W głębi dwa fotele fryzjerskie, a obok nich stoliki na kółkach. Ściany pokryte plakatami przedstawiającymi trumny i miecze.

– Spokojnie – mówi Ryder. – Trigger i Tibet wychowali bliźnięta w mieszkaniu nad tym zakładem.

Otwiera drzwi. Zamiast brzęku dzwonka rozlega się nagrany wrzask. Wysoka, chuda, łysa kobieta obraca się do nas na jednym z foteli fryzjerskich. Jest w wieku pomiędzy moją mamą a babcią, w uszach ma mnóstwo kolczyków, a na czaszce wytatuowane wizerunki duchów i Buddy.

– Hej, Trigger! – woła w górę schodów. – Chodź tu i zobacz, kogo przywiało.

A więc ona to Tibet. Gdy podchodzi bliżej do Rydera, jej twarz zmienia wyraz.

– No nie, znowu?! – wykrzykuje.

Trigger stacza się po schodach do zakładu. Wygląda jak pękate jabłko w bandanie.

– O rany – mówi, przyglądając się sińcom Rydera.

– To nic takiego – rzuca Ryder.

– Widać nie przeglądałaś się w lustrze. Skończy się tym, że ktoś cię zabije.

– Nie będę wiecznie pracował na ulicy.

– To samo mówiłeś dwa lata temu.

– Skończ z tym kazaniem. Nawet nie zapytałeś o moich przyjaciół.

Tibet marszczy czoło niemal aż do szczytu łysej czaszki.

– Wybaczcie – zwraca się do mnie i babki. – Wy jesteście...?

– Zoe Bird – przedstawiam się. – A to moja babcia Grace Bird.

– Miło was poznać – mówi babka i ściska im dłonie.

– Spotkałem ich wczoraj w barze Sonny'ego i zabrałem do siebie – wyjaśnia Ryder.

– Och, dzieciaku. – Tibet mnie obejmuje. Głos ma szorstki jak koc, dłonie jak robocze rękawice. – Ciężko wam, co?

Rozpościera ramiona, by uściskać babkę.

Babka unosi brwi.

– Kto umarł?

– Nikt, babciu. Jesteśmy w studiu tatuażu.

Babka mruga.

– Mój kuzyn miał na plecach tatuaż. Duży, z wojny. Kiedy umarł, oprawiono ten tatuaż w ramkę. Resztę kuzyna skremowano.

– Zdarło mu skórę z pleców?

– Taka była jego ostatnia wola. Rodzina się zdziwiła. Moja ciotka trzymała ten tatuaż schowany w szafie.

– I co się z nim potem stało? – pyta Trigger z uśmiechem.

– Może ktoś go kupił na garażowej wyprzedazy. Muszę iść siusiu.

„Znowu?”.

Tibet prowadzi babkę i mnie do łazienki na piętrze, po czym schodzi z powrotem na dół. Okazuje się, że babka zełgała. Tym razem nie chodzi tylko o siusiu. Skupia się jak przed egzaminem z matematyki. Bardzo trudnym egzaminem z matematyki. Wreszcie...

Plusk!

Cisza.

– No, skończyłaś?

– Nie. – Babka kręci głową. – On ma jeszcze kolegę.

Prycham.

– Jak się nazywa?

– Junior.

Plusk!

Śmiejemy się. Pomagam jej się podmyć. Gdy wychodzimy z łazienki, słyszę sprzeczkę na parterze.

– Nie mam u siebie miejsca – mówi Ryder.

– Więc pomyślałeś, że zwalisz je nam na głowę?

– Wcześniej pomagaliście w takich sytuacjach.

– To nie znaczy, że mamy każdemu wyświadczać przysługi.

– Nie wiedziałem, że to taki wielki problem.

– Skończ z tymi bzdurami, młody – wybucha Tibet. – Sądziłeś, że wparujesz tu z tym biednym dzieciakiem i jej babką i zostawisz je nam na karku, a sam będziesz robił za bohatera? No więc, cholera, jestem o wiele za stara, by grać rolę niańki.

– Słyszę was! – wołam w dół schodów.

Zapada niezręczna cisza.

Odwracam się do babki.

– Zostaniesz tutaj chwilkę? Zaraz wrócę.

Sadowię ją w fotelu przy lampie w kształcie czaszki i schodzę do zakładu. Trigger i Tibet siedzą zgarbieni w fotelach fryzjerskich. Ryder ma wzrok wbity w podłogę jak uczeń skarcony przez nauczycieli.

– Babcia i ja nie potrzebujemy lokum – oznajmiam. – Chcemy tylko

odszukać mojego stryja. On i babka kiedyś się pokłócili. Zerwali ze sobą kontakty. Stryj mieszka gdzieś w tym mieście, tyle że nie wiem gdzie. Muszę go tylko odnaleźć i pogodzić ich oboje.

– To duże miasto – mówi Trigger.

– Zoe?! – woła babka z piętra. – Zoe, gdzie jesteś?!

– Tutaj blisko, babciu! – odkrzykuję. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

Spoglądam znowu na T i T.

– Znam nazwiska jego przyjaciół, ale nie mam ich numerów telefonów.

Gdybym mogła zostać tu przez kilka godzin, spróbuję odszukać je w komputerze i zadzwonić do nich. Daję słowo, że nie potrzebuję niczego więcej.

– Zoe?! – woła znów babka. – Zoe, gdzie jesteś?!

– Tutaj. Nie denerwuj się. Już idę do ciebie.

Rzucam ostatnie spojrzenie na Tibet. Zastanawia się intensywnie, obracając na palcu pierścionek w kształcie węża.

– W pokoju naszych bliźniąt jest stary komputer – mówi wreszcie. – Mogę pożyczyć ci mój telefon komórkowy. Dostaniecie też darmowy lunch i będziecie mogły wziąć prysznic. Ale o szóstej, kiedy zamkniemy zakład...

– Rozumiem. Dziękuję.

– Zoe?!

– Babciu. Powiedziałam. Że. Już. Idę!

Ryder wychodzi. Babka i ja jemy owsiankę i tosty. Później Tibet loguje mnie w komputerze w pokoju bliźniąt. Na dole Trigger zwiększa obroty pistoletu do tatuazu.

– Lepiej już wróć do pracy – mówi Tibet. – Jedno z nas nie poradzi sobie samo w zakładzie. – Wręcza mi swoją komórkę. – Powodzenia.

Babka siedzi na dole piętrowego łóżka. Podaję jej zdjęcia stryja Teddy’ego. Bruce Izumi, Lincoln „Linc” Edwards i Susan Munroe byli jego współlokatorami. Rozpaczam od szukania jego najlepszego przyjaciela Linca. W informacji telefonicznej znajduję dwóch L. Edwardsów.

Babka stuka w oparcie mojego krzesła.

– Jakie jest magiczne słowo?

– Rabarbar – odpowiadam, wybierając pierwszy numer.

– Pieróg!

– Babciu, muszę się skupić.

Po kilku sygnałach słyszę w słuchawce:

– Halo.

– Cześć. Szukam Linca Edwardsa.

– Przykro mi. Jestem Leslie.

Odgłos przerwania połączenia.

Babka znowu stuka w oparcie krzesła.

– Jakie jest magiczne słowo?

– RABARBAR! PIERÓG! PRÓBUJĘ SIĘ SKUPIĆ!

– Przepraszam, kotku.

Czuję się, jakbym uderzyła ją w twarz.

– Babciu. – Ściskam jej dłoń. – Lubię bawić się w detektywa Birda, ale czy możemy zrobić to „za chwilę, krokodyle”?

– Dobrze. – Babka zwiija się w kłębek na łóżku. – Do widzenia, ślepa Gienia.

Zamyka oczy, a jej usta się rozchylają.

Dzwonię do drugiego Edwardsa.

– „Nie ma nas w domu. Wiesz, co zrobić”. Beep.

Głos jest o wiele za młody, lecz mimo to zostawiam nagrany wiadomość. Następnie sprawdzam różne S. Munroe. Są Sam, Sandra, Sarah, Set i kupa innych, ale wygląda na to, że Susan Munroe wyprowadziła się z kraju albo wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. To beznadziejne.

„Zamknij się. Uda się”.

Szukam Izumiego. „Tak!”. Bruce Izumi, Hiawatha Road 248. Wstukuję numer. Odbiera kobieta:

– Halo.

– Cześć. Mówi Zoe Bird. Czy mogę prosić Bruce’a?

Moment ciszy.

– Niestety, Bruce zmarł w ubiegłym roku.

– Co? Słucham? O rany. Przykro mi. Ja...

Widzę młodego Bruce’a Izumiego uśmiechającego się do obiektywu aparatu stryja Teddy’ego.

– Czy mogę w czymś ci pomóc? – pyta kobieta.

– Sama nie wiem. Ja... Pani mąż podczas studiów na uniwersytecie wynajmował dom razem z Lincolnem Edwardsem, Susan Munroe i Teddym Birdem.

– Nie przypominam sobie Teddy’ego, ale poznałam pozostałych.

– Mój stryj się przeprowadził. Czy ma pani numery telefonów Susan i Linca?

– Przykro mi, nie mam – odpowiada kobieta. – Linc chyba jest adwokatem i ma kancelarię gdzieś w śródmieściu.

– Dzięki za tę wskazówkę. A co do pani męża... bardzo mi przykro.

– Dziękuję. Życzę ci powodzenia w poszukiwaniu stryja – mówi kobieta i rozłącza się.

Klikam w komputerze rejestr firm w Toronto. Przechodzę do działu prawników. Przesuwam listę w dół i... znajduję jego nazwisko. Wprowadzicie tylko nazwisko, ale jednak. Wstukuję numer firmy.

– Kancelaria adwokacka Dunphy, Edwards i Holmes – odzywa się recepcjonistka.

Wyobrażam ją sobie taką jak w filmach – z wydatnymi kośćmi policzkowymi i idealnie gładką cerą.

Staram się, by mój głos brzmiał dorośle.

– Czy mogłabym mówić z panem Edwardsem?

– Niestety, jest zajęty – odpowiada recepcjonistka. – Może zostawi pani wiadomość dla niego?

– Eee... nie... to sprawa osobista. Chodzi o jego bliskiego przyjaciela. Teddy’ego Birda. On zmarł.

– Przykro mi. Jak się pani nazywa?

– Zoe Bird.

– Proszę chwilkę poczekać.

W słuchawce rozbrzmiewa muzyka.

Odzywa się męski głos, z lekkim akcentem z Jamajki.

– Mówi Linc Edwards. Czy Teddy’emu coś się stało?

– Nie. Powiedziałam recepcjonistce, że zmarł, ale to dlatego, żeby móc z panem porozmawiać.

– Co takiego?

– Nazywam się Zoe Bird, jestem bratanicą Teddy’ego, tylko że on chyba nie

wie o moim istnieniu. Przebywam teraz w tym mieście z moją babką, jego mamą. Czy ma pan jego numer telefonu?

Chwila ciszy.

– O co pani chodzi, pani Bird?

– O nic. Proszę posłuchać, to nie jest żaden kant, zapewniam pana. Przeczytałam listy od stryja Teddy’ego i wiem, że był pan jego przyjacielem i że wynajmowaliście dom razem z Bruce’em Izumim i Susan Munroe, i miał pan psa, który nazywał się Pan Binks, i umiał pan robić sztuczki z kartami, i... no... babcia potrzebuje pomocy stryja Teddy’ego.

– Skoro czytała pani te listy, to wie, że oni zerwali ze sobą kontakty.

– Tak. Tylko że babcia tego żałuje. Naprawdę bardzo żałuje. Poza tym nikt nie jest doskonały, prawda? – Głos więźnie mi w gardle.

– Zoe... Dobrze usłyszałem imię, tak? Zoe?

– Tak.

Przybiera uprzejmy ton, co jeszcze pogarsza tę sytuację:

– Zoe, jesteś młoda, więc wiem, że niełatwo przyjdzie ci się z tym pogodzić, ale czasami pewne sprawy najlepiej zostawić w spokoju.

– Nie tym razem... – „Wyduś z siebie te słowa. Zrób to dla babci”. – Babka ma tylko mnie. A ja sama sobie nie poradzę. Chciałabym, ale nie poradzę sobie. Ona potrzebuje pomocy. Jeżeli nie odnajdę stryja Teddy’ego, zamkną ją w ośrodku. Kocham ją... Proszę.

Milczenie. Potem:

– Jaki jest twój numer?

– 416–268–4952. Tylko że to nie mój numer. To numer komórki Tibet jakiejś tam, która prowadzi studio tatuażu 2TZ w pobliżu dawnego mieszkania stryja na ulicy Jarvis. W każdym razie babka i ja zostaniemy tu tylko do szóstej wieczorem. Potem będziemy na ulicy albo w przytułku, albo nie wiem gdzie.

Nie potrafię mówić dalej.

– Przekażę mu tę wiadomość od ciebie – mówi pan Edwards. – To wszystko, co mogę zrobić.

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Rozłącza się.

„No dobrze, teraz on telefonuje do stryja Teddy’ego... A stryj Teddy oddzwania do mnie”.

Wpatruję się w komórkę. Nic.

„W porządku, więc musi to przemyśleć. A teraz dzwoni”.

Wciąż nic.

„NO JUŻ!!!... Dalej... Stryju Teddy, co z ciebie za człowiek? Wiesz, że twoja mama i ja nie mamy tu dachu nad głową. I nie możesz przynajmniej podnieść słuchawki? Nie masz nawet na tyle odwagi, by powiedzieć nam, żebyśmy się

odchrzaniły? Ale z ciebie kreatura”.

Nie, nie jest kreaturą. Po prostu pan Edwards jeszcze nie dodzwonił się do niego, to wszystko. Stryj Teddy rozmawia przez telefon z kimś innym. Muszę tylko poczekać. Nie myśleć o tym.

„Jak? Już wiem. Babcia od kilku dni nie zdjęła butów. Ściągnę je, żeby jej stopy się przewietrzyły”.

Delikatnie zdejmuję jej buty, potem skarpetki. Suche drobiny martwej skóry na czarnej bawełnie wyglądają jak płatki śniegu. Serce trzepocze mi w piersi. Idę do łazienki, przynoszę stamtąd butelkę kremu do skóry i wcieram go w jej stopy. Babka oddycha z cichym świstem. Wkładam jej czyste skarpetki i przykrywam nogi kocem.

„Stryj Teddy wciąż nie zadzwonił”.

Musi być jakaś przyczyna. Pastor Nolan mówi, że wszystko ma swoją przyczynę.

„A co, jeśli nie ma żadnej przyczyny?”.

Ogarnia mnie fala tęsknoty za domem. Klientki mamy wysiadują wokół stolika, czekając na wiadomości o mnie i babce. Słyszę mamę mówiącą: „Nie martwię się” – podczas gdy w rzeczywistości zastanawia się, ile jeszcze czasu minie, zanim policja odnajdzie nasze zwłoki. Później usiądzie samotnie, wycierając dłonie, a tata będzie kosił trawę, żeby zająć czymś myśli.

W gardle rośnie mi gęsia skórka. Powinnam do nich zadzwonić. „Nie mogę”. Muszę. „Nie”. Powietrze – potrzebuję powietrza. Piszę: „Babciu, nie ruszaj się stąd. (= Zoe”, dwa razy, na dwóch kartkach. Jedną wkładam do lewego buta babki, a drugą zabieram ze sobą na dół.

Trigger pracuje nad facetem pokrytym tatuażami, które naśladują pieczętki w paszporcie. Tibet zajmuje się kobietą ściskającą w dłoni piłkę tenisową.

– Babka śpi. Wychodzę na dwór trochę odetchnąć – oznajmiam. – Jeżeli ona zejdzie na dół, czy mogłaby pani pokazać jej tę kartkę?

– Aha – mruczy Tibet.

Ich pistolety do tatuażu warczą jak aparaty dentystyczne do borowania.

Kładę kartkę na ruchomym stoliku przy Tibet i wychodzę. Otwierane drzwi wrzeszczą tak rozpaczliwie, jak ja się czuję. Niebo jest zasnuwane chmurami. Siadam na chodniku pod zakratowanym oknem i uderzam głową o ceglany mur. „Nie mogę wrócić do domu. Nie teraz. Ale jeśli stryj Teddy nie zadzwoni, będę musiała odesłać babkę. Ryder ma rację: tutaj ona zachoruje albo stanie się jej krzywdą”.

Znowu uderzam głową o ścianę. „Babciu, zabiorę cię do szpitala. Dam personelowi numer telefonu moich rodziców. Oni sprowadzą cię do domu... Nie, nie mogę pojechać z tobą. Muszę zostać tutaj... Nie, nie możesz zostać ze mną. Przykro mi. Musimy się pożegnać”.

Znów walę głową. „Stryjku Teddy, zadzwoń. Proszę, zadzwoń”.

Jakby za sprawą magii komórka dzwoni. Na wyświetlaczu nie ma identyfikacji rozmówcy.

– Tak?

– Szukam Zoe Bird – mówi kobiecy głos.

– To ja.

– Dowiedziałam się, że ty i twoja babka jesteście w studiu tatuażu 2TZ i staracie się dotrzeć do twojego stryja.

– Tak, do stryja Teddy’ego.

– Czy możesz przyjść za godzinę do barku Tima Hortona na Jarvis Street 150?

Serce skacze mi w piersi.

– Oczywiście.

Powiadamiam Triggera i Tibet.

– Powodzenia! – wołają, gdy wybiegam za drzwi.

Pędzę do barku kawowego, który znajduje się w odległości zaledwie pięciu minut drogi. Siadam przy dwuosobowym stoliku przy oknie i próbuję rozładować napięcie, przyglądając się każdemu mężczyźnie w średnim wieku wchodzącemu przez drzwi, przechodzącemu przez jezdnię, nawet idącemu dalej chodnikiem. „Czy to on? On? A może on? Czy będzie łyсы? Brodaty? A co, jeśli ma rodzinę, dzieci? Jeśli nie znajdzie się u niego miejsce dla nas?”.

Nadciągają ciemniejsze chmury. O okno uderzają kropelki deszczu. Wchodzi kobieta w granatowym kostiumie, z kremową torebką na ramieniu i w pantoflach w tym samym kolorze. Trochę zbyt wystrojona jak na ten lokal. Składa parasolkę, rozgląda się i rusza pewnym krokiem do mojego stolika.

– Zoe Bird?

– A o co chodzi? Nie zrobiłam niczego złego.

– Nie?

Nagle to do mnie dociera. Loki. Zadarty nos. Wydatne kości policzkowe.

– Stryj Teddy?

– Teddi, tak, z „i” na końcu. Stryj, niezupełnie – mówi. Siada. – Nie jestem taka, jak się spodziewałaś?

– Nie. Tak. To znaczy nie wiem, czego się spodziewałam.

– Rozumiem. Nie było potrzeby cię uprzedzać.

„OMG OMG OMG. Zachowuj się, jak gdyby nigdy nic”.

– Próbowałam odszukać cię przez internet.

– Zmieniłam nazwisko na Burgess.

– Burgess?

– To nazwisko mojego męża. – Bębni palcami w blat stołu. – Wyglądasz, jakbyś powinna zjeść pączka.

– Nie jestem głodna.

– Ja jestem. – Wstaje. – Zaczekaj tu.

„A więc mój stryj – moja ciotka? – jest transseksualistą? I w dodatku zamężnym?”.

Obserwuję ją stojącą przy kasie. Wydaje się energiczna, rzeczowa. Fryzurę i makijaż ma inne niż klientki w salonie fryzjerskim mamy – krótko obcięte loki, oszczędnie użyta kredka do oczu. Nie nosi też wiele biżuterii; tylko prosty srebrny naszyjnik i obrączkę. Ma duże dłonie z ładnymi paznokciami.

Teddi wraca z dwoma lukrowanymi miodowymi pączkami, kawą dla siebie, colą dla mnie i serwetkami.

– Dziękuję – mówię.

Kiwa głową. Jej uśmiech znika.

– A więc, co ty i moja matka robicie w Toronto? W studiu tatuażu?

– Proszę, nie krzycz na mnie.

– Nie krzyczę. Pytam.

Zahaczam stopy o nogi krzesła.

– Dobrze. No więc... nie wiem, jak to powiedzieć. To znaczy wiem, ale to by trwało wieczność, więc mniejsza o mnie. Chodzi o babcię. Moi rodzice umieścili ją w domu opieki, a ona nie chce tam być, to znaczy *naprawdę* nie chce – mówi, że tam umrze. I mówi, że ty nigdy byś tak nie postąpiła, że zaopiekowałabyś się nią, więc zabrałam ją stamtąd i odtąd usiłujemy cię odszukać.

– Rozumiem. – Teddi przekrawa swój pączek na pół i gryzie kęs. – Po pierwsze, twoja babka nie umrze od tego, że znajdzie się w domu opieki. Po drugie, ona nie potrzebuje *mojej* pomocy. Potrzebuje pomocy, kropka. Nie potrafi już sama sobie poradzić.

– Niby skąd to wiesz?

– Ubiegłej nocy zadzwonił do mnie twój tata, okropnie zaniepokojony. Chciał wiedzieć, czy skontaktowałaś się ze mną. Rozumiem, że moje nazwisko

pojawiło się w trakcie rozmowy.

– Nie wierz w nic, co ci powiedział. Gdyby nie on, byłabyś z babcią.

– Twój ojciec nie ma nic wspólnego z tym, co wydarzyło się pomiędzy twoją babką a mną.

– To ty tak myślisz. Kiedy przysłałaś babci pocztą swój nowy numer telefonu, tata ukradł ten list. To dlatego ona nigdy nie napisała do ciebie ani nie zadzwoniła.

Teddi stuka w usta zwiniętą serwetką.

– Nigdy nie przysyłałam niczego twojej babce.

– Więc skąd tata wiedział, jak się z tobą skontaktować?

– Wie to od lat. Nawiązałam z nim kontakt, kiedy miał dwadzieścia lat. Zapytał wtedy, czy chcę ich odwiedzić. Odpowiedziałam, że nie. Nie chciałam rozdrapywać starych ran, ale poprosiłam, żeby mnie zawiadomił, kiedy nasi rodzice umrą. Był na tyle uprzejmy, że powiadomił mnie o śmierci twojego dziadka.

„Tonę. Niech ktoś mnie wyciągnie”.

Teddi kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Twój tata to miły gość, Zoe. Potrafię to poznać.

Tam, gdzie powinien być mój żołądek, zieje pustką.

– Czy moi rodzice wiedzą, że mnie odnalazłaś? – pytam.

Twierdząco kiwa głową.

– Powiedziałaam, że mamy się spotkać, a potem zadzwonię do nich i będą mogli przyjechać po was.

– Co takiego? Nie!

Gdzieś w oddali rozlega się grzmot burzy.

– Zoe – mówi spokojnie Teddi. – Wiem, że troszczysz się o swoją babcię, ale ja nie jestem twoim szczęśliwym zakończeniem.

– Nie możesz o tym zdecydować, dopóki z nią nie porozmawiasz.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą od trzydziestu lat. Jesteśmy dla siebie obcymi osobami.

– Dla babci nie jesteś kimś sprzed trzydziestu lat. Jesteś kimś teraz.

– Tak. No cóż... – mówi Teddi.

Patrzy na strugi deszczu spływające po szybie okna.

– Kochaliście się – mówię.

– Bardzo.

Spoglądam uważnie w jej twarz.

– Jak można kochać kogoś tak bardzo, a później już nigdy się z nim nie zobaczyć?

– Zrozumiesz, jeśli ciebie to spotka. Dla twojego dobra mam nadzieję, że to się nigdy nie stanie.

– Proszę. Przepraszam, to po prostu... – Łzy napływają mi do oczu, uszy mi

płoną. – Babcia jest dla mnie wszystkim. Muszę się teraz dowiedzieć.

W oczach Teddi pojawia się macierzyński wyraz. Wyjmuje z torebki papierową chusteczkę i podaje mi.

– Więc dobrze – mówi w końcu z westchnieniem. – Przeczytałaś moje listy, zatem wiesz, że twój dziadek i ja nienawidziliśmy się. Twoja babka kochała nas oboje. Odwiedzała mnie w Toronto, mając nadzieję, że on też kiedyś przyjedzie. W tamtym czasie myśleli, że jestem gejem. Ale pod koniec drugiego roku studiów powiedziałam im, że w rzeczywistości jestem kobietą i zamierzam zmienić płeć, że uzyskałam formalną zgodę i rozpoczęłam kurację hormonalną, i że po ukończeniu studiów będę oszczędzać na operację.

– Babcia się wściekła?

Teddi przecząco kręci głową.

– Trochę popłakała, ale oświadczyła, że i tak mnie kocha. To nie było dla niej całkowitym zaskoczeniem. Kiedy byłam mała, mówiłam różne rzeczy. W okresie dojrzewania płciowego przeżywałam totalny chaos. Tak więc, kiedy matka zaakceptowała moje wyznanie, ciężar spadł mi z serca. Mieszkałam z moimi przyjaciółmi jako kobieta. Możliwość bycia szczerą wobec niej była... no... najwspanialszym uczuciem na świecie.

– Dlaczego nie przysłałaś zdjęć nowej siebie?

– Przysłałam – mówi sucho. – A zatem ich nie zachowała?

Czerwienię się.

– Babcia ma bardzo wiele pudeł. Jestem pewna, że te zdjęcia są w którychś z nich.

– To bez znaczenia.

– No tak. Ale jednego nie rozumiem. Skoro się kochałyście, dzwoniłyście do siebie – to dlaczego sprawy tak szybko potoczyły się tak źle?

– Umarł mój dziadek.

– I co?

Twarz Teddi przybiera kamienny wyraz.

– Matka poprosiła mnie, żebym przyjechała na pogrzeb jako mężczyzna. Odmówiłam, powiedziałam, że nie jestem mężczyzną. Powiedziała, że tu nie chodzi o mnie, tylko o pogrzeb mojego dziadka. Odparłam, że nie chodzi też o nią i tatę. Oświadczyłam, że pojawię się tam jako prawdziwa ja. Matka odpowiedziała, że w takim razie może byłoby najlepiej, żebym w ogóle nie przyjeżdżała, skoro i tak od lat nie byłam w Ptasiej Budce. Zapowiedziałam przecież, że nigdy więcej ich nie odwiedzę. Ludzie już przestali się dopytywać, kiedy znowu przyjadę. Po co prowokować kłopoty? „Czy chcesz, żeby chłopcy w miasteczku pobili twojego brata? Ty przyjedziesz i wyjedziesz, a my musimy tutaj żyć”.

– To w gruncie rzeczy była prawda, czyż nie?

– To w gruncie rzeczy nie powinno było mieć znaczenia. Jeżeli jest się

częścią rodziny – tylko że ja najwyraźniej już nie byłam. Matka powiedziała, że postępuję nierozsądnie. Zapytałam, dlaczego nie potrafi zrozumieć, przez co przeszłam. Czy naprawdę myśli, że to była tylko zabawa w przebierankę? Od tego momentu nasze relacje zaczęły się psuć: gniewne listy, ciskanie słuchawką, łzy. Matka zarzucała mi, że zachowuję się jak obca osoba. Odparłam, że moi przyjaciele tak nie uważają; teraz oni są dla mnie rodziną, nie ona. Kilka dni później nadeszła paczka. Był w niej szalik, który kiedyś zrobiłam dla niej na drutach.

– Miałaś taki sam.

Teddi przytakuje.

– Może matka postąpiła tak tylko pod wpływem chwilowego gniewu. Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Napisałam do niej okrutny list. List, który miał ją zranić tak, jak ona zraniła mnie. Wtedy zerwałyśmy kontakt. Nie chciała mnie znać ani widzieć. – Milknie. – Zoe, twoja babka nie poradzi sobie, żyjąc na ulicy. Wiesz o tym. Musi wrócić.

Skręcam w dłoniach serwetkę.

– Ty też powinnaś – dodaje Teddi łagodnie. – Ona będzie przerażona, kiedy ją zabiorę. Będzie potrzebowała kogoś, komu ufa, kto ją uspokoi. Zrobisz to dla niej, prawda?

Kiwam głową. „Nie rozplączę się. Nie”.

– Więc co teraz?

Teddi wyjmuje komórkę.

– Teraz porozmawiasz z rodzicami.

– Nie potrafię.

– Jesteś dzielną dziewczyną. Potrafisz wszystko. – Wybiera numer. – Tim, jestem z Zoe... Tak, u niej i matki wszystko w porządku... – Tata mówi coś płaczliwie. – Nie ma za co... Oczywiście.

Podaje mi telefon.

Nerwowo przetykam ślinę.

– Tata?

– Gdzie byłaś, u licha? – szlocha.

– W hotelu.

– Twoja matka i ja... my...

– Zoe? – Teraz mówi mama.

– Mamo, proszę, przestań płakać. Nic mi nie jest.

– Tak się baliśmy... myśleliśmy, że... – Jej głos rozbrzmiewa donośnie w słuchawce: – Nie umiem nawet wyrazić, co myśleliśmy.

– Wyślecie mnie do tamtej szkoły, tak?

– Później o tym porozmawiamy. Teraz pragniemy tylko, żebyś wróciła do domu.

Nie mogę myśleć. Nie mogę oddychać.

– Jak chcecie – wyduszam.

Teddi bierze ode mnie telefon.

– Tim, Zoe jest teraz trochę zdenerwowana... Tak, powiem jej. Pada deszcz. Może być okropna pogoda. To niebezpieczne, żebyś w taką aurę jechał tam i z powrotem. One mogą zostać u nas na noc... – Rozłącza się. – Twój tata kazał ci powiedzieć, że oboje cię kochają.

– W ogóle mnie nie znają.

– Ale chcą cię poznać.

„Co ty możesz wiedzieć?”. Wycieram nos.

– No dobrze. Chodźmy po babcię.

Wychodzimy z barku pod markizę. Naprawdę porządnie się rozpadało.

– Wilf – mówi Teddi przez komórkę. – Zoe i ja porozmawialiśmy. Idziemy do studia tatuażu 2TZ po moją matkę. Spodziewaj się nas za czterdzieści minut.

Rozłącza się.

– Babcia nigdy nie poznała twojego męża, prawda?

– Nie. – Teddi otwiera parasolkę. – Wprost idealny dzień na wzajemne prezentacje.

Leje coraz mocniej. Przyciskam się do boku Teddi, żeby schować się pod parasolkę. Po niebie przetaczają się grzmoty, gdy docieramy do studia 2TZ. Z przodu sali tłumek ludzi chroni się przed deszczem. Trigger za kontuarem pilnuje kasy sklepowej. Macha na nas ręką, żebyśmy weszli w głąb sali, gdzie Tibet pokrywa tuszem czaszkę jakiegoś motocyklisty. Motocyklista siedzi wciśnięty w fotel, jakby hamował przed zderzeniem. Zagryza gumową piłeczkę.

– Ty z pewnością jesteś Tibet – mówi Teddi swobodnym tonem. – Jestem ciotką Zoe. Dziękuję za zaopiekowanie się jej babką.

– To żaden kłopot.

Spoglądam na wszystkich tych zgromadzonych ludzi.

– Czy ona jest na górze?

– Tak przypuszczam, chyba że zeszła tutaj. Pokazaliśmy jej twoją notkę. – Tibet pochyla się nad motocyklistą. – Zostało jeszcze tylko trochę do wypełnienia. W trzeci wkręć żelazny ćwiek, dobrze?

– FURFA FURF!!!! – bełkocze z przerażeniem motocyklista i mdleje.

– Napijesz się kawy? A może kielonek żytniówki? – proponuje Tibet Teddi.

– Nie, dziękuję. Pójdziemy, jak tylko burza trochę ucichnie – Teddi spogląda na mnie. – Zoe, proszę, przyprowadź babkę.

Ruszam w górę schodów. „Co ja jej powiem? Babciu, wracasz do Greenview?”.

Przechodzę przez salon do pokoju bliźniąt. Walizka babki jest otwarta, a zdjęcia jej i Teddy’ego leżą porozrzucane na kapie łóżka – ale jej tu nie ma.

– Babciu?

„Proszę, niech będzie w drugiej sypialni”.

Nie ma jej tam.

„Nie panikuj”.

– Babciu? – Otwieram drzwi łazienki. Tam też jej nie ma. – Babciu???

Zbiegam po schodach.

– Babci nie ma na górze.

– Jak to nie ma? – pyta Teddi.

– To znaczy nie ma!

Tibet odkłada żelazny ćwiek.

– Pewnie wymknęła się niepostrzeżenie, gdy zwałił się ten tłum ludzi.

Teddi zastyga w bezruchu.

– MAMO! – krzyczy przerażona.

„Oddychaj”.

– Deszcz zaczął padać dopiero niedawno – mówię. – Nie mogła zajść daleko.

Gdyby szła w kierunku, z którego przyszłyśmy, natknęłybyśmy się na nią. A zatem musiała pójść w stronę parku.

Teddi i ja przepychamy się przez zbity tłum do drzwi.

– Zaraz zwymiotuję! – wrzeszczę.

Ludzie rozstępują się w popłochu. Wybiegamy na zewnątrz. Porywisty wiatr wyrwaca parasolkę Teddi na drugą stronę. Teddi ją zamyka.

– No, chodź – mówi.

Gnamy do parku, osłaniając rękami twarze. Błyskawica. Ściany deszczu uderzają w nas falami. Woda przelewa się ze studzienek. Przy krawężnikach płyną rwące potoki. Nasze buty chlupoczą w kałużach wielkich jak sadzawki. Potykam się na wyboju. Teddi mnie podtrzymuje.

Zacinający deszcz zalewa mi oczy. Prawie nic nie widzę.

– BABCIU!! – wołam.

– MAMO!

Pod drzewami kulą się bezdomni. Przechodzimy od jednej grupki do drugiej, wołając babkę. Nie ma jej tutaj. „Gdzie się podziała?”.

Nagle rozlega się pisk hamulców. Trąbią klaksony samochodów. Z tego chaosu dobiega mnie głos babki:

– ZOE! GDZIE JESTEŚ?

Kolejne błyskawice. Na środku jezdni krąży bezradnie drobna, stara kobieta. To babcia.

– BABCIU! JUŻ IDE!

– ZOE! – woła i odwraca się tam, skąd usłyszała mój głos.

Chwytam ją mocno. Teddi wskakuje przed nas. Wymachuje rękami, zatrzymując nadjeżdżające samochody. Docieramy do wiaty przystanku autobusowego na rogu ulicy. Po jednej stronie ławki śpi pijak. Stłaczamy się ciasno po drugiej stronie, z babką pośrodku.

Deszcz bębni o dach, ale jesteśmy bezpieczne. Przez strumienie wody spływającej po szklanej ścianie wiaty przeblyskują światła lamp ulicznych i reflektory pojazdów.

Babka trzyma mnie kurczowo. Włosy ma mokre i potargane, oczy wytrzeszczone.

– Nigdy więcej tak nie znikaj – mówi do mnie. – Okropnie mnie wystraszyłaś.

– Przysięgam, babciu, przysięgam.

Teddi narzuca na ramiona babki swój granatowy żakiet.

– Dziękuję – mówi babka i odwraca się, żeby zobaczyć, kto jej pomógł.

Tramwaj zatrzymuje się na czerwonym świetle. Jego reflektory oblewają blaskiem twarz Teddi. Babka wpatruje się w nią intensywnie. Unosi dłoń do ust.

– Zoe – szepcze – czy ja znam tę osobę? Chyba znam tę osobę. Przepraszam – mówi do Teddi, zdezorientowana i zaniepokojona – czy ja panią znam?

Teddi się waha i nie odpowiada.

– Nie widzę już tak dobrze jak dawniej – ciągnie babka. – Pamięć też mam gorszą niż kiedyś. Ale jakoś... jest coś... Czy ja cię znam?... Chyba cię znam. Kim ty jesteś?

– Teddi – mówi cicho.

Babka wyciąga rękę i wodzi czubkami palców po twarzy Teddi.

– Miałam kiedyś Teddi. To było moje dziecko i bardzo je kochałam.

Teddi przykrywa swoimi dłońmi babki.

– A ja miałam mamę, którą kochałam.

– Teddi. – Oczy babki wypełniają się łzami. – Czy jesteś *moją* Teddi?

Przez twarz Teddi przebiega skurcz.

– Tak – mówi i mocniej przyciąga do siebie babkę.

Babka szlocha.

– Okrutnie cię potraktowałam.

– Cicho... cicho... – Teddi gładzi ją po włosach. – Ja też cię zraniłam.

– Wybaczysz mi?

– Z całego serca. A czy ty m i wybaczysz?

– Tak. Tak – mówi babka. – Teddi, chcę wrócić do domu. Pojedź ze mną. Chcę, żebyśmy wróciły do domu.

– Wrócimy – mówi Teddi.

Daje mi znak głową. Tulimy się do siebie wszystkie. Reszta jest milczeniem.

Burza ucicha na chwilę. O wpół do szóstej jesteśmy z powrotem w studiu 2TZ. Trigger i Tibet szykują się już do zamknięcia zakładu, ale widząc, jak bardzo babka jest zmarznięta i przemoczona, pozwalają nam zaprowadzić ją na górę na ciepłą kąpiel. Podtrzymuję plecy babki, gdy sadzamy ją do wanny. Porusza palcami stóp i mówi:

– O rety, jakie to przyjemne.

Zaczynam ją myć gąbką i mydłem.

– Jak tam? – pytam, szorując jej ramiona.

– Trochę bardziej w lewo, kotku.

Potem ją wycieramy. Przynoszę z walizki zmianę czystej odzieży i pomagam jej się ubrać, a w tym czasie Teddi dzwoni do moich rodziców.

– Nie mogę wyjaśnić tego przez telefon – mówi – ale przywiozę je z powrotem. Chciałabym zatrzymać się na parę dni u mamy w Ptasiej Budce, zanim przeniosą ją do ośrodka. Musimy się na nowo zaznajomić ze sobą. To nie będzie problem, prawda?

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Dobrze, a zatem do zobaczenia – kończy rozmowę.

Schodzimy z naszymi rzeczami na dół. Trigger i Tibet już zamknęli zakład. Siedzą z Ryderem na kanapach dla klientów. Przedstawiam Ryderowi Teddi. Potem ona idzie po swój samochód, a babka i ja sadzimy się na małej, dwuosobowej sofie pokrytej zielonym plastikiem.

Babka kiwa głową, jakby rozumiała wszystko, co się mówi, ale wiem, że jest zagubiona jak dziecko we mgle.

– Co teraz z wami będzie? – pyta Tibet.

– Teddi zabiera nas do siebie. Jutro odwiezie nas do domu.

– Czyli nie będę wam już potrzebny – mówi Ryder. – Wpadłem, w razie gdybyście potrzebowały jakiejś mety.

– Dzięki, ale... – milknę i ponuro skubię gąbkę sterczącą spod taśmy izolacyjnej na poręczu sofy.

– Rozchmurz się – mówi Trigger. – Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Tylko że to nie kończy się dobrze. Mama i tata chcą, żebym wróciła, ale...

– Żadnych ale – przerywa mi Ryder. – Masz rodziców, do których możesz wrócić.

– Nie rozumiesz.

– Nie, to ty nie rozumiesz.

Nie będę się kłócić z kimś, kto ma takie piękne oczy.

Babka nachyla się do mojego ucha.

– Czy jesteśmy na przyjęciu?

- Coś w tym rodzaju. Pożegnalnym przyjęciu.
- Kto wyjeżdża?
- My. Wracamy do domu.
- Och, to dobrze.

To kłopotliwe utknąć w rozmowie towarzyskiej i nie mieć nic do powiedzenia. Ci ludzie byli i są dla nas bardzo mili, ale wszyscy mamy na twarzach takie sztuczne uśmiechy, jakbyśmy pozowali do grupowego zdjęcia.

Wraca Teddi. Ulewa przeszła w mżawkę. Pakujemy babcię i nasze bagaże do samochodu. Trigger, Tibet i Ryder obejmują mnie na pożegnanie. Tibet wsuwa mi w dłoń wizytówkę, w razie gdybym jeszcze kiedyś przyjechała do Toronto.

- Chcesz, żeby Teddi dokądś cię podrzuciła? – pytam Rydera.

Wsadza ręce w kieszenie.

- Nie. Pobędę tutaj.
- Dobrze, a więc do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Jednak już nigdy się nie zobaczymy i oboje to wiemy. Gdy odjeżdżamy autem Teddi, spoglądam do tyłu. Ryder opiera się niedbale o latarnię i taksuje wzrokiem mijające go pojazdy. Po chwili znika we mgle.

Teddi wiezie nas do takiego Toronto, jakie widuje się w ilustrowanych magazynach. Jej apartamentowiec znajduje się tuż przy Mount Pleasant Boulevard i to jest prawdziwa nazwa ulicy, a nie taka z komiksów. Okna mieszkania wychodzą na park – no dobrze, na cmentarz, ale gdybym była martwa, chciałabym mieszkać właśnie w takim miejscu.

Mąż Teddi, Wilf, przyrządził już piezzonego kurczaka. Jest o wiele od niej niższy, ma rzadziejące włosy i plamy wątrobowe na skórze. Prowadzi nas do jadalni z widokiem na park. Podobnie jak obrazy na ścianach, dywaniki na podłodze i lampy na niskich szklanych stolikach, stół jadalny jest imponujący: z twardego drewna bejcowanego na heban, ozdobiony ornamentem przedstawiającym kwiaty.

Wilf i ja siadamy po jednej stronie stołu, Teddi i babka po drugiej. One nie odrywają oczu od siebie. Spojrzenie babki jest nieśmiałe, a Teddi – czułe. Raz czy dwa przez twarz babki przemyka cień dezorientacji.

– Jestem Teddi – szepcze wtedy Teddi łagodnie, a babka uśmiecha się i mówi:

- Tak. Teddi.

Wilf bawi mnie rozmową. Jest emerytowanym dyrektorem szkoły, więc oczywiście wypytuje o moje liceum, o ulubione przedmioty, a także o to, co lubię robić w wolnym czasie i kim chcę zostać, kiedy dorosnę.

– Gdybym miał ponownie podjąć decyzję, też zostałbym nauczycielem – oświadcza. – Uwielbiałem sale lekcyjne, wszystkich tych uczniów z głowami

pełnymi ideami.

Uczył przedmiotów ścisłych. Założę się, że wykładał je interesująco i zabawnie.

Apetyt babki rośnie, gdy dochodzimy do deseru: ciasteczek czekoladowych z orzechami i lodów. Niedługo później babcia zaczyna przysypiać. Teddi i ja zabieramy ją do głównej sypialni i ubieramy we flanelową piżamę Wilfa i w jego wełniane skarpety, podczas gdy Wilf sprząta ze stołu. Tej nocy będę spała tutaj z babcią. Teddi i jej mąż zajmą rozkładaną sofę w drugiej sypialni.

Kiedy babka już śpi, zapalamy nocną lampkę, wychodzimy na palcach i dołączamy do Wilfa, który czyta w salonie. Przygotował dzbanek gorącej czekolady i postawił na stoliku talerz ciasteczek. Teddi siada ze mną na sofie naprzeciw niego.

– Smutno oglądać ją w takim stanie – mówi. – Mama zawsze była taka silna.

– Nadal jest – mówię, wpatrując się w swój kubek.

Oczekuję, że Teddi zaprzeczy albo powie coś innego, co sprawi, że poczuję się głupio. Lecz ona nie robi niczego takiego.

– O czym myślisz? – pyta łagodnie.

– O niczym – odpowiadam.

Wbijam palce stóp w dywan. Teddi i Wilf się nie odzywają. „Rozmawiajcie. Powiedzcie coś”. Ale nie mówią. „No dobrze. Doskonale”.

– Boję się wrócić do domu – wyznaję.

– Nie obawiaj się. Rodzice cię kochają. Wszystko się ułoży.

– Łatwo ci mówić. Gdy tylko znajdę się w domu, wyślą mnie do tej szkoły z internatem, o surowym rygorze. Umysł babci działa coraz gorzej. Ona o mnie zapomni. Co wtedy będzie?

Teddi obejmuje mnie ramieniem.

– Lęk to okropna rzecz.

– Wiem. Ale jak mam go powstrzymać? Oprócz zmartwienia z babcią jest też moja kuzynka Madi. Chodzi o to, że ona mnie prawie zabiła i nikogo to nie obchodzi.

– Jak to?

Nagle moje tamy puszczają i wylewa się ze mnie rwący potok słów. Mówię o Lizusce, moście i tym, jak mnie opluto i niemal zrzuciono na kamienie i drut kolczasty, i że oni mogą mnie dopaść w każdej chwili, wszędzie, i że następnym razem załatwią mnie na dobre.

Wilf podaje mi papierową chusteczkę.

– Powiedziałaś o tym rodzicom?

Kiwam głową.

– Nie uwierzyli mi. Nigdy mi nie wierzą. W niczym...

I nieoczekiwanie mówię dalej, o Wymarzonym Domku Barbie, o dragach,

prezerwatywach i...

– Pomówię z nimi – obiecuje Teddi.

– To nic nie da.

– Przekonamy się.

– Nie przekonamy się. Ja *wiem*. – Głos mi się łamie. – Przepraszam, nie mogę już dłużej rozmawiać.

Wbiegam do sypialni i zatrzaskuję za sobą drzwi.

„Dlaczego jestem taka pokręcona? Dlaczego nie mogę być normalna? Dlaczego życie nie może być proste?”

Kładę się do łóżka i przytulam do babki.

„Nie zapomnij mnie, babciu. Proszę, nigdy mnie nie zapomnij”.

Nazajutrz rano Wilf smaży dla nas naleśniki. Jest fantastyczny.

Teddi ponownie przedstawia się babce. Dla babki ich pojednanie jest znów czymś nowym i cudownym. Przez całe śniadanie wpatruje się w Teddi, a w jej oczach błyszczy zachwyty. Kilka razy pyta:

– Teddi?

A Teddi odpowiada:

– Tak, mam. Ogromnie się cieszę, że tu jesteś.

I wtedy babka mówi:

– Ja też.

Kiedy talerze są już sprząnięte ze stołu, Teddi znika w pokoju gościnnym. Szpera tam przez chwilę i wraca z niewielkim kartonowym pudełkiem, jakie trzyma się w głębi szafy z garderobą.

– Mam coś dla ciebie, mam – mówi i podaje jej pudełko.

– Ojej, dziękuję ci. – Babka, głowiąc się, co to może być, otwiera pokrywkę. W środku jest szalik zrobiony na drutach, żółto-pomarańczowy z fioletowymi zygzakami. – O rety!

– Ja mam identyczny.

– Pamiętam ten szalik. Uwielbiałam go. Myślałam, że już na zawsze go straciłam.

– Stracony i odnaleziony – mówi Teddi i całuje ją w czoło.

Po śniadaniu pomagam babce się ubrać. Upiera się, żeby włożyć szalik. Teddi też wkłada swój, żeby pomóc babce zapamiętać, kim jest. Potem prowadzi nas do windy i zjeżdżamy do garażu, gdzie stoi jej samochód.

„Co będzie, kiedy dotrzemy do domu?”

Otwieram babce drzwi od strony fotela pasażera. Moje dłonie są tak lepkie od potu jak u taty. Wsiadam z tyłu.

– Czy jedziemy do Ptasiej Budki? – dopytuje się babka.

– A chciałabyś tego? – odpowiada pytaniem Teddi.

– Oczywiście. Przecież tam mieszkam. I tam też umrę.

– No, jeszcze nieprędka umrzesz.

– Pewnie, taką mam nadzieję.

Zauważam, jak zręcznie Teddi uniknęła odpowiedzi.

Gdy wjeżdżamy na autostradę, babka zapada w drzemkę. Teddi i ja słuchamy muzyki z jej playlisty. Jedziemy szybko, wyprzedzamy tysiące aut.

Mój umysł nie daje mi spokoju.

– No więc, Teddi...

– Tak?

„No więc, to było głupie, że się odezwałam. Teraz już *muszę* coś

powiedzieć”.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Jasne – mówi i ścisza muzykę.

„Trzy, dwa, jeden”.

– Kiedy się zorientowałaś, że jesteś kobietą?

Teddi uśmiecha się do mnie we wstecznym lusterku.

– Powiedziałabym, że zawsze to wiedziałam, ale nie potrafię sięgnąć pamięcią aż tak daleko wstecz.

– Ale *skąd* wiedziałaś?

– Po prostu wiedziałam. Tak samo jak ty.

– Ale ja miałam od zawsze te narządy.

Teddi przytakuje.

– Tak, to było bardzo irytujące.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Komu pierwszemu o tym powiedziałaś?

– Mamie. Twojej babci.

– Naprawdę?!

– Byłam wtedy bardzo mała. Układała mnie do snu. Spytałam: „Mamusi, dlaczego nie wyglądam jak dziewczynka?”.

– Co odpowiedziała?

– „Bo jesteś chłopcem”. Oświadczyłam: „Nie czuję się chłopcem”. Spytała: „A jak myślisz, jak się czują chłopcy?”. „Nie wiem – odparłam. – Ale nie tak jak ja”.

– Czy babcia powtórzyła to dziadkowi?

– Jestem całkiem pewna, że nie. Powiedziałby mi coś na ten temat. W gruncie rzeczy mama prawdopodobnie zapomniała o tamtej rozmowie. Wiesz, jak fantazjują dzieciaki – „Chcę być piratem. Chcę być kosmonautą”. Albo w moim przypadku syreną czy księżniczką.

– Czy kiedykolwiek bawiłaś się w księżniczkę na oczach dziadka?

– Tylko raz. Miałam wtedy trzy albo cztery lata. Włożyłam perły i krótką halkę mamy i wpadłam do salonu, krzycząc: „Jestem księżniczka Linda”.

– Czy cię uderzył?

– Nie. Ale ścigał mnie po schodach na górę. Ukryłam się pod łóżkiem. Wygonił mnie stamtąd, szturchając szczotką. Następnego dnia nie pozwolił mi iść do szkoły, tylko zabrał mnie do fryzjera, żeby ostrzygł mnie krótko maszynką elektryczną. To wspomnienie bardzo długo budziło we mnie gniew. Teraz już nie taki wielki, chyba że dopuszczę go do siebie.

Mówię po krótkim wahaniu:

– Kiedy przeczytałam twoje listy, pomyślałam, że może jesteś gejem.

– Tak samo myśleli mama i tata. – Teddi zerka na mnie we wsteczne

lusterko. – Ujawnienie się jako transseksualista nawet dzisiaj nie jest takie proste, a wtedy było o wiele trudniejsze. Miałam szczęście, że znalazłam kilkoro dobrych przyjaciół. – Uśmiecha się. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– No cóż, skoro sama mnie zachęcasz... Jak poznałaś Wilfa?

– Ha! Przy okazji skoku spadochronowego.

– Serio?

– Zdecydowałam się na skok, ponieważ ktoś powiedział mi, że nigdy bym się na to nie odważyła. Wilf natomiast świętował w ten sposób swoje urodziny.

Rozmawiamy tak przez resztę podróży. Ja po to, żeby zapomnieć o tym, co mnie czeka; ona – ponieważ lubi gawędzić. Zanim się obejrzałam, już zjeżdżamy z autostrady 401. Gdy przejeżdżamy przez Woodstock, Teddi dzwoni do moich rodziców i oznajmia przez zestaw głośnomówiący:

– Będziemy za dwadzieścia minut.

Serce ściska mi skurcz niepokoju.

– Teddi, czy mogę cię zapytać o jeszcze jedną, ostatnią rzecz?

– Jasne.

– Mam tylko jedną ciotkę, Jess. Byłoby miło mieć taką, którą lubię. Czy więc mogłabym nazywać cię ciocią Teddi?

– Oczywiście. Przecież jesteś moją bratanicą.

– Dziękuję... ciociu Teddi.

Przejeżdżamy skrótem przez most, mijamy farmę Dylana, park i wjeżdżamy na podjazd mojego domu. Gdy wysiadamy z samochodu, mama i tata biegną ku nam. Po chwili już mnie obejmują.

– Zoe! – wykrzykuje mama. – Dzięki Bogu, jesteś już bezpieczna.

Tata pyta babkę:

– Mamo, dobrze się czujesz?

– Jasne, że tak. A ty?

– Jestem Teddi – mówi do mamy moja ciotka. – A ty jesteś Carrie?

– Tak – potwierdza mama trochę nerwowo. – Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni za to, że sprowadziłaś je obie z powrotem całe i zdrowe. – Ściska dłoń ciotce Teddi. „Czy to się dzieje naprawdę?”. – Proszę, wejdź, napij się kawy.

– Dziękuję, ale potrzebujecie czasu tylko dla siebie, a mama jest bardzo zmęczona. Może wpadlibyście dziś wieczorem do Ptasiej Budki na kolację? Zamówiłabym pizzę.

Z twarzy mamy znika wyraz napięcia.

– Przyniesiemy naczynia i sztucce.

– Ptasia Budka. – Babka mruga powiekami. – Ludzie będą się tam wkradać.

Ciotka Teddi ujmuje ją pod ramię.

– Więc będzie lepiej, jeśli cię tam odwiozę.

Tata daje jej klucz i machamy im na pożegnanie. Czekam, kiedy rodzice

zaczną na mnie wrzeszczeć. Ale nie wrzeszczą. Zamiast tego mama obejmuje mnie ramieniem, gdy wchodzimy do środka i kierujemy się do kuchni.

– A więc, jeśli chodzi o Toronto... – zaczynam.

– O tym możemy porozmawiać później. Teraz czujemy po prostu wielką ulgę, że wróciłaś – mówi tata. – Poza tym jest jeszcze coś... Zoe, musimy wiedzieć, co robiłaś tamtej nocy, zanim uciekłaś.

– Cokolwiek to było, kochanie, proszę, powiedz nam – dorzuca mama. – Obiecuję, że nie będziemy się na ciebie gniewać.

– Oczywiście, obiecujemy – potwierdza tata.

– Nie wiem, o czym mówicie.

Wymieniają spojrzenia. Potem mama mówi:

– Ubiegłej nocy zatelefonowaliśmy na policję i zawiadomiliśmy, że ty i twoja babcia się odnalazłyście. Powiedzieliśmy im, że byliście u rodziny, i przeprosiliśmy za spowodowane przez nas zamieszanie.

– Dziś rano policjanci zadzwonili do nas – podejmuje relację tata. – Powiedzieli, żeby kiedy wrócisz, przywieźć cię do komisariatu. Prowadzą jakieś śledztwo. Chcą zadać ci kilka pytań.

– O co?

– To ty nam powiedz. Wszystko, co mogliśmy zrobić, to o nic ich nie pytać. Uznaliśmy, że gdybyśmy coś bezwiednie chlapnęli, moglibyśmy sprowadzić na ciebie jeszcze większe kłopoty.

– Wspieramy cię, kochanie – mówi mama – ale musisz nam wyjaśnić, o co tu chodzi. Chcemy być przygotowani.

– Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek złego się dzieje, stoi za tym Madi. Wrabia mnie, jak zawsze.

Mama i tata wydają się przygnębieni.

– Przypuszczam, że dowiemy się na miejscu – mówi tata i wstaje ciężko, jakby wybierał się na pogrzeb.

Gdy zmierzamy do drzwi, odzywa się komórka mamy. Mama sprawdza, kto dzwoni.

– Nie teraz, Jess – mamrocze pod nosem.

Wsiadamy do samochodu, wyjeżdżamy z podjazdu i jedziemy do komisariatu.

„Powinnam była zostać na ulicach Toronto”.

Wchodzimy do gabinetu komendanta Lamberta. Szare ściany, winylowa podłoga, biurko z komputerem, krzesła, monitor zamontowany na bocznej ścianie. Komendant jest krępy, mocno zbudowany, z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu i nikłym uśmiechem.

Mama i tata przedstawiają siebie i mnie.

– Cieszę się, że wróciłaś do miasteczka – mówi do mnie komendant.

Usta mi drżą.

– Dziękuję – odpowiadam, ale gardło mam zbyt suche i ściśnięte, by móc dodać coś jeszcze.

Komendant wskazuje nam gestem ręki krzesła przed biurkiem. Mama i tata siadają blisko po obu stronach mnie. Zahaczam stopy o nogi krzesła i garbię się.

– Zanim zada pan jakiegokolwiek pytania – mówi tata – chcę wiedzieć, czy Zoe potrzebuje adwokata?

Komendant milczy przez chwilę z taką miną, jakby tata właśnie wpadł w pułapkę.

– Dlaczego miałyby potrzebować adwokata? Jak pan myśli, co takiego zrobiła?

– Nic... Nie wiem... Po prostu pytałem – jąka tata trochę zbity z tropu.

– Czy powiedziałas rodzicom o moście? – zwraca się do mnie komendant.

„O moście?”. Czuję mdłości.

– Nie, właściwie nie.

– O co chodzi z tym mostem? – chce wiedzieć mama.

– W sobotnią noc państwa córkę napadnięto na bocznej drodze McClennana – wyjaśnia komendant.

Mama i tata bledną.

– Dziś rano o ósmej czterdzieści pięć odebraliśmy telefon od dyrektora szkoły Zoe – ciągnie komendant. – Jeden z uczniów powiadomił go, że widział nagrany komórką filmik przedstawiający tę napaść, która jak sądził, może mieć związek ze zniknięciem Zoe. O dziewiętej trzydzieści zarekwirowaliśmy to nagranie i wtedy zadzwoniliśmy do państwa. – Spogląda na mnie. – Wiedziałaś, że nakręcono ten filmik?

Kiwam głową, zakłopotana i zawstydzona.

– Zanim porozmawiam z osobami, które cię zaatakowały, chcę zebrać możliwie jak najwięcej informacji. Czy możesz mi opowiedzieć o wydarzeniach, które doprowadziły do incydentu zarejestrowanego na komórce?

Wbijam wzrok w swoje stopy.

– Moja kuzynka Madi zaprosiła mnie na imprezę niespodziankę dla Ricky’ego, chłopca, którego lubię – mówię cicho. – Kiedy rodzice poszli spać,

wymknęłam się do samochodu jej chłopaka. Tylko że to nie była impreza. Madi i jej przyjaciele zawieźli mnie na most, a potem... no... pan już wie, co się wydarzyło.

– Kochanie – szepcze mama.

Ona i tata siedzą na krzesłach jak sparaliżowani.

– Proszę spojrzeć na monitor – mówi komendant i włącza nagranie.

Ja nie patrzę. Nie muszę. Widzę w pamięci każdą sekundę.

„Co chcecie zrobić?”

„Zgadnij”.

Mama i tata sztywnieją.

„Opluj mnie. Jestem gównem”.

Każde z nich obejmuje mnie ramieniem.

„Jak myślicie, czy gówniana Bird potrafi latać?”.

Biorą mnie za rękę.

„Zrzuć ją”.

Ściskają moją dłoń tak mocno, że to boli.

„Tylko spróbuj powiedzieć komuś o dzisiejszej nocy – komukolwiek – a dorwiemy cię. Jasne? Nie będziesz wiedzieć gdzie, nie będziesz wiedzieć kiedy, ale pewnego dnia wepchniemy cię do samochodu i dokończymy to, co zaczęliśmy”.

Słyszę z nagrania dalszy ciąg, zarejestrowany w samochodzie, gdy odjeżdżali. Podnoszę wzrok i patrzę. Madi na tylnym siedzeniu, zwrócona do Katie i Caitlyn, przedrzeźnia mój krzyk: „Na pomoc! Łaaa! Ja zginę! Łaaa!”. Śmieją się i przybijają piątki. Filmik się kończy.

– Kochanie... – mówi tata takim tonem, jakby budził się z koszmaru.

– Nic się nie stało.

– Stało się – mówi mama. – Co oni zrobili...? O mój Boże... mój Boże!

Obejmują mnie delikatnie, jakbym była elegancką porcelaną mamy. Nie, jeszcze delikatniej. Jakbym była dla nich kimś najcenniejszym, najważniejszym na świecie.

Mama całuje mnie po włosach.

– Skarbie, powinniśmy byli cię wysłuchać. Wypytać. A my cię odepchnęliśmy.

– To nasza wina – mówi tata.

– Przepraszamy cię, przepraszamy – powtarzają oboje raz za razem.

Coś we mnie pęka.

– Ja też was przepraszam.

Nie wiem, jak długo się obejmujemy. Wiem tylko, że nawet jeśli kiedyś zacznę mieć kłopoty z pamięcią jak moja babka, tę chwilę zapamiętam do końca życia.

Jest już prawie pora lunchu, gdy opuszczamy komisariat policji i jedziemy do domu. W samochodzie mama sprawdza swoją komórkę. Ma pięć nagranych wiadomości od ciotki Jess. Ciotka Jess i wuj Chad czekają w aucie zaparkowanym przy naszym domu. Kiedy wjeżdżamy na podjazd, wysiadają, a za nimi Lizuska, która ukrywała się na tylnym siedzeniu.

– Czego oni chcą? – rzucam.

– Przypuszczam, że otrzymali wiadomość od policji i zjawili się, żeby przeprosić – odpowiada mama. – Spójrzcie, Jess przyniosła kwiaty. Widocznie na wszystko przychodzi pierwszy raz.

– Nie musisz spotykać się ze swoją kuzynką, jeśli nie chcesz – mówi do mnie tata.

– Prędeż czy później i tak bym musiała. Równie dobrze mogę teraz, żeby mieć to z głowy.

– Ty się nie odzywaj – nakazuje mi mama. – Tata i ja poprowadzimy rozmowę. – Odwraca się do rodziny Mackenzie ze swoim najlepszym świętoszkowatym uśmiechem. – Co za urocza niespodzianka.

Wuj Chad wprawdzie nie przyniósł wina, ale zalatuje od niego szkocką whisky. Lizuska ma twarz szarą jak owsianka. Unika mojego wzroku.

– Zoe, z wielką ulgą przyjęliśmy wieść, że wróciłaś do domu – mówi ciotka Jess. Wpycha mamie kwiaty. – Carrie, zostawiłam na twojej poczcie głosowej pięć wiadomości. Gdzie byliście?

– Och, tu i tam. Miałam wyłączoną komórkę.

Ciotka Jess oddycha głęboko.

– To dobrze. Bardzo się cieszymy, że dotarliśmy do was pierwsi.

– Co masz na myśli? – pyta tata niewinnym tonem.

Wuj Chad przestępuje z nogi na nogę.

– Dowiedzieliśmy się o czymś – mówi; jego oddech mógłby skwasić mleko.

– To brzmi poważnie – konstatuje mama.

– Powiedzmy, że ta wiadomość nas zaskoczyła.

Lizuska zerka nerwowo na szosę.

– Zatem wchodźcie, wchodźcie. Napijcie się kawy? Może podam ciasteczka?

Wszyscy troje przecząco kręcą głowami.

Siadamy wokół stolika w salonie fryzjerskim. Lizuska wciska się pomiędzy wuja Chada i ciotkę Jess.

– A więc o czym takim się dowiedzieliście? – pyta tata.

– Eee... no... otóż... – jąka wuj Chad. Tym razem to on się poci. – Madi przybiegła dziś rano ze szkoły śmiertelnie przerażona. Okazało się, że o dziesiątej

trzydzieści zadzwoniła do niej policja. Wygląda na to, że w sobotę wieczorem wydarzył się pewien incydent. Może Zoe wam mówiła?

– Może w y moglibyście nam powiedzieć – mówi mama z chłodnym uśmiechem.

Ciotka Jess nerwowo dotyka naszyjnika z pereł.

– W gruncie rzeczy to było raczej nieporozumienie. Nikt nie ucierpiał. Nie ma potrzeby robić z tego problemu. Jednak, no cóż...

– Co „jednak, no cóż”? – pyta mama.

– W sobotni wieczór Madi uczyła się z przyjaciółkami. Pewien chłopiec zaprosił je na prywatkę. Madi zatelefonowała do Zoe i spytała, czy chciałaby się przyłączyć, a... Zoe chyba się zgodziła.

– Jak się zdaje, ten chłopiec wypił wcześniej trochę alkoholu... no wiecie, jak to chłopcy. – Teraz mówi wuj Chad. – Wygląda na to, że złapał Zoe i wystawił poza balustradę mostu. Udawał, że ją puści. Oczywiście nie puścił. To był tylko głupi żart.

– Tylko że został sfilmowany komórką i teraz zajmuje się nim policja – przerywa mężowi ciotka Jess. – Chcą, żebyśmy dziś po południu przywieźli Madi do komisariatu na przesłuchanie. Możecie to sobie wyobrazić? Pomyśleliśmy, że powinniśmy razem porozmawiać o tym, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Spoglądamy na nich w milczeniu.

– Zanim zapomnę, he, he... – mówi niezręcznie wuj Chad, zacierając dłonie, jakby zachęcał w kanale telesprzedazy do zakupu traktora. – Jess i ja przemyśleliśmy to i... no cóż... projekt otwarcia salonu fryzjerskiego przy głównej ulicy brzmi sensownie. Chcielibyśmy pożyczyć wam pieniądze na ten cel.

– Właśnie po to jest rodzina – dorzuca wesoło ciotka Jess.

Mama i tata nadal patrzą na nich bez słowa.

– Carrie? Tim? Co wy na to?

– Widzieliśmy ten film – mówi mama opanowanym, zimnym tonem.

Lizuska wydaje cichy jęk.

– Słucham? – wydusza ciotka Jess.

– Kiedy jechaliście do nas, byliśmy w komisariacie policji i oglądaliśmy to nagranie.

– Naprawdę myśleliście, że możecie nas przekupić? – pyta tata ze zdumieniem. – Myśleliście, że bardziej zależy nam na salonie fryzjerskim niż na naszej córce?

– Sądzieliśmy, że przyjechaliście nas przeprosić. To dowodzi naszej naiwności – mówi mama. Odwraca się do Madi. – Nie po raz pierwszy skrzywdziłaś Zoe, co? Obwinialiśmy ją o tyle rzeczy, lecz w rzeczywistości zawsze to ty byłaś winna, prawda? Te narkotyki i prezerwatywy w pudełku po jej Wymarzonym Domku Barbie były twoje, tak?

– Oszalałaś?! – rzuca wściekle ciotka Jess.

Wzrok mamy przygważdża ją do krzesła.

– Twoja córka nauczyła się od profesjonalistki, Jess. Odkąd byliśmy małe, zabierałaś mi albo wyśmiewałaś wszystko, co kochałam. Później traktowałaś moją rodzinę jak śmiecie. Pozwalałam ci na to. Myślałam, że zasługuję na takie traktowanie. Ale już dość.

Szyja wuja Chada przy kołnierzyku czerwienieje gwałtownie.

– Za kogo wy się uważacie?

– Za rodziców wspaniałej córki – odpowiada tata.

– Ale ta policja! – wydusza ciotka Jess. – Musicie pomóc nam przekonać policję.

– Niczego nie musimy – ripostuje mama.

– Zoe, proszę! – woła piskliwie Madi. – Bardzo żałuję i przepraszam cię za wszystko. Za Domek Barbie. Za most. Za wszystko.

– Madi – mówię cicho i spokojnie. – Jeżeli naprawdę żałujesz, zmienisz się. Jeśli nie, to nie moja sprawa.

– Ale musisz powstrzymać dochodzenie. Musisz powiedzieć policji, że to był żart, że tylko udawaliśmy.

– Wtedy zrobisz to samo komuś innemu.

– Nie zrobię.

– Przykro mi. – Patrzę jej prosto w oczy. – Tak bywa.

Madi blednie jak ściana. Przez chwilę stoi z wytrzeszczonymi oczami, a potem wybucha głośnym szlochem.

– Posłuchaj no, Carrie – mówi ciotka Jess, unosząc się z krzesła niczym balon wypełniony gorącym powietrzem. – Przez wszystkie te lata nie pisnęłam słowem o twoim sekretnym szwagrze, a raczej powinnam powiedzieć: *szwagierce*. Za nic w świecie nie chciałam być kojarzona z tą sprawą. Ale moja rodzina nie pójdzie na dno sama. Zajmiesz się policją albo powiem całemu miasteczku o tym waszym obojniku.

Tata zrywa się na nogi.

– Nie obrażaj mojej siostry.

Mama też wstaje.

– Teddi uratowała Zoe i babkę. Jest dla mnie członkiem rodziny, bardziej niż ty kiedykolwiek byłaś, i jest lepszą kobietą, niż ty kiedykolwiek będziesz!

– A teraz wynoście się z naszego domu – mówi tata, wskazując drzwi.

Wszyscy troje Mackenzie się kulą.

– Nie zapomnimy wam tego – rzuca wuj Chad, gdy wyślizgują się chyłkiem na dwór.

– My też nie – mówi tata, zatraskując za nimi drzwi.

Widzę przez okno, jak umykają do samochodu niczym szczury ściekowe.

– Co zrobią? – pytam.
Mama wyciera dłonie.
– Kogo to obchodzi?

Jedziemy na kolację do Ptasiej Budki, wioząc naczynia i sztucce. Mama ma w torebce butelkę środka czyszczącego.

Ciotka Teddi wita nas w drzwiach.

– Nigdy bym nie przypuściła, że Ptasia Budka jest w takim stanie – szepcze.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy – usprawiedliwia się mama.

– Oczywiście. Chodzi tylko o to, że przeżyłam szok – wyjaśnia ciotka Teddi.

Prowadzi nas do stołu w jadalni. Zauważam, że mamie ulżyło na widok ręczników, którymi ciotka Teddi przykryła siedzenia krzeseł. Babka i ja siadamy obok siebie.

– Więc jak spędziłaś dzień, matko? – pyta tata.

Babka spogląda na ciotkę Teddi.

– Ty im powiedz.

– No cóż, najpierw ucięliśmy sobie drzemkę – mówi ciotka. – Potem obeszlśmy cały dom i oglądałyśmy różne przedmioty. Znalazłyśmy rękawicę bejsbolową Tima, prawda?

Babka przytakuje.

– Była gdzieś tam schowana, ale ją znalazłyśmy.

– Potem znalazłyśmy mój dyplom z liceum, rękawicę kuchenną olbrzymią jak hipopotam i pluszowego misia Tima – ciągnie Teddi. – Później wyszłyśmy na werandę, żeby obejrzeć twoje ptasie gniazda.

– Uwielbiam moje ptasie gniazda.

Zjawia się chłopak z pizzerii. Ciotka Teddi płaci mu i przynosi na stół pudełka pizzy. Tata odmawia modlitwę i zaczynamy zajadać.

– Bardzo mi się podoba twoja fryzura – mówi mama do ciotki Teddi.

– Moje włosy nie wymagają wiele zachodu – odpowiada z uśmiechem ciotka.

Przy jedzeniu opowiadają sobie o swoich losach, nadrabiając wieloletnie zaległości. O tym, jak tata poznał mamę i jak ciotka Teddi poznała Wilfa. O swoich wspomnieniach z posiadania znacznie starszego/znacznie młodszego rodzeństwa. Mówią o tym bardzo zabawnie.

– A co ty pamiętasz, matko? – pyta tata.

– Kiedy miałam dziesięć lat, język przymarzył mi do hydrantu pożarowego.

Po kolacji znoszę z piętra album ze zdjęciami taty i ciotki Teddi z dzieciństwa. Oglądamy ich letnie pobyty w Ptasiej Budce: ciocia Teddi w wieku mniej więcej dwunastu lat na trawniku przed domem huśta kołyskę z tatą niemowlęciem. Później, kiedy tata już uczył się chodzić, ciągnie go siedzącego w małym wózku. Na innym zdjęciu widzimy tatę, który był wtedy uczniem podstawówki, bawiącego się ze swoimi wakacyjnymi przyjaciółmi, a ciotka Teddi,

kończąca wówczas liceum, pozuje z babcią do zdjęcia na huśtawce na werandzie.

Babka wskazuje na kolejne fotografie, kiwa głową i uśmiecha się.

„Ciociu Teddi, mamó, tato, widzicie? To dom babki. Jej życie. Tutaj właśnie jest jej miejsce”.

Babka zaczyna przysypiać.

– Zoe, czy możesz położyć mnie do łóżka?

– Oczywiście.

Odchodzimy obie od stołu. Pomagam jej umyć zęby i nakłaniam ją, żeby włożyła koszulę nocną i zdjęła buty.

– Zaśpiewasz mi kołysankę? – pyta, gdy już okryłam ją kołdrą.

Śpiewam jej tę, którą ona śpiewała mi, kiedy byłam dzieckiem. Babka dopowiada słowa, których zapomniałam. Całuję ją w czoło.

– Do zobaczenia jutro, babciu.

– Do jutra, kotku.

Gdy schodzę po schodach, słyszę moje imię.

– Zoe jest wspaniałą młodą kobietą – mówi ciotka Teddi. – Obserwowałam, jak opiekuje się moją mamą.

– Matka i Zoe tworzą dobraną parę, nieprawdaż?

– Niewiele nastolatków potrafiłoby sadzać na sedesie swoją babkę – ciągnie ciotka. – Świetnie ją wychowaliście.

– Ona... ee, my... no... – jąka się mama, zadowolona i zmieszana.

– Zoe pomagała babce w ubikacji? – pyta tata takim tonem, jakby zmienianie pieluchomajtek było jakimś niezwykłym wyczynem.

– A także ją kąpała – mówi ciotka Teddi.

– Dobry Boże! Pracownicy ośrodka opieki Greenview mieli z tym nie lada utrapienie.

Teddi się śmieje.

– No cóż, ona ma do tego wyjątkowy talent. Jak powiedziałam, wychowaliście fantastyczną córkę.

No dobra, ogarnia mnie zakłopotanie. No, bo to brzmi, jakbym była jakąś Zaklinaczką Babci czy kimś takim. Schodzę, tupiąc głośno, żeby mnie usłyszeli.

– Ach, jesteś – mówi mama, gdy wchodzi do jadalni. – Twoja ciotka Teddi nie może się ciebie nachwalić.

– Eee... dziękuję – bąkam i oblewam się rumieńcem.

– Nie dziękuj, mówię tylko prawdę.

Mama wstaje.

– No, na nas już pora. Raz jeszcze dziękujemy za zaopiekowanie się Zoe i babką i za ten wieczór.

– Nie, to ja w a m dziękuję – odpowiada Teddi, gdy idziemy do drzwi wejściowych. – Przyjazd do domu okazał się inny, niż przypuszczałam. Przyjęliście

mnie tak serdecznie. I Tim, świetnie ujrzeć cię już całkiem dorosłego.

Tata robi zakłopotaną minę.

– Ja też bardzo się cieszę z naszego spotkania. Szkoda, że doszło do niego dopiero po tylu latach. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Dlaczego? – pyta ciotka Teddi. – To nie była twoja wina.

– Kiedy się ze mną skontaktowałeś, powinienem był powiedzieć o tym matce.

– To ja się temu sprzeciwiłam.

– Mimo wszystko powinienem był to zrobić. Cała ta sytuacja... Bałem się, co ludzie sobie pomyślą.

– Ale teraz jesteśmy razem – mówi łagodnie Teddi.

Tata przytakuje.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś.

– Ja też.

Przez chwilę spoglądają na siebie, niepewni, jak mają się zachować. Potem nieoczekiwanie obejmują się. Mocno.

Wszyscy w szkole znają powód mojej kilkudniowej nieobecności. Lizuska i jej gang zostali zawieszani oraz oskarżeni o uprowadzenie, narażenie na niebezpieczeństwo i grożenie śmiercią. Informacja o tym pojawia się w lokalnych wiadomościach – nie podano ich nazwisk, ale w miasteczku i tak wiedzą, o kogo chodzi.

Na szkolnym korytarzu widzę, jak obie fagaski Madi mówią Ricky’emu, że to przeze *mnie* mają kłopoty, i wyrzucają mu, że przekazał ten filmik.

– Chcecie powiedzieć, że wy byście tak nie postąpiły? – ripostuje. – Ale z was wstrętne żmije!

Podczas lunchu Ricky podchodzi do mojego stolika.

– Czy mogę się przysiąc?

– Jasne – odpowiadam. – Dzięki za to, co zrobiłeś z tym filmikiem.

– To nic takiego. Dylan mi go pokazał. Byłem oburzony. – Milknie na chwilę. – Ja... eee... słyszałem, że masz ciotkę?

– Tak – mówię. – A ponieważ wszyscy o tym gadają, więc również drugie tak: ciotka Teddi jest transseksualistką.

Ricky się czerwieni.

– Więc... jaka ona jest?

– Fantastyczna. Rozumie i kocha moją babcię.

– To super – mówi.

I w tym momencie pojmuję, że Ricky jest moim przyjacielem. Prawdziwym przyjaciółom zawsze zależy na tym, żebyśmy byli szczęśliwi. Ale nie tylko on jeden stoi po mojej stronie. Przez cały lunch ludzie podchodzą do mnie i pytają, jak się czuję. Nie zdawałam sobie sprawy, że Madi ma tylu wrogów – wszystkich tych, którzy podlizywali się jej tylko ze strachu przed nią.

Nauczyciele też zagadują mnie, pytają o moje samopoczucie. Dają mi czas na nadrobienie zaległości, a ponadto dyrektor szkoły oznajmia mi, że jego drzwi są dla mnie zawsze otwarte. Jakbym rzeczywiście zamierzała go odwiedzić, ha, ha. Ale to miły gest.

Jak dotąd filmiku nie ma na YouTube. Ale słuchajcie, jeśli się pojawi, to Madi powinna się wstydzić, nie ja.

Po lekcjach wracam rowerem do domu. Dziś wieczorem to my urządzamy kolację i chcę pomóc ją przygotować, żeby wypadła idealnie. Gdy wchodzę frontowymi drzwiami, mama myje włosy pannie Burke, pani Carmichael siedzi pod suszarką, panna Greene i pani Gibson czekają w kolejce, a wokół stolika wysiaduje tyle kolejnych klientek, że mama musiała przynieść krzesła z kuchni.

Wszystkie oznajmniają, że bardzo się cieszą z mojego powrotu do domu, nawet te, które ledwie znam, oprócz tego, że się z nich wyśmiewałam, czego chyba

już więcej nie będę robić.

– Zawsze wiedziałam, że z tej twojej kuzynki jest niezłe ziółko – oświadcza pani Green.

– Dzięki Bogu, że twoja ciotka ci pomogła – mówi panna Burke.

– Wiecie o ciotce Teddi? – pytam zdziwiona.

– Odkąd dziś rano otworzyłam salon, dziewczyny chodzą wokół mnie na paluszkach – mówi mama. – W końcu więc zapytałam: „Jess rozpowiada o tym, co?”.

– Doprawdy, Carrie, przedstawiasz to tak, jakbyśmy plotkowały – protestuje pani Gibson, okropnie zakłopotana.

– Ty miałabyś plotkować, Doris? – rzuca kąpiącym tonem mama. – Ależ skądże. Ty tylko przekazujesz interesujące informacje.

– No, musisz przyznać, że zjawienie się od dawna utraconej krewnej nie zdarza się co dzień. Nie wiedziałyśmy, jak to przyjmiesz.

Mama mruga do mnie.

– W każdym razie powiedziałam im: „Weźcie sobie kawę i przysuńcie krzesła”. Słowo daję, od wielu tygodni nie miałam w salonie tyle pracy co dziś.

– Twoja ciotka Teddi dosłownie uratowała ci życie – zwraca się do mnie panna Greene. – Musi mieć dobre serce.

– Podobnie jak jej mąż – mówię.

– Ona ma męża?

Widocznie mama nie powiedziała im wszystkiego.

– Tak, wuja Wilfa. Jest emerytowanym dyrektorem szkoły. A ponieważ ciotka Teddi nadal pracuje, on zajmuje się w domu gotowaniem i sprzątaniami.

– Wygląda na to, że ten człowiek jest prawdziwym skarbem – mówi pani Gibson. – Ja nie potrafię zmusić męża, żeby przynajmniej chował do szafy swoją bieliznę.

Siedząca pod suszarką pani Carmichael budzi się z drzemki. Na mój widok ze zdumienia rozdziawia usta.

– ZOE! – wrzeszczy, jakby wszyscy byli głusi tak jak ona. – WITAJ W DOMU!

Nie wiem, co one wszystkie naprawdę o tym myślą, ale mama ma rację. Te „dziewczyny” są nie tylko klientkami. To jej przyjaciółki.

Zaraz po wyjściu dziewczyn bierzemy się do przygotowania do kolacji. Tata i ja przynosimy z piwnicy dywan. Potem on zajmuje się rozkładaną kanapą, a ja pomagam mamie przyrządzić sos do spaghetti. Zwykle po prostu wygarniamy go z butelki, ale mama chce wywrzeć wrażenie. Kupiła nawet lody firmy Häagen-Dazs.

Tata przymierza już trzecią koszulę, gdy zjawiają się babka i ciotka Teddi w swoich wyjątkowych szalikach. Myślę, że szalik babci stanie się częścią jej niezmiennego uniformu. Podaje mi końce szalika, żebym dotknęła materiału.

– Miękki jak króliczek, co, kotku?

Wchodzimy do salonu. Mama mówi, wskazując ręką na suszarki do włosów przykryte prześcieradłami:

– Przepraszam za to wszystko.

– Ależ nic nie szkodzi – odpowiada ciotka Teddi. – Jakie wspaniałe kolory.

Kolacja przebiega w bardzo przyjaznej atmosferze. Nawet babka zachowuje się uprzejmie. Po wyjściu gości mama i tata rozmawiają o tym, jak doskonale się wszystko ułożyło. Mają rację, z wyjątkiem tego, że jest piątkowy wieczór i jutro babka po raz ostatni zje kolację w Ptasiej Budce. W niedzielę rano ciotka Teddi wyjedzie, a babkę znowu zamkną w Greenview.

Przez całą noc usiłuję ułożyć jak najdoskonalszą przemowę mającą nakłonić ciotkę Teddi do przekonania moich rodziców, żeby pozwolili babce pozostać w Ptasiej Budce. Nawet po zaśnięciu snię o tym, że ćwiczę jej wygłoszenie. W jednym ze snów siedzę na żerdce budki dla ptaków, a ciotka Teddi podjada robaki. W ostatnim jestem pisklęciem, które wypada z gniazda. „Leć, leć”. Ale nie potrafię.

Budzę się, gdy spadam na podłogę. Jest piąta rano.

Myję zęby i idę do kuchni. Kiedy mama i tata wstają, już zaparzyłam dla nich kawę i ugotowałam owsiankę.

– Skarbie, nie musiałaś tego robić – mówi mama.

– Ale chciałam.

Tata unosi brew, jakby pytał: „Czy dlatego, żeby babka mogła zostać w Ptasiej Budce?”.

Posyłam mu słodkie, niewinne spojrzenie: „Nie”.

Marszczy brwi: „Bo wiesz, to już postanowione”.

Podaję mu szklanę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego: „Nie chcę się kłócić”.

– Dziękuję – mówi.

Po śniadaniu jadę rowerem do babci. Zastaję ją razem z ciotką Teddi przy manekinie na taczkach.

– Niech mnie, jeśli to nie detektyw Bird! – wykrzykuje babka.

Odstawiamy nasz powitalny numer z rabarbarem i pierogiem.

– Widzę, że już poznałaś Freda – mówię do ciotki Teddi.

– Och, tak. – Ciotka mruga do mnie. – Nawet podaliśmy sobie ręce.

– On dawniej nosił garnitury, stercząc w oknie wystawowym sklepu odzieżowego Tip Top Tailors – ciągnę. – Myślę, że w czepku kąpielowym jest szczęśliwszy. W zimie ubieramy go w stary płaszcz, prawda, babciu?

– Chyba tak. – Babka wskazuje na moją ciężarówkę – zabawkę Tonka. – Hej, spójrzcie na to.

Podchodzimy do ciężarówki. Przypominam sobie wzgórek fioletowych kwiatów niecierpka z czasów, kiedy babka uprawiała ogród.

– Jestem pewna, że odgrywała niegdyś rolę bardzo ładnej żardyniery – mówi ciotka Teddi.

– Nadal nią jest – wyjaśnia babka. – Chwasty to po prostu kwiaty rosnące w niewłaściwym miejscu.

Zawracamy w kierunku werandy i przystajemy przy wylocie rynny.

– Kiedy byłam mała, mieszkały w niej chochliki – oznajmiam ciotce. – Zostawiały dla mnie cukierki w plastikowych opakowaniach.

– Cóż za zbieg okoliczności – mówi Teddi. – W Elmirze my też mieliśmy chochliki w wylocie rynny, prawda, mamó?

Babka przytakuje.

– Chochliki to utrapienie. Wykopują z ziemi cebulki tulipanów. – Wchodzi po schodkach na werandę. – Ojej, chyba zdrzemnę się minutkę czy dwie. Gdybyście mnie potrzebowały, będę na kanapie w gabinecie.

– Dobrze.

Babka wchodzi do domu.

„Gdzie będziesz jutro, babciu? Czy to był twój ostatni spacer po podwórzu? Ostatni dzień, kiedy widzisz te wanienki dla ptaków i wszystko inne, co tak bardzo kochasz?”

Ciotka Teddi i ja siadamy na huśtawce.

„A więc to teraz. Pora na wygłoszenie przemowy”. Siadam na dłoniach, żeby powstrzymać ich drzenie. Krzyżuję nogi, żeby nie tupać nimi nerwowo. Zaczynamy się huśtać. „Ubiegłej nocy wpadło mi do głowy doskonale pierwsze zdanie. Jak ono brzmiało?”

– A jeśli chodzi o... – Urywam. „Myśl!”

– Czy rozpoczynamy rozmowę? – pyta ciotka Teddi. „Co?”. – Rozmowę, którą chcesz ze mną odbyć, zanim wrócę do Toronto?

– Skąd wiedziałaś?

Ciotka wzrusza ramionami.

– Jutro jest ważny dzień. Pragniesz mieć pewność, że zrobiłaś wszystko, co

mogłaś. I dobrze; żal to okropna rzecz. Zatem proszę, powiedz, co ci leży na sercu.

Biorę głęboki wdech.

– Jutro jedziesz do domu, a babcia wraca do Greenview, chyba że zdołam sprawić, by moi rodzice zmienili zdanie. Pamiętasz, jak w Toronto powiedziałaś, że babka powinna pozostać w Ptasiej Budce?

Ciotka Teddi potakuje.

– No więc teraz jesteś tutaj i widzisz, jak ona kocha to miejsce. Jak wiele ono dla niej znaczy. Widzisz, że jest całym jej życiem.

Ciotka znów kiwa głową.

„Dobrze”.

– Wcześniej powiedziałaś, że nie pomożesz babce, bo już nic cię z nią nie łączy. Tylko że od tamtego dnia wszystko się zmieniło. Także ty i tata. Może nie jesteście najbliższymi przyjaciółmi, ale dobrze się ze sobą dogadujecie.

– Tak.

– Więc proszę, czy dziś wieczorem przy kolacji mogłabyś powiedzieć moim rodzicom, że ten dom jest dla babki wszystkim i powinna tu zostać?

Ciotka Teddi ostrożnie zatrzymuje huśtawkę.

– Zoe, właśnie zrobiłaś coś bardzo ważnego. Oznajmiłaś otwarcie, co myślisz. Bez względu na to, co się zdarzy, możesz być z siebie dumna, gdyż zdecydowanie wyraziłaś swoje stanowisko.

„Proszę, nie powiedz tego, co jak przypuszczam, zamierzasz!”.

– To nie jest to, co pragniesz usłyszeć, ale twoi rodzice mają rację – kontynuuje ciotka. – Moja mama powinna mieszkać w ośrodku Greenview. W głębi duszy ty też to wiesz, prawda?

Przełykam z trudem.

– Ale tutaj jest szczęśliwa.

– Owszem.

– Jeżeli trafi do Greenview, będzie codziennie umierać. Jak by ci się podobało, gdybyś każdego ranka budziła się w miejscu, którego nie pamiętasz, i nieznajomi ludzie mówili ci, co masz robić?

– Mam nadzieję, że byłabym wdzięczna mojej rodzinie za to, że zatroszczyła się o mnie na tyle, by umieścić mnie w miejscu, w którym znajduję dobrą opiekę. Ojciec Wilfa także nie chciał zamieszkać w domu spokojnej starości, ale w końcu pokochał to miejsce.

– Brawo dla niego, ale on nie jest moją babcią – mówię. – To znaczy, ciociu Teddi, wiem, że Greenview to świetny ośrodek – personel i wszystko inne – i być może babcia rzeczywiście powinna tam trafić. Ale co z tego, skoro ona wolałaby raczej umrzeć?

– Chodzi o jej bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo to nie wszystko.

– Jesteś jeszcze młoda.

– To nie znaczy, że nie mam racji. Ty byłabyś bezpieczniejsza, żyjąc jako mężczyzna. Czy to byłoby tego warte?

– W tym przypadku chodzi o coś innego – mówi ciotka Teddi. – O miejsce zamieszkania, a nie o to, kim się jest.

– Owszem, ale podjęcie ryzyka po to, żeby być szczęśliwym, jest dokładnie takim samym wyborem. Kiedy ujawniłaś się jako transseksualistka, zaryzykowałaś swoje życie. Nie z powodu operacji chirurgicznych, lecz wszystkich tych szaleńców, którzy mogliby cię pobić, nawet zabić. Zrobiłaś to, ponieważ musiałaś, ponieważ pragnęłaś być szczęśliwa. Dlaczego szczęście babci się nie liczy?

Teddi nie odpowiada.

– Nie oczekuję, że natychmiast zmienisz zdanie. Być może w ogóle go nie zmienisz – mówię cicho. – Ale jesteś moją ulubioną ciotką. No dobrze, jedyną ciotką, jaką potrafię znieść. Proszę, obiecaj, że przynajmniej zastanowisz się nad tym, co powiedziałam.

– Dobrze, zastanowię się – odpowiada ostrożnie Teddi.

Dzisiejszy wieczór w Ptasiej Budce zapowiada się miło i spokojnie. Po południu ciotka Teddi poszła z babką do sklepu spożywczego i kupiła w dziale delikatesowym kilka sałatek. Mama rozmroziła pudełko meksykańskiej potrawy chili con carne.

Jednak pomimo prowadzonej przy stole swobodnej rozmowy jestem spięta i przygnębiona. Babka przytakuje i śmieje się pół sekundy po wszystkich innych. Głównie jednak dziobie widelcem w jedzeniu i mruga do mnie. „Och, babciu, gdybyś wiedziała, co cię wkrótce czeka”.

Po kolacji zabieram ją na górę i kładę spać, podczas gdy rodzice i ciotka Teddi siedzą przy ciasteczkach i kawie.

– Opiekujesz się mną lepiej niż moja matka – mówi babka, gdy otulam ją kołdrą.

– Staram się – odpowiadam.

Całuję ją w czoło, gaszę światło i idę na dół.

– No cóż, jutro wracam do Toronto – wzdycha ciotka Teddi, gdy znowu dołączam do nich przy stole.

– Mam nadzieję, że ty i matka jesteście zadowolone z tej wizyty – mówi tata.

– Tak. Dziękuję, że poświęciliście nam swój czas.

– O której godzinie mamy przyjechać, żeby odwieźć Grace do Greenview? – pyta mama.

„Teraz albo nigdy”.

– Jeśli chodzi o Greenview – mówię. Wszyscy troje nieruchomieją. – Obiecuję, że nie będę wrzeszczeć ani robić niczego głupiego, ale proszę, wysłuchajcie, co mam do powiedzenia.

– Myślę, że już wysłuchaliśmy – mówi łagodnym tonem tata.

– To co innego. Wcześniej nie byłam z wami szczerą. Udawałam, że babka ma się doskonale. Obawiałam się, co ją czeka, gdyby tak nie było. Zachowywałam się, jakbyście działali ze złej woli, bo nie chciałam widzieć prawdy.

Rodzice wyglądają na zaskoczonych.

– Mów dalej – zachęca mnie tata.

– Uciekając z domu, postąpiłam okropnie. Naraziłam babkę na niebezpieczeństwo. Jedyłą korzyścią – oczywiście oprócz odnalezienia ciotki Teddi – było to, że zobaczyłam, jak bardzo babka potrzebuje opieki. Dowiedziałam się, co mogę dla niej zrobić, a czego nie potrafię.

– Cóż, niewątpliwie zrobiłaś wiele – mówi mama. – Ciotka Teddi powiedziała nam, że umiesz ją kapać, pomagać jej się załatwiać, gdy tego potrzebuje. Powinnaś być z siebie dumna.

– My byśmy tego nie potrafili – dorzuca tata. – Nawet personel Greenview

miał z tym problemy.

Rumienię się, ale to prawda. „No dobrze, więc oto, jak to ujmę”:

– Babcia najbardziej potrzebuje nadzoru. Nie możemy zapewnić jej tego w naszym domu z powodu salonu fryzjerskiego. Wyniknęłoby zbyt wiele problemów. Ale gdybym była *tutaj*...

– Kochanie, to niemożliwe.

– Dlaczego? Wcześniej martwiliście się o mnie w związku z narkotykami i chłopcami. Już byście nie musieli, a ja byłabym w odległości zaledwie dwóch minut jazdy samochodem od was. Wystarczyłoby zatelefonować.

Tata przecząco kręci głową.

– Nie w ciągu dnia. Byłabyś w szkole.

– Racja, ale wtedy ty byś przychodził. Pracujesz głównie przez internet. Zamiast w naszej cuchnącej piwnicy urządziłbyś swoje biuro tutaj, w dużym, słonecznym salonie. Babka by ci nie przeszkadzała. Ona przebywa tylko w swoim pokoju, w gabinecie i na werandzie. Po pracy mógłbyś odwozić nas do domu na kolację, a potem wracałybyśmy tu na noc. Przygotowywałabym śniadania i lunchy.

Oboje wiercą się niepewnie w fotelach.

– A co z twoją nauką, ze stopniami? – pyta mama.

– Dzieci twoich klientek pracują po lekcjach i w weekendy. Byłabym w gruncie rzeczy kimś w rodzaju opiekunki na noc.

Mama i tata spoglądają na siebie. Żadne z nich nie wie, co powiedzieć.

– Posłuchajcie – mówię spokojnie – ten plan nie jest doskonały – nic takie nie jest – i może w praktyce okaże się zbyt trudny. Ale teraz, tutaj, babka wie, gdzie jest. W Greenview nie czuje się dobrze. Pomyślcie o tym, jak przerażające musi być dla niej tamto miejsce. Poza tym stąd nigdzie nie powędruje, nie licząc nocnego szperania po śmietnikach w odległości przecznicy. A nawet gdyby kiedykolwiek zabłądziła, to jest małe miasteczko, a ona ma w swojej komórce GPS.

– Ale to miejsce... – Tata traci oddech. – Utrzymanie dwóch domów... poświęcenie czasu, stres...

Ciotka Teddi chrząka i odzywa się:

– Poprę wszystko, cokolwiek uznasz za właściwe, Tim, ale chcę, abyś wiedział, że Wilf i ja chętnie załatwimy ekipę, która zajmie się utrzymaniem i regularnym sprzątniem domu. Możemy również wynająć dodatkową pomoc domową.

– Doceniam tę propozycję – mówi tata – ale nie potrzebujemy jałmużny.

– To nie jałmużna. Dotychczas tylko ty i Carrie opiekowaliście się mamą. To nie w porządku. Powinnam wam pomóc i mam mnóstwo do nadrobienia. Poza tym chcę częściej widywać mamę. Jeżeli zdecydujecie się wypróbować ten plan, będę przyjeżdżać do Grace co drugi weekend, żebyście mogli wszyscy troje odpocząć.

– Dzięki. To byłoby świetnie, gdyby... – tata urywa i marszczy brwi.

– Tim i ja chcielibyśmy porozmawiać chwilę na osobności – oświadcza mama i oboje wychodzą na werandę.

„I co teraz? Jestem tak zdenerwowana, że gdybym zaczęła obgryzać paznokcie, to odgryzłabym sobie ręce”.

Ciotka Teddi pochwytuje moje spojrzenie.

– Chcesz ciasteczko?

– Raczej nie.

– Jednak zjedz jedno.

Mama i tata wracają pięć ciasteczek później. Siadają i spoglądają na siebie, jakby ustalili wszystko z wyjątkiem tego, które z nich ma oznajmić ich decyzję. Mama odchrząkuje. Cisza. Potem chrząka tata. Cisza.

– A więc dobrze – odzywa się wreszcie mama. – Zoe, przemyśleliśmy wszystko, co nam powiedziałaś. I jesteśmy bardzo zadowoleni, że nie wpadłaś w gniew.

– Tak, bardzo zadowoleni – przyświadcza tata.

Przez chwilę oboje milczą. Niemal już słyszę słowo ALE.

– Ale... – ciągnie. „Wiedziałam!” – ...nie podoba nam się twoja propozycja.

– Ani trochę się nam nie podoba. – Mama kręci głową. – Proszę, kochanie, zrozum, to nie dlatego, że ci nie ufamy. Tylko że stawiasz sobie bardzo wielkie wymagania. Większe, jak sądzę, niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Z jednej strony umiesz naprawdę doskonale opiekować się babcią – mówi tata. – Twoje działania przynoszą dobre skutki i dają wam obu radość. Z drugiej strony na myśl o tobie i babce samych tutaj...

Garbię się przygnębiona.

– Czyli odpowiedź brzmi: Nie.

– Tego nie powiedzieliśmy.

– Ale to macie na myśli. Nie chcecie, żebym tu była.

– Nie chcemy, żebyś była tu *sama* – koryguje tata. – Ale kiedy mama i ja zaczęliśmy rozmawiać, nasunęła się nam inna możliwość. Nie mieliśmy czasu jej przemyśleć, więc to może być szaleństwo, jednak, no cóż...

– Mówcie!

– Uff, no już dobrze. – Tata trzaska knykciami. – Ptasia Budka należy do twojej babki. Ale jak wiesz, jest też moim domem. Mieszkałem w nim od siódmego roku życia aż do ślubu z twoją matką.

– Od pewnego czasu rozważaliśmy wyprowadzenie salonu fryzjerskiego z naszego domu – aby że tak powiem, mieć z głowy moje dziewczyny – mówi mama. – Chcieliśmy mieć prawdziwy dom rodzinny, do którego mogłabyś bez zakłopotania przyprowadzać przyjaciół.

Tata przytakuje.

– Skupialiśmy się na planie kupienia jakiegoś lokalu w centrum miasteczka. Ale ponieważ Teddi deklaruje gotowość utrzymania domu Grace oraz zatrudnienia dodatkowej pomocy i ponieważ ty radzisz sobie lepiej z kąpaniem i ubieraniem babki niż personel Greenview, przyszedł nam do głowy następujący pomysł: A gdyby zostawić salon fryzjerski tam, gdzie jest, i stworzyć nasz dom w Ptasiej Budce?

„Mój mózg zmienia się w pralkę nastawioną na cykl odwirowania”.

– Liczylibyśmy na twój magiczny dar zajmowania się babką – mówi mama.

– Ona może nie chcieć mojej obecności w pobliżu. Bywa dość surowa i szorstka.

– Babcia cię lubi, mamó. Nie lubi tylko, gdy nią komenderujesz.

Mama odchyła się do tyłu na oparcie krzesła.

– Wcale nią nie komenderuję.

– No, może nie komenderujesz, ale z pewnością słyszała, jak mówisz, że nie może żyć na swój sposób. Perspektywa usunięcia jej siłą z własnego domu śmiertelnie ją przeraża. Właśnie dlatego z tobą walczy. Kiedy się przekona, że chcesz, by tu została, zmieni stosunek do ciebie. Obiecuję.

– Mam taką nadzieję – mówi mama. – Ponieważ jeśli rzeczywiście tak zrobi, to może znaleźliśmy rozwiązanie sytuacji.

– Może wypróbujemy ten pomysł przez miesiąc? Przekonajmy się, jak nam pójdzie – proponuje tata.

– Mamó! Tato! – wykrzykuję.

A potem mówię rzeczy zbyt krępujące, by je pamiętać.

Ten niedzielny poranek jest tak ważny, że nawet opuszczamy nabożeństwo w kościele. Ciotka Teddi, mama i jej najbliższe przyjaciółki wykonują prace społeczne, sprząając w Ptasiej Budce kuchnię, salon, łazienkę i toaletę, podczas gdy kilku kumpli taty przyprawia swoje przyczepki samochodowe, żeby opróżnić pokój gościnny, strych, piwnicę, tylny ganek i inne miejsca, do których babka nie zajrzy.

W tym samym czasie ja zatrzymuję babcię w jednym miejscu. Oglądamy albumy ze zdjęciami. Wyjmuję jej ulubione fotografie, żeby przeskanować je na pokaz slajdów w tablecie. Co jakiś czas babka mówi:

- Jaka szkoda, że nie dorastałaś w Ptasiej Budce.
- A co byś powiedziała, gdybym teraz się tu wprowadziła?
- Powiedziałabym, że twoi rodzice nie byłiby tym zachwyceni.
- A gdyby oni też się tu przenieśli? Wyobrażasz sobie tatę znów w tym domu, jak za dawnych czasów?

Babka się uśmiecha.

– Wciąż jeszcze widzę go, jak buja się na huśtawce zawieszanej na konarze klonu i rzuca piłką bejsbolową ze swoim dziadkiem.

– A więc się zgadzasz?

– Na co?

– Na to, żeby tata mieszkał z nami w Ptasiej Budce.

– Twoja matka nie pozwoliłaby mu na to – mówi babka. – Tak między nami, ona mnie nie lubi. Chce mnie umieścić w domu opieki. Ha!

– A gdyby zmieniła zdanie? Czy mogłaby zostać tutaj z nami, gdybym ja mieszkała u ciebie?

Babka klepie się w kolana.

– Gdybyś zamieszkała u mnie, ona mogłaby robić, co jej się żywnie spodoba.

Powtarzamy tę rozmowę do momentu, gdy babka zasypia na kanapie. Dopiero wtedy jadę do domu i pakuję moją walizkę. A gdy Teddi zabiera nas na kolację do miasteczka, rodzice pakują swoje rzeczy.

Wracamy do Ptasiej Budki i pomagam babce położyć się spać, a tymczasem rodzice się rozpakowują. Ciotka Teddi i ja otulamy ją kołdrą.

– Mamo, to ja, Teddi – mówi ciotka i całuje ją w czoło. – Przyjadę znowu w następny weekend.

– Teddi. – Babka się uśmiecha. – A kto tam hałasuje w pokoju gościnnym?

– Moi rodzice – wyjaśniam. – Zostajemy u ciebie na noc.

– Jak miło. Bałam się, że to może twój dziadek. On powinien spać na kanapie w gabinecie.

Rodzice mówią, że wszystko idzie świetnie i że powinniśmy się spodziewać

tylko kilku drobnych problemów. Jednak tych kilka problemów przypomina raczej trzęsienie ziemi. Dopóki pod koniec pierwszego tygodnia w Ptasiej Budce nie zostaje podłączony internet, tata jest pozbawiony swojego komputera, co doprowadza go do serii okrzyków „Tam do licha!”. A gdy babka przyłapuje mamę myszkującą w gabinecie, nazywa ją „panną Ferguson”.

– Mama tylko stara się pomóc – mówię.

– Czyżby? – burczy gniewnie babka.

– Babciu, przeprósź ją – szepczę. – Proszę, zrób to dla mnie.

– Przepraszam – rzuca tonem świadczącym, że wcale tego nie myśli.

Później mówię mamie, żeby pamiętała o warunkach umowy: w kuchni może robić, co zechce, ale nie ma wstępu do gabinetu i na podwórze przed domem.

W panice łączę się przez Skype’a z ciotką Teddi.

– Moi rodzice zamierzają wszystko zepsuć – mówię.

– Spokojnie – odpowiada. – Oni chcą, żeby to się powiodło.

– Czyżby? – rzucam głosem o wiele zbyt piskliwym,

– Tak. Przez tak długi okres, jak się da.

– Co oznacza: do jutra.

– Twój tata powiedział o miesiącu. On dotrzymuje słowa.

– Cześć, Zoe – mówi wuj Wilf, machając do mnie na drugim planie.

Usiłuję się uśmiechnąć i też do niego macham.

– Wilf i ja przyjeżdżamy w ten weekend – przypomina ciotka Teddi. – Będziecie mieli przerwę, żeby móc odetchnąć. A takie przerwy bardzo się przydają.

I rzeczywiście się przydają. Inne rzeczy też. Kiedy już mamy zainstalowany internet, tata doznaje objawienia. Odkrywa nie tylko, że przyjemniej jest pracować przy oknie, niż siedząc przodem do ściany w piwnicy, ale także „Łatwiej mi się skupić bez szumu tych przeklętych suszarek do włosów”. A mama pamięta o mojej najważniejszej radzie dotyczącej kontaktów z babką: „Nie spieraj się z nią. Po prostu uśmiechaj się i staraj odwrócić czymś jej uwagę”.

Babka jest coraz spokojniejsza i bardziej odprężona. Najczęściej siedzi w bujanym fotelu albo drzemie na kanapie. Gdy od czasu do czasu wędruje do gabinetu taty, zdaje się nie pamiętać, że on kiedykolwiek opuścił Ptasią Budkę. Jedno, co doprowadza nas do szału, to jej nieustanne powtarzanie się. Kiedy nie możemy już tego wytrzymać, dajemy jej tablet z włączonym pokazem slajdów. Jej twarz zmienia wyraz na widok każdego kolejnego zdjęcia, gdy babka siedzi uszczęśliwiona, odnajdując się w przeszłości.

Zyskuję pewność, że dobrze nam idzie, gdy pewnego razu, kiedy już położyłam babkę do łóżka, rodzice pytają mnie, czy nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zrobili sobie przerwę na noc.

– Jasne, że nie – odpowiadam ze śmiechem. – Będziecie w odległości dwóch

minut jazdy.

Oczywiście, już w pierwszą godzinę ich nieobecności mama dzwoni milion razy.

- Czy wszystko w porządku? – pyta.
- Nie – drażnię się z nią. – W domu wybuchł pożar.
- Potrzebujesz czegoś?
- Tak, drabiny, żeby sprowadzić babcię z komina.
- To nie jest zabawne. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała...
- Właściwie potrzebuję tylko ciszy i spokoju.
- Czy babka ci przeszkadza?
- Nie. Tylko telefon wciąż dzwoni.
- Och, no tak. Przepraszam. Kocham cię, skarbie.

To urocze, że myślą, iż ich potrzebuję. No dobrze, może i potrzebuję. Ale jest nas troje plus ciotka Teddi i wuj Wilf, więc mamy sytuację pod kontrolą.

W środę, kilka miesięcy po przeprowadzce, babka i ja jesteśmy na podwórzu przed domem i poprawiamy Fredowi krawat. Babka spogląda w niebo.

- Mówią, że każda gwiazda to anioł czekający, żeby się urodzić.
- Kto tak mówi?

– No, przecież wiesz – rzuca babka takim tonem, jakbym była idiotką. – Ci, którzy piszą pocztówki dla niemowląt.

– Wyobraź sobie, że gdyby to była prawda, to wszystkie te anioły spoglądałyby w dół na Ptasia Budkę.

– O rety, a gdzie indziej miałyby patrzeć?! Ptasia Budka to najpiękniejszy dom na świecie. Mieszkam w nim. I w nim też umrę.

- Racja, babciu. Ale żyć będziesz jeszcze długo.
- Bardzo długo.

Epilog

Życie to zbiór opowiadań. Nasze historie zależą od tego, co się zdarza, a co nie; co wiemy, a czego nie wiemy; co zapominamy i dlaczego. Właśnie to czyni prawdziwą opowieść tak trudną. Ponieważ przeszłość nigdy nie zastyga w bezruchu, lecz stale zmienia się w przyszłość.

Podoba mi się zakończenie opowiadania wam tej historii o mojej babci i o mnie właśnie na tym podwórzu pod gwiazdami. To szczęśliwe zakończenie, rzeczywiste i prawdziwe. Ale nie jedyne. Czasami mój umysł pracuje dalej i ta opowieść nie jest już tak prosta i łatwa. W takich sytuacjach pamiętam raczej takie zakończenie:

Przez następnych sześć miesięcy stan babki pozostawał stabilny. Ubierała się sama – z wyjątkiem mojej pomocy przy wkładaniu rąk w rękawy, wciąganiu skarpetek i wiązaniu sznurowadeł – i przeważnie zdążała na czas do ubikacji. Na szczęście nosiła spodnie od dresu.

Oczywiście bywały trudne momenty, ale wtedy mawiała: „Jesteś dla mnie taka dobra”, a ja odpowiadałam: „To ty jesteś tak dobra, że bardzo łatwo być dla ciebie dobrą” i ogarniała mnie taka czułość dla niej, że nie zamieniłabym tych trudnych momentów na żadne skarby świata.

Mama i tata zachowywali się wspaniale. Ciotka Teddi również. Niemal codziennie kontaktowała się przez Skype’a, a co drugi weekend przyjeżdżała z wujem Wilfem, żeby umożliwić nam parę dni odpoczynku.

– Czy myślałaś kiedyś o tym, żeby gdy dorośniesz, zajmować się zawodowo opieką nad starszymi osobami? – zapytała mnie. – Masz do tego dar.

To sprawiało, że chciałam zdobywać jeszcze więcej doświadczenia podczas opiekowania się babcią i pilniej uczyć się w szkole. Nawiasem mówiąc, to drugie nieoczekiwanie stało się o wiele przyjemniejsze.

Po pierwsze dlatego, że Madi już nie wróciła do naszej szkoły. Po zakończeniu nakazanej sądownie pracy na rzecz lokalnej społeczności – sprzątnięcia głównej ulicy – wyjechała do szkoły z internatem. Ciotka Jess utrzymywała, że nasze liceum nie było dla niej dość dobre, ha, ha. Poza tym Ricky i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Niczym więcej, ale tak było w porządku. Wtedy nie miałam czasu na chłopaka.

Babka zaczęła częściej mówić o swoich rodzicach i dziadkach. Nie w czasie przeszłym, lecz w teraźniejszym i przyszłym. „Jeżeli jutro mnie tu nie zobaczycie, to dlatego, że dziadek Avis zabiera mnie na farmę”. Mówiła to mnóstwo razy. Albo: „Matka przyjdzie na obiad. Muszę narwać rabarbaru”.

Myliła się jej też moja mama, która strzygła jej włosy i obcinała paznokcie. Czasami babka nazywała ją Moną. Ciotka Teddi powiedziała, że babka w Elmirze chodziła do salonu fryzjerskiego i kosmetycznego prowadzonego przez kobietę

o imieniu Mona. Pamiętam, że obawiałam się, czy z czasem babcia nie zacznie też mylić *mnie*.

Pewnego dnia wróciłam do domu ze szkoły, a ona zapytała z gniewem:

– Dlaczego nigdy mnie nie odwiedzasz?

Poczułam się, jakby kopnięto mnie w brzuch.

– Odwiedzam cię, babciu. Jestem tutaj codziennie.

– Wcale nie.

Przyniosłam jej z werandy ptasie gniazdo. Jego widok tak ją podekscytował, że zapomniała o niedawnej złości.

– Jesteś dla mnie taka dobra – powiedziała.

Wszystko szło mniej więcej dobrze, dopóki nie uderzyła się kolanem o pianino. Lekarz powiedział, że nic sobie nie naciągnęła ani nie złamała, jednak zaczęła utykać. To wprawdzie nie wpłynęło na jej poruszanie się po domu. Nadal, jak dawniej, przechodziła od jednego mebla do następnego, używając ich jako podpórek. Ale problemem stały się schody.

Babka też zdawała się to wiedzieć. Z własnej inicjatywy zaczęła wchodzić i schodzić po schodach na pupie, siadając na kolejnych stopniach. Ponieważ jednak miała bardzo cienką skórę, otarła ją sobie do żywego mięsa na kości ogonowej. Smarowaliśmy ranę balsamem i bandażowaliśmy, ale niepokoiła nas możliwość zakażenia. Tata zaproponował, żebyśmy wykorzystali dziecięcy kojec.

– Nie – odpowiedziałam. – Próbowaliby przejść przez niego i z pewnością zrobiłaby sobie jeszcze większą krzywdę.

Po raz pierwszy zastanawiałam się, czy Greenview rzeczywiście nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Odbiliśmy naradę rodzinną. Zgodziliśmy się co do tego, że babka nie będzie szczęśliwa nigdzie indziej, tylko tutaj, więc powinna zostać. W najgorszym razie, gdyby zdarzył się jakiś tragiczny wypadek, umarłaby tu, w Ptasiej Budce, tak jak tego pragnęła. Tylko że wówczas wyniknęła kwestia, czy potrafilibyśmy to sobie wybaczyć. A *wtedy* zapytaliśmy siebie, czy w ogóle powinniśmy teraz myśleć o sobie.

Czasami nie ma dobrej odpowiedzi. Takie sytuacje są najtrudniejsze ze wszystkich.

Spróbowałam eksperymentu. Babka miała zwyczaj drzemać w ciągu dnia na kanapie na parterze, więc zasłamałam ją jak łóżko i ustawiłam ulubione fotografie na niskim stoliku obok. Ta zamiana jakoś się powiodła. Podobnie jak niegdyś dziadek, babka przestała korzystać ze schodów. Gabinet stał się jej sypialnią.

Bez chodzenia po schodach babka miała niewiele okazji do zażywania ruchu. A im mniej się poruszała, tym mniej była do tego zdolna. Ciotka Teddi wypożyczyła łóżko szpitalne z regulacją pozycji i znalazła pracownika socjalnego, który przychodził każdego ranka i wieczora.

Odbyła się następna narada rodzinna, tym razem z udziałem lekarza. Przez

cały czas nie potrafiłam przestać myśleć o życiu bez babci. Ponieważ do tego wszystko zmierzało. Kiedy babka oglądała w tablecie pokaz slajdów, nie reagowała już zmianami wyrazu twarzy. Nadal uśmiechała się do mnie, ale w gruncie rzeczy niewiele już mówiła.

Zdecydowaliśmy się na formalne zastrzeżenie, by w przypadku zatrzymania akcji serca babka nie była poddawana reanimacji. Moje serce się krajało, ale lekarz wyjaśnił, że w przypadku starych ludzi reanimacja prawie nigdy się nie udaje. Pękają żebra, wewnętrzne organy ulegają uszkodzeniu i pacjent umiera w straszliwych męczarniach. Nie chcieliśmy, żeby to spotkało babcię.

Uczyłam się do lekcji, siedząc zawsze przy łóżku babki. Kiedy potrzebowałam zrobić sobie przerwę w nauce, wcierałam jej w skórę krem nawilżający, żeby się nie łuszczyła, i przewracałam ją na drugi bok, aby zapobiec powstaniu odleżyn. Każdy z nas tak robił. Nie sądzę, by to zauważała.

Najtrudniejszą rzeczą było nakłonienie jej do jedzenia. Była chuda jak patyk. Wcześniej uciekałam się do rodzaju gry, w której ilekroć ja gryzłam kęs, ona miała robić to samo. Później, gdy nie potrafiła już unieść do ust widelca czy łyżki, karmiłam ją, stosując inną grę: łyżka była mną wchodzącą do Ptasiej Budki, a jej usta były drzwiami otwierającymi się, żeby mnie wpuścić.

Teraz jednak te drzwi otwierały się tylko dla kilku łyżek soku jabłkowego i zupy na dzień. Babka odwracała głowę, co okropnie mnie irytowało. Pamiętam, jak pewnego dnia powiedziałam:

– Babciu, jeśli nie będziesz jeść, umrzesz.

Uśmiechnęła się, jakby rozumiała, co mówię, i może rzeczywiście rozumiała, ale nic nie odpowiedziała. Przestała mówić. Gdy znowu przysunęłam łyżkę do jej ust, zacisnęła zęby i odwróciła głowę.

Lekarz powiedział, że nikt nie zdoła w żaden sposób zmusić jej do jedzenia, chyba że postanowimy umieścić ją w szpitalu, gdzie nawtykają w nią mnóstwo rurek. Nikt z nas nie chciał być dla niej tak okrutny, zwłaszcza gdy doktor dodał:

– Nawet wówczas to nie potrwa długo.

W szkole dano mi zwolnienie. Zebrałam lektury i prace domowe na następny tydzień, ale nauczyciele powiedzieli, żebym się tym nie przejmowała, bo rozumieją sytuację.

Siedziałam przy łóżku babci i usiłowałam się uczyć, ale niełatwo było mi przestać myśleć o tym, że wkrótce już nigdy więcej nie będę tego robić.

Przyjechali ciotka Teddi i wuj Wilf. Oni i moi rodzice dyżurowali przy babce kolejno, na zmianę. Ja pozostawałam przy niej bez przerwy, siedząc na szezlongu. Tata poradził mi, żebym poszła na górę i się przespała.

– Nie mogę. Muszę być tutaj.

– To nie jest konieczne, kochanie – powiedziała mama. – Babcia nie zdaje sobie sprawy z tego, że tu jesteśmy.

– Nie możecie tego wiedzieć.

Usta babki zrobiły się bardzo suche. Zwilżaliśmy je nieustannie palcami kosmetycznymi zanurzonymi w osłodzonej wodzie i chłodziliśmy jej czoło wilgotną myjką do twarzy. Głównie jednak trzymaliśmy jej dłoń i opowiadaliśmy historie z jej dzieciństwa, które niegdyś nam opowiedziała. Mówiliśmy jej też, jakie cudowne rzeczy dla nas zrobiła i jak bardzo ją kochamy.

Czasami trudno było się zorientować, czy babka jeszcze oddycha. Przystawała na wieczność, jak się zdawało, a potem znowu zaczynała oddychać ciężko, z okropnym świstem.

To stało się w sobotni rano. Babka i ja byłyśmy same. Trzymałam dłoń pod jej dłońmi. Miała zamknięte oczy.

– Babciu – powiedziałam. – Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale jeśli tak, chcę, abyś wiedziała, że już nigdy nie będzie nikogo takiego jak ty i że zawsze, zawsze będę cię kochać, bez względu na wszystko, tak jak ty kochałaś mnie.

Przez chwilę panowała cisza, a potem babka nagle otworzyła oczy i spojrzała prosto w moje. Wiedziałam, że zobaczyła mnie i poznała. Mocno ścisnęła moją dłoń.

– Babciu, jestem tutaj.

Jej usta się rozchyliły.

– Pieróg.

Za jej oczami opadła zasłona i babcia odeszła.

Nie płakałam. Nie wtedy. Tylko pocałowałam ją w czoło i siedziałam przy niej, trzymając jej dłoń, gładząc kciukiem. Wydawało się, jakby babka wciąż była w pokoju.

– Babciu, jestem tutaj – powiedziałam. – Nie martw się. Dopilnuję, żeby wszystko odbyło się doskonale.

Potem zawołałam pozostałych. Mieli łzy w oczach, ale to prawie wszystko. To była taka wielka ulga. Tata zadzwonił do domu pogrzebowego. Następnego dnia babka była przygotowana do kremacji. Dopilnowałam, żeby ubrano ją w jej spódnicę w szkocką kratę i żeby miała na ramieniu czerwoną torebkę. Ciotka Teddi zachowała dla siebie jej szalik, tak jak babcia by tego chciała. Ja włożyłam jej w dłoń zdjęcie nas wszystkich.

Babka wyglądała jak wtedy, gdy spała na kanapie. Pogładziłam ją po włosach. Już jej nie było, jednak szepnęłam:

– Wszystko dobrze, babciu. Zaopiekuję się tobą do końca.

Powiedziałam rodzicom, że chcę być obecna przy kremacji. Nie wiedzieli, czy zdołają znieść ten widok. Odparłam, że zrozumieć, jeśli zostaną w domu, ale ja muszę tam być, żeby się upewnić, że wszystko odbyło się, jak należy. Ostatecznie postanowili, że pójdą ze mną. Ciotka Teddi też. Byli zadowoleni, że podjęli taką decyzję.

Pracownik krematorium był bardzo miły. Wprawnie wsunął trumnę babki do komory i zamknął drzwi. Odmówiliśmy modlitwę. Nadeszła pora. Spytałam, czy mogłabym uruchomić proces. Pracownik się zgodził. Gdy naciskałam guzik, poczułam w sobie obecność babki: „Dziękuję ci”. Świat stał się niebem.

Po powrocie do Ptasiej Budki rozsypaliśmy prochy babci wokół wanienek i karmników dla ptaków oraz na dnie wylotu rynny, w którym babka i ja niegdyś szukałyśmy chochlików. Nie potrafiłabym wyobrazić sobie lepszej ceremonii.

Wiele rozmyślałam o historii babki – o jej opowieściach. Zastanawiam się nad tymi, których nigdy nie poznam, z czasów zanim się urodziłam. Myślę też o moich historiach – tych, których babka nigdy nie pozna, których nawet ja jeszcze nie znam.

Najczęściej jednak myślę o historiach, które z nią dzieliłam – przepływających przez mój umysł jak fragmenty muzyki, których nigdy się nie zapomni.

Tęsknię za babcią. Zawsze będę tęsknić. Ale nie w smutny sposób. Raczej z zachwytem, że babcia i ja jesteśmy razem, ilekroć o niej pomyślę, nawet gdy jestem sama.

Podziękowania

Wiele podziękowań dla Karen Megavin i Tima Riversa ze schroniska dla bezdomnych Covenant House, Jamesa O'Donella z Artatorture Tattoo Studio, Jo Altilii z organizacji Literature for Life, Connie Vanderfleen z Community Care Access Centre, doktora Sama Munna, Canada Council for the Arts, Ontario Arts Council, Toronto Arts Council, dla Chloe Sakkur, Michelle Anderson, Julie Neubauer oraz jak zawsze dla Daniela Legaulta i Mamy.

Rozmowa z Allanem Strattonem

Skąd się wziął pomysł *Powrotu do domu*?

Napisałem kilka stron dziennika nastolatki z myślą o wykorzystaniu ich w jakiejś powieści dla dorastającej młodzieży. Pokochałem tę postać – była taka wrażliwa i pełna gniewu – i zapragnąłem dowiedzieć się o niej więcej.

Jak powstawała powieść?

W trakcie mnóstwa rozmów z moim redaktorem Charliem. Wielcy redaktorzy są jak wielcy nauczyciele: mówią ci to, co powinieneś usłyszeć, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie.

W pierwszym szkicu powieści nie występowały babcia ani Teddi! Zoe uciekała z domu sama i jej opowieść dotyczyła przypadkowych spotkań z różnymi ludźmi. Zoe była rozgniewana, ale tylko z powodu swojej sytuacji. Jednak w połowie powstawania powieści zarówno mój redaktor, jak i ja uświadomiliśmy sobie, że tej historii brakuje zasadniczej relacji pomiędzy bohaterami, mogącej zainteresować czytelnika. Podczas burzy mózgów pomyślałem o mojej mamie, która zmarła wskutek choroby Alzheimera i która stanowczo sprzeciwiała się umieszczeniu jej w domu opieki. Wtedy nagle narodziła się babka Zoe i historia nabrała właściwego kształtu.

Czy relacja Zoe z babcią jest oparta na Twojej relacji z mamą? W jakim stopniu ta książka opowiada prawdziwą historię?

Jak mówi Zoe pod koniec powieści, prawda się nam wymyka. Powiedziałbym, że ta powieść zawiera prawdę emocjonalną oraz niektóre prawdziwe szczegóły i dialogi, natomiast jej ogólna fabuła jest fikcyjna.

Podobnie jak to się dzieje w przypadku Zoe, byłem jedyną osobą, której moja mama ufała. Kiedy wpadała w gniew, zadawałem sobie pytanie, dlaczego ja na jej miejscu byłbym rozdrażniony. Jak bym się czuł, gdyby ludzie, których uważałem za obcych, budzili mnie i usiłowali rozebrać do kąpielii? Dlaczego chciałbym, żeby w ubikacji ktoś mi towarzyszył? Dlaczego nie życzyłbym sobie, żeby lekarz zadawał mi pytania? Wyobrażone z punktu widzenia mojej mamy, jej zachowanie nabierało pełnego sensu.

Jedna z prawdziwych scen w powieści: poszedłem do krematorium, upewniłem się, że jej trumna stoi równo, i nacisnąłem guzik. Walczyłem o mamę przez lata tak, jak ona walczyła o mnie, kiedy byłem mały. To było coś, co chciałem i musiałem zrobić. Bardzo się cieszę, że to zrobiłem. Potem, jak mówi Zoe, świat stał się niebem.

***Powrót do domu* nie unika trudnych tematów, takich jak problemy**

rodzinne czy tyranizowanie i dyskryminacja w szkole. Czy te tematy leżały u podstaw Twojej decyzji napisania tej powieści? Czy chcesz w niej przekazać jakieś określone idee?

Nie, zawsze myślę tylko o postaciach i fabule. Dopiero z tego wyłaniają się tematy, a nie odwrotnie. Porównuję to do biegu w wyścigu: koncentrujesz się na linii mety. Pot pojawia się jako efekt uboczny. Dla mnie opowieść jest takim biegiem; tematy same z niej wynikają.

Zarazem nazywam swoje powieści „dziećmi mojego umysłu”, ponieważ wychodzą z mojej głowy – a to, co pochodzi z czyjejś głowy, jest związane z jednostkowym doświadczeniem. Tak więc historie i postaci, o których piszę, są zawsze zakorzenione w moim życiu. W tym sensie przypuszczam, że tematy w moich książkach są tematami mojego życia. Wszelki przekaz idei w nich jest nieświadomy. Jest tym, w jaki sposób moi czytelnicy interpretują to, jak postrzegam życie.

Zaczynałeś jako aktor i dramaturg. Czy ten fakt wpływa na to, w jaki sposób piszesz powieści?

Zdecydowanie tak. Pisanie w pierwszej osobie jest jak pisanie monologu. I przy każdej postaci, w każdej scenie pytam siebie: „Czego chcę? Co zrobię, żeby osiągnąć to, czego chcę?”. Wcielanie się w postaci powieści upodabnia proces pisania do jednoosobowej improwizacji. W moje najlepsze twórcze dni wydaje się, że w ogóle nie piszę – postaci przemawiają, a ja uświadamiam sobie, że śmieję się, boję i płaczę pod wpływem tego, co mówią. Czasami wyjawiają sekrety, jakich nawet nie przeczuwałem. Takie dni są czymś magicznym.

Masz jakieś rady dla początkujących pisarzy?

Pierwsza. Czytajcie, czytajcie, czytajcie. Piszcie, piszcie, piszcie.

Druga. Gdy macie wątpliwości co do jakiegoś fragmentu, usuńcie go. Ogrody wyglądają o wiele lepiej, jeśli się je pieli.

Trzecia. Czytajcie na głos to, co napisaliście. Czytanie samemu sobie ogromnie pomaga w wychwyceniu błędów i nadaniu prozie odpowiedniego rytmu. Dzięki czytaniu przyjaciółom dowiadujemy się, które fragmenty oddziałują na słuchaczy zgodnie z naszym zamysłem, a które ich usypiają!

Przekład: Janusz Mańczak

Redakcja: Anna Skowrońska, Agata Wawrzaszek CAŁA JASKRAWOŚĆ

Korekta: Agnieszka Trzeszkowska, Maria Żbikowska

Projekt okładki: Anna Tarłowska

Zdjęcie wykorzystane na okładce: © franckreporter/E+/Getty Images, © Naeem Jaffer/Moment/Getty Images, © Sorosuh Farnoosh/EyeEm/Getty Images, © Arianna Palazzi/Moment/Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 48

02-672 Warszawa

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5257-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, blue sans-serif font. The letter "v" is significantly larger and more prominent than the other letters.

